

KOMISARZ  
MALIN  
FORS

MONS KALLENTOFT

# ZIEMNA BURZA



„Nie zawracajcie sobie głowy Stiegiem Larssonem, Kallentoft jest lepszy”.  
Magnus Utvik, krytyk literacki



# ZIEMNA BURZA

**MONS KALLENTOFT**

Przełożyli Anna Krochmal i Robert Kędziński



DOM WYDAWNICZY REBIS  
POZNAŃ



[NIEMY ŚWIAT]

Wokół mnie pełzają larwy. Próbuje poruszać rękoma, ale drewno mi nie pozwala. Bo to chyba drewno?

Nie pamiętam, dlaczego tu jestem.

Głowa przestała boleć. Ale bolała, gdy wróciła przytomność. I piekło mnie wokół ust i nosa.

Mogę oddychać i mogę krzyczeć. W każdej chwili może mi się skończyć powietrze.

Jestem tu już od wielu godzin, ale jak długo? Dzień? Dobę? Pewnie nie dłużej. Sekunda może być godziną, godzina może być dniem.

Próbuje się nie bać, bo to musi być sen.

Pachnie ziemią, schnącą, wilgotną ziemią.

Leżę prosto, nie da się inaczej.

Gdy chcę podnieść głowę, przeszkadzają deski. Drzazgi wbijają się w czoło, gdy nią poruszam. Ale jestem w ubraniu. Spodnie, podkoszulek, tkanina na skórze.

A może to, co wydaje mi się tkaniną, jest moją skórą?

Piecze mnie, krew spływa mi po policzkach, sprawia, że włosy przyklejają się do dna. Mam rany na ciele. Czy ktoś mnie pokaleczył?

Zasypiam i budzę się. Usiłuję nie wpaść w panikę.

Przy pierwszym przebudzeniu nie udało się. Szamotanina, uderzenia, krzyki, drapanie paznokciami, aż skóra na palcach zdierała się do żywego mięsa. Krzyki, dopóki nie dało się dłużej oddychać. Ale krzyk odbijał się tylko we mnie. Wyprostowanie nóg, uczucie, że stopy natrafiają na coś twardego.

I to jest ze wszystkich stron. Tłukę w to i naciskam, ale to nic nie daje. Teraz już to wiem.

Czuję zmęczenie, chcę spać.

Może już nie żyję?

Mam co pić. Nad moimi ustami jest zimny plastikowy wężyk. Gdy go ssę, płynie z niego woda, piję i to musi oznaczać, że żyję, bo martwi nie piją. A może jednak?

Czasem nade mną rozlega się odgłos kroków i chyba słyszę głosy.

Ale teraz wszystko jest czarne i ciche, takie, jakie musi być życie głuchych i niewidomych.

Jakby ktoś wydlubał mi oczy i wewnątrz uszu i nappełnił je ziemią.

Muszę się stąd wydostać.

Ktoś musi mnie znaleźć.

Bo woda się kończy. Powietrze.

Mdli mnie z głodu. Myśli się rozpadają, zanim przybiorą kształt.

Tykanie. Co to za tykanie słyszę? Nie mam zegarka.

Poruszam się, znów zapieram i krzyczę, ale to nic nie daje, wrzeszczę: „Ratunku! Ratunku!”.

Kto, u diabła, mnie tutaj wsadził? Jak to się stało, że tu jestem?

Krew z czoła miesza się z łzami.

Ktoś musi mi pomóc.

Zamykam oczy i w myślach unoszę się w górę, nad polami, ku miastu w ciemności.

# ***CZĘŚĆ 1***

## ***MIŁOŚĆ PEŁNA TĘSKNOTY***

NIEDZIELA, CZTERNASTY MAJA, PONIEDZIAŁEK, PIĘTNASTY MAJA

Malin Fors siedzi przy kuchennym stole w mieszkaniu przy Ågatan. Spogląda na wieżę S:t Larskyrkan. Nadciąga noc; czarna, zwieńczona krzyżem wieża jest oświetlona. Ziemia wokół kościoła jest rozkopana i wygląda to tak, jakby cały budynek zapadał się powoli we własny grób. Podczas wiosennych deszczy woda wdarła się pod fundamenty i teraz trzeba je osuszyć.

Na ulicy jest mało ludzi. Linköping, cichy jak zawsze w niedzielny wieczór.

Cyfrowy zegar nad nowym stołem z Ikei wskazuje 23.14. Czerwone cyfry świecą w półmroku i Malin czuje, że wydarzenia tego wieczoru nie dają jej spokoju.

Pracowała na wieczornej zmianie. Tuż po siódmej dostali zgłoszenie o awanturze w mieszkaniu w Skäggetorp. Na miejscu zastali pijaną w sztok pięćdziesięcioletnią kobietę z nożem w ręce. Na podłodze w kałuży krwi leżał jej mąż. Kobieta była tak pijana, że nie wiedziała, co zrobiła.

Inny pijak trafił do szpitala z poważnymi obrażeniami, kolejny zaś do Hinsebergu.

Alkohol, który wszystko niszczy.

I Malin nie potrafi przestać myśleć o tym, że to mogła być ona w tym mieszkaniu. Gdyby nie trafiła do policji i nie znalazła ludzi, którzy przez lata próbowali nią dobrze pokierować.

Przesuwa dłońmi po twarzy, czuje napiętą skórę. Muska opuszkami coraz głębsze zmarszczki wokół oczu. Widzi zmarszczki w lustrze co rano. Lubi je, wie, że nie ma sensu walczyć z liniami, które czas rzeźbi w twarzach ludzi.

Nie ma jeszcze siwych włosów i udaje jej się utrzymać ciało w formie. Trenuje, trenuje i trenuje. Biega, pływa i podnosi ciężary. I rżnie się. Więcej niż kiedykolwiek dotąd.

Tak myśli o tym, co ona i Daniel robią w łóżku.

Nie kochają się, tylko się rżną. To pierwsze byłoby o wiele zbyt niebezpieczne.

Daniel.

Pojawiał się w jej życiu i znikał.

Chciałaby być wobec niego łagodniejsza, powolna i delikatna, ale to, co robią w łóżku, na stole w kuchni, w samochodzie i w wielu innych miejscach, to nie jest kochanie się.

To jest tylko fizyczne. Z początku Daniel chciał, żeby było czule, ale to nie działało. Stali się jak wycofana jednostka, jakby przeszli do odwrotu, jeszcze zanim zaczął się atak.

A więc odłożyli na bok całą delikatność.

A teraz jesteśmy jak zwierzęta, myśli Malin, choć to, co robimy, nie ma nic wspólnego z rozmnażaniem. Daniel wie, że Malin nie może mieć dzieci, i zdaje się uważać, że to w porządku. Jakby nie chciał być ojcem, choć trudno jej w to uwierzyć.

Widzi w wyobraźni twarz Daniela, brązowe oczy, ostry nos i dołki w policzkach, które stały się jeszcze wyraźniejsze.

Jakby był szczęśliwy.

Jakbyśmy my byli szczęśliwi.

Jesteśmy?

Mnie wystarczy to, co jest, myśli. To, że każde mieszka u siebie. Ale Daniel niemal ciągle jest u niej. Dużo pracuje, tak jak dziś wieczorem, kiedy ma nocną zmianę w gazecie. Ciężko haruje w redakcji „Östgöta Correspondenten”, po latach kryzysu zostało im zbyt mało usług i wykupują coraz więcej materiałów.

I Daniel niewiele pije. Chociaż wcale nie jest abstynentem. Zupełnie jakby rozumiał, jak jest krucha, że cholernie chce jej się pić i nie wytrzymuje patrzenia, jak ktoś inny pije. Powstrzymuje się dla niej.

Teraz ma ochotę się napić.

W schowku pod workiem na śmieci jest butelka.

Pić.

I tęskni za nim bardziej, niż ma odwagę, tęskni za Tove, która jest tak daleko, i ta tęsknota ją ratuje, bo w tym uczuciu jest jakieś dno.

Malin siada na sofie w dużym pokoju, sięga po leżącego na stole pilota i włącza telewizję. Przerzuca kanały.

Celebryci. Głupawe teksty i brednie.

Myśli o Melodifestivalen. W ubiegły weekend był finał. Na pierwszych stronach wszystkich gazet było coś o Eurowizji.

I nienawidziła tego.

Ludzie w telewizji gadali o szlagierach, jakby to było najważniejsze na świecie, i gdy ich słuchała, było jej wstyd. To właśnie robimy z naszym dobrobytem i wolnością słowa?

Ona i Daniel siedzieli na sofie i oglądali całe to przedstawienie.

– Popkultura – powiedział. – Współczesna wersja. Taka jest Szwecja w dwa tysiące czteremastym, czy ci się to podoba czy nie.



– Pieprzony świat oszalał, a my się zajmujemy śpiewaniem?

– Wyluzuj, Malin.

Najchętniej walnęłaby go w głowę miską z chipsami, ale potem zrozumiała, że miał rację.

Po co się przejmować?

Walczenie z tym nie ma sensu.

Tak jak ze zmarszczkami.

Wyłącza telewizor.

Myśli: dzięki tobie się rozluźniam, Daniel. Dzięki tobie jestem spokojniejsza, ale też bardziej samotna.

Chciałaby mieć go teraz przy sobie. Dotknąć jego ręki, ramienia, czuć jego dłoń na policzku. I rznąć się. Może czułość i seks powinny być od siebie oddzielone. Może to w ten sposób udałoby się sprawić, żeby związek działał.

Często zostawia jej karteczki. Ukryte w miejscach, gdzie znajdzie je wcześniej czy później. Ostatnia była pod ekspresem do kawy. Było na niej napisane *Kocham Cię*.

Ucieszyła się, gdy to przeczytała, uwierzyła w to i chciała do niego zadzwonić, ale powstrzymała się. Wieczorem szepnęła mu do ucha: „Rano znalazłam karteczkę”.

Nic więcej.

Tłumi ziewnięcie i znów włącza telewizor.

Późne wiadomości.

Mówią o ciężkich walkach w Damaszku, gdzie jakiś młody Szwed z Karlskogi zginął podobno męczeńską śmiercią. Zabili też facetów z Linköpingu, których zwabili tam manipulanci i ich własna nuda. Prowadzący opowiada o bombie w Egipcie, o torturowaniu w Libii ludzi o liberalnych poglądach i o sukcesie jakiejś nowej szwedzkiej gry wojennej.

Zaostrzyły się walki we wschodniej części Demokratycznej Republiki Konga i Malin czuje, jak ściska się jej żołądek.

Tove.

Jest w zachodnim Kongu. Pracuje jako wolontariuszka w domu dziecka dla dzieciaków, których rodzice zginęli albo zniknęli bez śladu.

Piekło na ziemi.

Pisałaś o tym w jednym z e-maili.

Ale też niebo.

Wszystko naraz, pisałaś, Tove. Dżungla, piękno i miłość. Choroby, przemoc i nienawiść.

Tove przez kilka miesięcy była w Rwandzie, poszła w ślady swojego ojca, Jannego, ale uznała, że Rwanda jest zbyt „uporządkowana”, i przeniosła się ze swoją organizacją do Konga.

Malin protestowała, ale wiedziała, że to na nic, że Tove i tak zrobi to, co chce. A Janne ją poparł, powiedział do Malin przez telefon:

– Zrozumie, co to znaczy być człowiekiem, kiedy zobaczy, jak tam jest.

– Nie potrzebuje tego.

Malin chciała mu powiedzieć: zobacz, jak cię to zmieniło, Janne.

Jak czas spędzony w Bośni i Rwandzie zmienił jej byłego męża? Janne stał się zamknięty w sobie. Zrezygowany. Jakby stracił wiarę w to, co jest możliwe na tym świecie.

Gwałcone kobiety.

Dzieci zjadane żywcem przez głodne psy.

Dzieci umierające na zwykłe choroby.

Oniemiałe z przerażenia i samotności.

A on chce, żeby Tove zdobyła takie doświadczenia.

Ze wschodniego do zachodniego Konga są setki mil. Nieprzebyte dżungle.

W kraju gwałty na kobietach są częścią wojny. Dlaczego Tove miałyby być chroniona tylko dlatego, że rozdaje leki i jedzenie?

Chce, żeby jej córka była tutaj. Chce słyszeć, jak mówi, oddycha, widzieć, jak przechodzi przez duży pokój do kuchni i robi sobie herbatę.

Chce, żeby przeszkadzały jej dźwięki krzątającej się Tove.

Ale Tove jest teraz tylko ciszą.

Czasem myśli, że Tove już nigdy nie wróci do domu. Że na zawsze zostanie w Afryce.

Malin leży w łóżku. Czuje na skórze chłód białej bawełnianej pościeli. Przyjemny chłód. Ale poduszka mogłaby być grubsza, a gdy Daniel tu jest, Malin często leży z głową opartą na jego piersi.

Spuściła rolety, odcięła światło gwiazd wyglądających spomiędzy chmur na niebie. Chce spać. Ale tęsknota jej nie pozwala.

Myśli o tym, że powinna spróbować poczytać, może włączyć radio, ale nigdy tego nie robi, kiedy chce zasnąć. Dlaczego teraz to by miało zadziałać? Patrzy w sufit, który w półmroku ma barwę ciemnej ochry.

Tove. Janne. Daniel.

Wszyscy ci ludzie, którzy się pojawiają, odchodzą. A czasem zostają w moim życiu.

Nie chcę nic czuć, myśli.

A jednak tej nocy w Linköpingu coś się dzieje i Malin wie, że to będzie miało na nią jakiś wpływ.

Pozwala sobie na to, by stać się tęsknotą. Czystą tęsknotą. To uczucie, które sprawia, że jest bezgranicznie zmęczona. I tuż po wpół do pierwszej Malin Fors zasypia.

Śni o dzieciach oniemiałych z przerażenia, o ciałach ludzi parzących się jak zwierzęta, od dłoniach delikatnie głaszczących policzki.

Potem sny odchodzą i zapada się w całkowitą ciemność.

Uliczne latarnie mrugają nad młodym mężczyzną, gdy idzie Repslagaregatan, niedaleko redakcji „Corren” i tylko kilka przecznic od mieszkania Malin Fors. Ulica jest pusta, jeden z nielicznych prawdziwych zaułków w centrum Linköpingu. Budynki są dwu- lub trzypiętrowe. Biurowiec z brudnobrązową fasadą, w którym nie pali się żadne światło, kamienica w piaskowym kolorze. Z okna wygląda porcelanowy kot.

Peder Åkerlund jest zmęczony. Powłóczy nogami. Wypił za dużo piwa, ale jego głowa i tak jest pełna pomysłów, idei i poglądów.

Trzeba być bystrym. Mówić to, co wszyscy chcą słyszeć, ale robić co innego.

Wynocha z nimi.

Nie są tacy jak my.

Niszczą Szwecję.

Oddajcie nam Matkę Sveę i odeślijcie całą tę hołotę tam, gdzie jej miejsce: do Somalii, Iraku, Turcji, Bangladeszu, Syrii. Mniejsza z tym: wynocha z nimi, jakkolwiek by się to miało stać. Nie należy stronić od żadnych środków, żadnych sojuszy.

Ludzie tak myślą i tak uważają. O wiele więcej ludzi, niż można by sądzić, myśli Peder Åkerlund, wracając do domu. Ale nie wolno tego mówić na głos.

Czasem trzeba podpisać pakt z diabłem, myśli.

Słyszy kroki za plecami. Zatrzymuje się, odwraca, ale nikogo tam nie ma.

Idzie dalej. Coraz bardziej czuje działanie piwa i teraz się zatacza. Przed nim jedna z ulicznych latarni się popsuła i tam, gdzie powinien być mrugający stożek światła, widzi czarną, kanciastą sylwetkę, sądząc po kształcie, furgonetkę.

Idzie.

Nigdy nie bał się ciemności, takie rzeczy są dla mięczaków.

Z nimi też wynocha.

Od *gay pride* chce mu się rzygać.

A jednak coś w tej ulicy, furgonetce i zepsutej latarni sprawia, że Pedera Åkerlunda ogarnia niepokój. Przechodzi na drugą stronę, nie chce się za bardzo zbliżyć do wozu. Nie potrafi dokładnie określić dlaczego.

Kilka ulic dalej słyhać głosy ludzi, którzy rozmawiają trochę za głośno, pewnie są pijani. Wracają do domu, tak jak on.

Jest teraz na wysokości samochodu. Wygląda, jakby był ręcznie pomalowany matową, czarną farbą. Åkerlund przyśpiesza kroku i gdy mija furgonetkę, widzi, jak boczne drzwi się otwierają, a potem słyszy głos.

– Musisz mi pomóc.

Okropne dźwięki z płuc.

– Nie mogę oddychać.

Brzmi to tak, jakby za sprawą jakiejś niewidzialnej siły ten mężczyzna się dusił i Peder Åkerlund chce stamtąd odejść. Ale chce też pomóc.

– Mój lek na astmę. Jest w torbie, tam, w kącie. Musisz mi go dać, sam nie dam rady.

To nie jest żaden imigrant. Albo nauczył się perfekcyjnie szwedzkiego.

To ktoś, kto ma kłopoty. A wtedy pomaga się drugiemu człowiekowi.

Inaczej człowiek jest jak pies, jak pedał. Jak muzułmanin.

Przestępuje nad ciałem leżącym na falistej blaszanej podłodze przestrzeni ładunkowej, dostrzega torbę w kącie, grzebie w niej, znajduje plastikowy pojemnik. To inhalator, czuje to pod palcami. Jest tak ciemno, że nie widzi, jak właściwie wygląda wnętrze samochodu.

Jest tu brudno czy czysto?

Metaliczny zapach.

Krew?

Nie.

Tak. I mocz. Odchody.

I Peder Åkerlund myśli, że nie powinno go tu być, powinien był pójść dalej, gdy usłyszał ten słaby głos, ale poczuł coś i chciał pomóc.

Może chciał zostać bohaterem.

Tak jak te świry w Syrii. Faceci z Ryd, którzy wysadzili się tam w powietrze z własnej woli. I dobrze, dzięki temu nie mamy ich tutaj.

Stać się taki jak oni. Tylko że na odwrót. Uratować tego człowieka i trafić do gazet z dobrego powodu. Takiego, który wszyscy uznają za dobrego. Matka i ojciec też.

Peder Åkerlund się odwraca. Pochyla się nad dyszącym człowiekiem, podaje mu inhalator.

– Tutaj. Masz.

Mężczyzna wyciąga rękę. Bierze inhalator i przysuwa go do ust.

Bierze głęboki oddech.

Jeszcze jeden.

A potem Peder Åkerlund widzi, jak mężczyzna szybko, z niespodziewaną zręcznością i siłą kieruje inhalator w jego twarz i uruchamia, jakby to była gaśnica. Słyszczyć zupełnie nowy syczący dźwięk i pieką go oczy. Usta wypełniają się duszącym powietrzem i wbrew woli je wciąga, czuje mocne pchnięcie, leci do tyłu, z całej siły uderza plecami o tylne drzwi furgonetki.

Blacha nie ustępuje.

Teraz palą go oczy. Palą tak, jakby już zawsze miał być ślepy.

Kłuje go w płucach i próbuje się podnieść, wie, że musi się podźwignąć, ale nie może. Bo mężczyzna jest nad nim, wciska go w podłogę i Peder Åkerlund krzyczy bezgłośnie, bo oczy palą, a potem czuje coś zimnego, pachnącego alkoholem przy nosie i ustach i próbuje wymachiwać rękoma.

Ale ręce się nie poruszają.

Myśli znikają.

Słyszy śmiech i krzyk.

Przed oczami pojawia mu się twarz matki.

A potem ostry ból w skroni. I oczy przestają piec. Wszystko znika.

Ile minęło czasu?

Peder Åkerlund leży na zimnej blaszanej podłodze, rozumie, gdzie jest, czuje, że samochód się porusza.

Wstrząsy. Jadą przez las, a może droga jest w złym stanie.

Czuje taśmę na nadgarstkach. Na ustach. Oczy bardziej swędzą niż palą i mimo ciemności wie, że nie oślepl.

Leży na brzuchu i podbródek uderza o podłogę, wali w nią nosem i zaczyna krwawić, czuje teraz metaliczny zapach własnej krwi.

Nie może poruszać nogami. Pewnie też są skrepowane taśmą. Próbuje się uwolnić, ale nie może.

Spodnie są mokre i lepkie. Te zapachy teraz pochodzą też od niego. Całe ciało napięło się ze strachu, a potem zapadło w stan galaretowatej miękkości.

Dudni mu w głowie.

Te czarnuchy mnie mają? Muzułmańskie cipy? Te fiuty z *pride*? Niech ich diabli!

Boi się własnych myśli. A jeśli słyszą, co myślę? Jeśli zaczną mnie bić, znów walną mnie

nosem o podłogę, tak że pęknie kość? Chce krzyczeć.

Ale nie może.

Najmocniejsza taśma jest na ustach.

Coś się wdziera do świadomości Malin.

Do jej snu. Snu o złych istotach w gęstej dżungli. Jakiś obcy ton, ton, który poznaje. Przesuwa ręką po nogach, po brzuchu, a ten dźwięk to jej telefon, i dostrzega szansę, by stąd uciec. Sięga do stolika przy łóżku. Leży tam we śnie i na jawie i teraz Malin trzyma go w ręce.

Siada. Otwiera oczy i krzyczy, słyszy dzwonięcie, poci się, telefon dalej dzwoni.

Białe prześcieradło jest wilgotne.

Za oknem mruga światło. Coś musi być nie tak z latarniami.

Odbiera połączenie. Ma nadzieję, że to Daniel. Ale dlaczego miałby teraz dzwonić?

Sen poza snem: dzwoni Tove. Złapała połączenie satelitarne i dzwoni, chociaż jest środek nocy. Wie, że powinna dzwonić, gdy tylko ma taką możliwość.

– Nie śpisz, mammo?

I tęsknota jest teraz dźwiękiem.

– Tove?

– Złapałam połączenie. Mam jakąś minutę. Co u ciebie?

– To ja chcę cię o to zapytać.

Malin słyszy, jak córka bierze głęboki oddech.

– Gorąco tu. I wilgotno.

– Są u was jakieś zamieszki?

– Nie. Ale krążą plotki.

– Jakie plotki?

Malin słyszy szumy na linii, ale wydaje jej się, że słyszy też dżunglę w tle. Dźwięki żywych, poruszających się stworzeń.

– Że rebelianci zebrali tutaj oddział.

– Wywiozą was stamtąd?

– To tylko plotki.

Malin jest teraz rozbudzona, chce nakrzyczeć na Tove i zażądać, żeby wsiadła w pierwszy lepszy helikopter i uciekała z obozu i domu dziecka.

– Wyjeżdżamy jutro – mówi Tove. – Musimy zawieźć leki i jedzenie do kilku wsi w górach.



– To rozsądne?

– Nic nam nie grozi. Jesteśmy „ci dobrzy”. Tak na nas patrzą.

Naiwna.

Jesteś naiwna, Tove.

– Trzeba to zrobić, mamó. Tam w górach są dzieci chore na cholerę i umrą, jeśli nic nie zrobimy.

W tych słowach nie ma nic naiwnego.

Jesteś lepsza niż ja.

– Boisz się?

– Nie ma sensu się bać.

– Bądź ostrożna.

Połączenie się zrywa i Malin nie wie, czy Tove zdążyła usłyszeć jej ostrzeżenie.

Spogląda na budzik na biurku, przy komputerze.

4.33.

Wie, że już nie da rady zasnąć.

Budzik stoi na biurku, żeby musiała wstać, by go wyłączyć. Jeszcze dziesięć miesięcy temu wstawała bez problemu, ale teraz coś się zmieniło, pierwsza oznaka, że jej ciało się starzeje.

Tove.

Myśl o niej jest teraz jak mdłości. W miejsce tęsknoty pojawił się niepokój zatruwający każdą komórkę.

Malin wstaje z łóżka.

Wygląda na tylne podwórze.

Ciemne okna biurowca i mruganie, które musi pochodzić z Repslagaregatan. Widzi swoje odbicie w szybie i wydaje jej się, że Tove jest za jej plecami. Ma siedem lat, siedzi na podłodze w dużym pokoju i bawi się wycinanymi lalkami, które znalazła u dziadków. Zatraca się w zabawie, czyni świat bezpiecznym i równocześnie zrozumiałym.

Malin się odwraca.

Tove tam jest. Śliczna i malutka, poznaje świat, czyni go swoim.

Tej dziewczynki teraz nie ma. Jest kimś innym gdzie indziej. Jest niepokojem, mdłościami, miłością innego rodzaju.

Kiedy byłaś mała, musiałaś ciągle biegać, myśli Malin. Zawsze ku czemuś biegniesz, przed niczym nie uciekasz.

To błogosławieństwo.

Malin wymyśliła sobie nową zabawę, żeby biegać jeszcze szybciej. By zapomnieć o protestach ciała i przeć naprzód.

Bawi się myślami o kolegach z pracy.

Biegnie wzdłuż brzegu Stångån, mijają wille z zarośniętymi ogrodami w Tannefors, zagłębia się pod gęste korony brzoź, czuje bicie serca, podeszwy stóp dotykające ziemię, najpierw asfalt, potem żwir, szybko... Zerka na zegarek.

6.20.

Czy tej nocy coś wydarzyło się w mieście? Będą mieli wreszcie coś do roboty? Nie prowadzili żadnego większego śledztwa od marca, kiedy homoseksualny mężczyzna został pobity niemal na śmierć późnym wieczorem w Berga. Zrobili to jego bracia, podżegani przez ojca.

Nie podobała im się jego orientacja, chcieli, żeby zachował to dla siebie. Żeby nie przyniósł wstydu rodzinie. Ale on chciał się ujawnić, bo na całe szczęście można to zrobić w tym wolnym, tęczowym kraju.

To była ostatnia sprawa Svena Sjömana.

Przeszedł już na emeryturę i z tego, co Malin wie, stoi teraz w swojej piwnicy przy tokarce i wycina coś ładnego, co będzie mógł sprzedać przez Związek Rękodzielnictwa. Zjadł kanapkę z chrupkiego pieczywa z chudym serem.

Sven długo się wahał z przejściem na emeryturę, ale gdy już się zdecydował, uznał chyba, że miło jest przestać pracować. Nie wydawał się ani trochę wzruszony, gdy świętowali z tej okazji przy torcie truskawkowym i henkell trocken.

Aż do końca głądził, że Malin powinna zająć jego miejsce, ale odmówiła. Nie chciała zostać szefem. Próbował sugerować, że nie ma na to odwagi, ale pewnie, że ma. Tyle że ona woli ponosić odpowiedzialność tylko za siebie. W każdym razie w pracy. I najlepiej czuje się w terenie. Gdyby zajęła miejsce Svena, oznaczałoby to znacznie więcej czasu za biurkiem.

Malin czuje, jak bije jej serce.

Jak pracuje, zamiast tęsknić.

Zrekrutowali człowieka z zewnątrz. Niejakiego Görana Möllera.

Zaczął pracę jakiś miesiąc temu i Malin natychmiast polubiła tego bezpośredniego,

kochającego sztukę pięćdziesięcioletnia. Ale nie jest Svenem Sjömanem. Nie wypełnia luki, jaka powstała po odejściu ich mądrego, bystrego szefa, który dzięki ogromnemu doświadczeniu we właściwy sposób kierował nimi we wszystkich śledztwach.

Göran Möller jest samotny. Żona opuściła jego i dzieci, gdy były jeszcze małe; ponownie wyszła za mąż za jakiegoś Niemca z Berlina.

Mniej więcej tydzień po rozpoczęciu pracy Göran Möller zaprosił Malin na lunch. Poszli do Stora Hotellet, siedzieli na przeszklonej werandzie z widokiem na plac. Powiedział, że rozmawiał ze Svenem i rozumie, że ona – Malin – jest sercem Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego. I że jeśli o niego chodzi, to chciałby, żeby tak zostało. W większości miejsc, gdzie pracował, ton nadawał jakiś silny i kompetentny policjant. I prawie zawsze przynosiło to efekty.

– Ale pamiętaj, że to ja jestem szefem – dodał.

Malin zdusiła złość, wzięła do ust kawałek befsztyku, spojrzała w zielone oczy swojego nowego szefa i zapytała:

– Co jeszcze mówił Sven?

– O czym?

– O problemach.

– Chyba większość mi opowiedział – odparł Möller. – Ale zaznaczył też, że teraz czujesz się lepiej. – Milczał przez chwilę. – A co ty słyszałaś o moich problemach? – zapytał.

Sława Görana Möllera go wyprzedzała. Został zmuszony do odejścia z Landskrony po kilku niezręcznych wypowiedziach na temat imigrantów podczas zamieszek w Malmö wiosną dwa tysiące dziesiątego roku. Powiedział wtedy, że to nie w porządku podpalać samochody, nawet jeśli ktoś ma na imię Mustafa i przeżył traumatyczne doświadczenia w Iraku. Że ktoś taki powinien po prostu wziąć się w garść. Potem, gdy przeniesiono go do Helsingborga, stanął w obronie policjanta, który wrzasnął przez radio: „Jebane przybłędy”, gdy chuligani rzucili koktajlem Mołotowa w radiowóz.

Po czymś takim nie mógł zostać w Skanii. Nie można było bezkarnie bronić kolegów, którzy pozwalają sobie na rasistowskie wypowiedzi.

– Mam gdzieś twoje problemy – odparła Malin. – Z tego, co wiem, nie masz w sobie nic z rasisty. W pewnych sytuacjach ludzie potrafią mówić i robić różne rzeczy, chociaż wcale tak nie myślą. My, policjanci, powinniśmy to rozumieć. Bez względu na to, czy to dotyczy nas samych czy innych.

Göran Möller się uśmiechnął.

– Powinnaś była wziąć tę posadę – powiedział. – Potrafisz widzieć ludzi takimi, jacy są.

Kiedy się uśmiechał, wyglądał młodziej niż na swoje pięćdziesiąt pięć lat. Zwykle miał trochę obwisłe policzki jak u szczeniaka boksera, a nos wydawał się nieproporcjonalnie długi i spiczasty.

Göran Möller ma charakter, pomyślała. I człowiek słucha tego, co ma do powiedzenia. Mimo to czegoś jej przy tym stole brakowało, choć nie umiała określić czego.

– Ode mnie – powiedział na koniec Möller – nie dostaniesz kolejnej szansy. Dostawałaś je za czasów Svena.

Ku swemu zdumieniu Malin się nie rozzłościła. Jego słowa tylko ją wystraszyły.

Kurwa, myśli teraz. Sznurówka się rozwiązała.

Muszę przystanąć, nie chcę się potknąć.

Człowiek musi mieć w życiu jakieś stałe wartości, myśli Göran Möller i mocniej odkręca gorącą wodę pod prysznicem.

Lubi brać gorący prysznic. Bardziej go to rozbudza niż zimny.

Dla niego stałą wartością jest sztuka. Klasyczne malarstwo.

Cieszy się, że dostał tę posadę w Linköpingu. Po wpadce w Helsingborgu przez długi czas spychany był na margines i myślał nawet, że będzie grzebał w statystykach aż do emerytury.

Ale w końcu pomógł mu Sven, jego stary znajomy.

Gorąca woda spływa po plecach. W ustach wciąż czuje smak porannej kawy i myśli: wiem, że jestem dobrym policjantem. Nie jestem rasistą. Ale czasem właściwie trudno powiedzieć, czy nasze myśli i uczucia są rasistowskie, nawet jeśli wcale tego nie chcemy.

Lepiej siedzieć cicho. Nauczyć się trzymać gębę na kłódkę.

Göran Möller zakręca wodę. Owija się ręcznikiem i staje przed lustrem.

Lubi tę paczkę z dochodzeniówki.

Börje, Waldemar, Johan, Elin, Zeke i Malin. Nigdy nie był szefem lepszej grupy śledczych.

Sven ostrzegał go przed Malin, przed jej alkoholizmem, ale powiedział też:

– Nie ma lepszej policjantki. Daj jej duże pole manewru.

Göran natychmiast dostrzegł talent Malin. Ale również potrzebę, by wytyczyć jej granice. Nie zamierzał być dla niej przyszywanym ojcem, jakim najwyraźniej był Sven.

Sven ostrzegał go również, że Waldemar Ekenberg ma skłonności do nadużywania przemocy.

– Ale to się czasem przydaje.

Od czasu do czasu przemoc jest dobra, myśli Göran Möller, wkładając białą koszulę. Ale zawsze prowadzi do kolejnej przemocy i nie sposób przewidzieć, jak to się skończy.

Nie zauważył skłonności do przemocy u Waldemara Ekenberga. Stary, wyniszczony policjant rzucił palenie, nie używa nawet plastrów nikotynowych i jest w fatalnym humorze.

Pozostali z grupy zdają się tym nie przejmować. Ludzie mówią i robią różne rzeczy. Czasem chcą dobrze, ale wychodzi im źle. Czasem na odwrót. Tak jak wtedy, gdy żona opuściła jego i dzieci. Bez niej było im lepiej, a dzieci wyrosły na przyzwoitych ludzi.

Göran Möller najlepiej czuje się sam. Widzi w pracy tak wiele obrzydlistwa i nie chce się tym z nikim dzielić.

Walcz do końca, Malin. Niech ci rozsadzi serce.

Dobiega do śluz przy Braskens Bro. Na pięciuset metrach przyśpieszyła i teraz czuje, jak ciągnie ją w stronę ławek na małej wysepce pośrodku rzeki.

Ale opiera się temu. Czuje, jak strzyka jej w kolanach, i myśli o Johanie Jakobssonie.

Pół roku temu jego córka zachorowała. Spuchło jej kolano i przez kilka nocy krzyczała z bólu. Lekarze ze Szpitala Uniwersyteckiego stwierdzili, że ma agresywną postać zapalenia stawów. Wpompowali w nią mnóstwo kortyzonu, od którego jej ciało napuchło i była tak przygnębiona, że nie dawała rady chodzić do szkoły.

Malin widzi, jak Johan cierpi, gdy mówi o córce. Jak ciężko mu z tym, że ona źle się czuje, jakby chciał znieść za nią ból, ale wie, że to mu się nigdy nie uda.

W bólu jesteśmy sami.

Komisarzowi Karimowi Akbarowi i prokurator Vivianne Södergran urodził się syn. Karim jest na urlopie rodzicielskim i jakiś czas temu do nich zajrzał. Wózek dziecięcy od Louisa Vuittona musiał kosztować majątek, ale nie dało się zaprzeczyć, że świetnie pasuje do garnituru w prążki.

Malin biegnie z powrotem w stronę centrum. Przyśpiesza jeszcze bardziej, czuje, że da radę, że jej ciało poradzi sobie dziś ze wszystkim.

Ale siły nie są niespożyte. Dobrze, że Sven w porę odszedł na emeryturę.

Jej partner, Zeke Martinsson, jest teraz zadowolony z życia jak nigdy dotąd. Wygląda na to, że jest szczęśliwy z Karin i ani trochę nie żałuje, że się rozwiódł.

Elin Sand bardziej zintegrowała się z grupą, ale kilka dni temu powiedziała, że nie jest już z lekarką, z którą była w związku.

– Zbyt wiele nas różniło.

I może nie rznąłyście się już tak często, pomyślała Malin. Czuła tę cyniczną myśl całym ciałem. Kiedy się taka stałam?

Elin mówiła dalej:

– Ona chciała mieć dzieci, ja nie. I seks też się zrobił do niczego.

Malin wciąga powietrze do płuc. Próbuje wyprzeć ból z mięśni przepęnlonych kwasem mlekowym i pędzi przed siebie, widzi świat w tunelu krzewów, liści, żwir, który zmienia się w asfalt, niebo nad głową gdzieniegdzie pokryte chmurami.

Próbuje myśleć o Börjem Svärdzie.

Börje dostanie pięćset metrów.

Ale ma czas tylko na to, by pomyśleć o jego psach. O jego dwóch owczarkach niemieckich i o plotkach na temat kochanek. O stylu twarziela w długim płaszczu à la Marlboro man i kapeluszu z szerokim rondem; jest ponoć wyjątkowo seksowny i elegancki według damulek z Linköpingu.

Potem ciemnieje jej przed oczami.

Nie dam rady już zrobić ani kroku.

Tak, dam radę.

Malin biegnie w górę przy hali sportowej, dalej do Hamngatan, mija McDonalda, zbiega w dół w stronę kościoła, widzi szyld pubu, okna swojego mieszkania i potyka się, ale udaje jej się złapać równowagę.

Zgina się wpół pod wejściem na swoją klatkę. Czuje ucisk w żołądku, cieszy się, że przed wyjściem nic nie jadła. Mimo to nie wytrzyma. Żołądek się kurczy i Malin wymiotuje żółcią na chodnik.

– Musisz z tym skończyć. – Słyszy czyjś głos. – Jesteś zbyt piękna, żeby tak źle się czuć.

Malin podnosi głowę.

Patrzy w zmęczoną twarz Daniela i zastanawia się, co właściwie czuje.

Evy Kvist jak zwykle wstaje wcześniej, zjada talerz zsiadłego mleka, stojąc przy kuchennym blacie w swojej willi w dzielnicy Ugglebo w Ljungsbro, ponad milę od Linköpingu.

Jej mąż jeszcze śpi i jej myśli biegną do dzieci, które wyprowadziły się z domu i studiują w Lund.

Gdy odstawia do zlewu pusty talerz, Frida, siedmioletnia bokserka, wychodzi z koszyka i człapie do drzwi. Podekscytowana macha ogonem i Evy zakłada jej smycz. Nowi sąsiedzi boją się psów i domagają się tego.

Potem obie idą nad Göta Kanal. Czyste poranne powietrze wypełnia płuca, a słońce przygrzewa, gdy idą wzdłuż kanału, pod starymi dębami.

Sezon turystyczny jeszcze się nie rozpoczął, więc w śluzach przy Heda jest pusto. Evy z Fridą na smyczy przechodzi na drugą stronę kanału, ostrożnie stąpa wąską kładką na wrotach śluzy.

Zastanawia się, czy wybrać dłuższą trasę przez łąki i dalej do Blåsvädret, czy krótszą do klasztoru Vreta, a potem z powrotem tą samą drogą, którą przyszła.

Odeszła z pracy i nie znalazła jeszcze nowej, ma mnóstwo czasu, pogoda jest piękna, a Frida uwielbia być na dworze, mimo to Evy wybiera krótszą trasę. Chce wrócić do domu, do powieści, którą czyta, i zdążyć przywitać się z mężem, zanim wyjedzie do pracy.

Idzie więc dalej zachodnim brzegiem Göta Kanal i rozgląda się za innymi ludźmi, ale stwierdza, że jest sama. Przystaje i spuszcza Fridę ze smyczy.

Pies parska.

A potem rzuca się biegiem wzdłuż brzegu, jakby miał niespożyta energię, i Evy zazdrości Fridzie tak samo, jak można zazdrościć innemu człowiekowi, który ma coś, czego sami pragniemy, ale wiemy, że nigdy nie będziemy mieć.

Kilkaset metrów dalej droga wspina się na nasyp biegnący brzegiem kanału. Rosną przy niej wysokie krzewy. Evy widzi, jak pies zatrzymuje się przy nich, otrząsa, potem nurkuje w zarośla, wybiega po drugiej stronie.

Frida nieruchomieje. Odrzuca głowę do tyłu i zaczyna wyć, a potem szczeka, wciąż i wciąż.

Evy rzuca się biegiem. Biegnie do suczki tak szybko, jak jeszcze nigdy, szybciej, niż sądziła, że potrafi.



Coś jest nie tak.

Frida wciąż szczeka.

Coś jest nie tak, jak powinno być.

Co znalazłaś? Powinnyśmy były wybrać dłuższą trasę.

Evy jest u celu. Zagląda pod krzewy przy nasypie biegnącym wzdłuż brzegu kanału.

Pies szczeka.

Wyje.

Evy Kvist czuje, jak uginają się pod nią nogi. Jeszcze nigdy nie widziała martwego człowieka.

I jeśli to tak wygląda, już nigdy nie chce zobaczyć kolejnego.

Skóra jest bladolina, pokryta wzorem naczyń krwionośnych na nogach i tułowiu, noga zasłania genitalia. Ciało leży w nienaturalnej pozycji, ale równocześnie wydaje się pełne spokoju, w taki sposób, jaki widuje się tylko u zmarłych. Jakby otaczała ich ziemia, jeszcze zanim się w niej znajdą, myśli Malin.

Białe kwiaty opadły z krzewu rosnącego powyżej i wczepiły się w krótkie, jasne włosy mężczyzny, zielone liście dotykają skóry.

Leży w rowie przy brzegu kanału, pod krzakiem. Ma około dwudziestu lat, nie więcej, jego twarz jest wykrzywiona, a okolice ust i nosa są opuchnięte i zaczerwienione.

Twarz wydaje jej się dziwnie znajoma, ale nie potrafi jej skojarzyć.

W rowie jest sucho. Trawa wokół zwłok wydaje się nietknięta.

Cicho tu, myśli Malin i podchodzi o krok bliżej do ciała.

Cicho w zupełnie nowy sposób.

Wrażenie jest takie, jakby coś znikło, wycofało się, by potem wrócić, a teraz czai się poza zasięgiem. Jakby śmierć, którą widzą, była gorsza niż jakakolwiek inna dotychczas.

Zeke, Elin Sand i ona przyjechali tu zaraz po otrzymaniu zgłoszenia. Rozhisteryzowana kobieta z psem znalazła zwłoki nagiego mężczyzny.

Domyślili się, że chodzi o morderstwo. Bo normalnie nie znajduje się w tych okolicach nagich ciał, jeżeli w ogóle gdziekolwiek na świecie znajdowanie nagich ciał mogłoby być normalne. Teraz Malin stoi sama, patrzy na zwłoki, zastanawia się:

Kim jesteś? Jak tu trafiłeś?

Słyszysz, że za jej plecami Zeke uspokaja kobietę, niejaką Evy Kvist, a bokser wciąż co chwila poszczekuje, jakby rozumiał, że coś jest nie tak, ale nic nie może na to poradzić.

Rozpacz zwierzęcia. Inteligencja sterowana instynktem i ograniczony język.

Elin Sand podchodzi i staje przy Malin, która niemal czuje jej oddech na karku, ale nawet oddech Elin jest bezgłośny, i dlaczego tu jest tak cicho?

– Co o tym sądzisz? – pyta Elin. – Chyba jasne jak słońce, że został zamordowany.

Malin kiwa głową, ale się nie odzywa. Nie chce przerywać tej przerażającej ciszy, próbuje zrozumieć, co ona oznacza. Ciało, nagość, bezbronność nagiej skóry, choć nie ma już życia, które

mogłaby chronić.

Ktoś go musiał tutaj wyrzucić, to oczywiste, i Malin znów przygląda się jego twarzy. Prosty nos. Kości policzkowe jak wyrzeźbione czekanem. Wydaje jej się, że powinna go rozpoznać, wiedzieć, kim był.

Grzebie w pamięci, jest już blisko czegoś i wtedy słyszy słowa Elin:

– O, idzie Karin.

Do diabła.

To, czego była blisko, zniknęło, gdy Elin Sand się odezwała.

– Nie mogłabyś się zamknąć? – syczy Malin, a Elin rozkłada swoje długie ręce i mówi:

– Przepraszam. Nie wiedziałam, że nie wolno nam się odzywać.

Malin patrzy w stronę zwirowej drogi biegnącej od kanału do dawnej trasy prowadzącej do Motali.

Karin parkuje swoje białe volvo kombi, wysiada, otwiera bagażnik i wyjmuje torbę ze sprzętem kryminalistycznym. Zerka na Zekego, kiwa mu głową, pies szczeka na nią. Ona i Zeke nigdy nie afiszują się ze swoimi uczuciami w pracy. Malin wie, że oboje uważają, że to by było nie na miejscu. W pracy stykają się z życiem i śmiercią, z żałobą i przemocą, i nie ma tu miejsca na oznaki czułości.

Karin podchodzi do Malin i Elin i patrzy na leżące w rowie ciało.

– Nie trafił tam sam – stwierdza. Milczy przez chwilę. – Oczywiście niczego nie dotykaliście?

– Owszem – mówi Elin. – Wszystko, czego się tylko dało. Bardzo serdecznie go wyściskałam.

Karin parska, potem wybucha śmiechem.

– Nekrofilia, Elin. Nie wiedziałam, że masz takie skłonności.

To niegodne.

Gdzie przebiega granica? To, co przed chwilą powiedziałam, myśli Karin Johannison. Co wolno mi mówić przy ofiarach zbrodni, a czego nie? Co wolno mi robić?

To, co powiedziałam, przekraczało granicę, ale nasza granica się chyba przesunęła, cała grupa stała się brutalniejsza i ma mniej serca niż kiedyś. Staliśmy się bardziej cyniczni, pesymistyczni i słowa ciągle to potwierdzają. Równocześnie czarny humor łagodzi absurd tego, co się stało.

Tego, co znów się stanie.

Mówienie o nekrofilii przy tych, którzy właśnie zmarli.

Weź się w garść, Karin.

Spogląda w stronę Zekego. Jego ogolona głowa lśni w słońcu. Jest przystojnym mężczyzną,

z każdym rokiem przystojniejszym. Zupełnie jakby czas rzeźbił jego twarz i kształt głowy, nadawał im coraz czystsze linie i coraz więcej wyrazistości.

I jest dobrym tatą dla Tess.

Dla dziewczynki. Mojej córki.

Naszej córki.

Malin i Elin Sand stoją teraz dalej przy niebieskim policyjnym saabie, wycofały się, zrozumiały, że przeszkadzają. Rozmawiają, ale Karin nie słyszy, co mówią. Wykonuje swoją pracę, próbuje skupić się wyłącznie na tym. Zbadać zwłoki, zabezpieczyć ślady wokół, odciski butów na brzegu kanału, kół na drodze. A potem, gdy już to zrobi, znów zajmie się ciałem.

Jest nagie.

Samotne.

I co dziwne, nie ma na nim żadnych widocznych obrażeń. Tylko wokół ust i nosa widać wyraźny obrzęk, co może oznaczać, że mężczyźni mocno przyciśnięto do nosa i ust szmatkę nasączoną jakimś środkiem usypiającym.

Ma siniak z tyłu głowy.

Może stawiał opór, zanim stracił przytomność.

Dalej na drodze rozróżnia ślady kół prowadzące do tego miejsca. Ślady niebieskiego saaba są na samym wierzchu, ale pod nimi jest wiele innych.

Karin kuca przy zwłokach. Czuje, jak biodra trzeszczą i protestują.

Ktoś cię tu przywiózł samochodem? Czy zabił cię tutaj i rozebrał do naga?

To pierwsze wydaje się bardziej prawdopodobne.

Karin idzie wzdłuż rowu przy drodze. Przygląda się trawie. Wydaje się zbyt równo układać, jakby ktoś zacierał ślady.

Na brzegu rowu, tuż przy drodze, znów się pochyła. Drobne, połamane kwiatki, a w żwirze słabe ślady, które mogły pozostawić pięty mężczyzny.

Wraca do zwłok. Ogląda pięty, wyjmuje z kieszeni szkło powiększające, widzi niemal mikroskopijne drobinki żwiru, które utkwily w twardej skórze.

A więc musiałeś tutaj przyjść, myśli Karin, a potem patrzy w stronę Malin i Elin, macha do nich, żeby podeszły.

Zeke wciąż stoi przy kobiecie z psem.

Kobieta wydaje się spokojniejsza, a pies przestał szczekać.

– Czyli wyszła pani na spacer z psem i poszła taką samą trasą jak codziennie rano?

Zeke się stara, by jego głos brzmiał spokojnie, i dobrze mu to wychodzi, bo sam jest spokojny. Udało mu się sprawić, by Evy Kvist otrząsnęła się z szoku, w jakim ją zastali, gdy przyjechali na miejsce.

– Ty z nią pogadaj – powiedziała mu Malin. – Przydałoby się, żeby ktoś ją uspokoił.

Najpierw objął kobietę, pocieszał ją, powiedział, że to okropne uczucie minie, a jeśli będzie chciała, może jej załatwić spotkanie z kimś, z kim mogłaby o tym porozmawiać, ale najpierw musi porozmawiać z nim.

A teraz odpowiada na jego pytania.

Pies wreszcie przestał szczekać.

– Dziś poszłam krótszą trasą. Ona to lubi. Czasami zabieram ją na dłuższy spacer.

– I to pies znalazł ciało pierwszy?

Evy Kvist kiwa głową.

– Spuściłam ją ze smyczy i pobiegła.

– Widziała tu pani jeszcze kogoś?

Kobieta się zastanawia.

– Nie, byłam zupełnie sama. Nie było tu nikogo.

Z wyjątkiem tego w rowie, myśli Zeke.

– I niczego pani nie dotykała?

– Nie.

– A suczka?

– Nie, ona też nie. Zatrzymała się obok i zaczęła szczekać.

Spisał adres i numer telefonu tej kobiety, teraz nie miał już do niej żadnych pytań. To oczywiste, że nie miała nic wspólnego z tym morderstwem, więc gdy pyta go, czy może już iść, Zeke potakuje i mówi:

– Tak, może pani iść. – Patrzy za kobietą, widzi, jak bierze psa i rusza brzegiem kanału pod sklepieniem z kwitnących dębów. – Proszę się do nas odezwać, jeśli będzie pani chciała z kimś o tym porozmawiać – woła za nią Zeke.

Malin stoi na brzegu rowu i spogląda w dół na Karin. Elin Sand kołysze się na piętach tuż obok niej i Malin znów czuje jej oddech, ale nie słyszy go.

W tym miejscu jest coś niemego, zupełnie jakby ten zamordowany młody mężczyzna krzyczał coś do niej, ale nie słychać ani jednego słowa.

Zduszona tęsknota.

Niema cisza.

Właśnie to się stało, myśli Malin. To, że świat zmienił się w niemy krzyk.

Daniel Högfeldt mocno ściska kierownicę. Przed sobą, na grzbiecie wzniesienia, widzi stary klasztor Vreta, na wschód, na stoku opadającym w stronę jeziora Roxen, ciągną się eleganckie wille, a w basenie portowym między górną a dolną śluzą kołysze się kilka srebrzystych masztów.

Rzepakowe pola są śpiewnie żółte, a błyszczące płatki sprawiają, że cały widok wydaje się maślany, jakby skojarzenie z masłem było silniejsze niż to z olejem.

Wypił cztery filiżanki kawy. Połknął dwie tabletki kofeiny. Mimo to jest przepotwornie zmęczony.

Gdy zadzwonił telefon i Daniel zobaczył, że to jego kontakt z policji, nie potrafił nie odebrać. Leżał nagi w łóżku Malin, wrócił do domu po nocnej zmianie, dopiero co zasnął, kiedy obudził go sygnał. Zerwał opaskę z oczu i odebrał.

Nagie ciało.

I choć był zaspany, instynktownie poczuł, że to będzie jakaś gruba sprawa.

Teraz siedzi w samochodzie, nie śpi od ponad dwudziestu godzin, i wciska pedał gazu. Przejeżdża przez rondo przy klasztorze, mija szkolny budynek z białej cegły i kieruje się w stronę Blåsvädret.

Wkrótce dociera do zjazdu. Skręca. Widzi białe volvo Karin Johannison i niebieskiego policyjnego saaba.

Widzi Elin, Zekego i Karin.

I Malin.

Stoją przy jakichś krzakach i spoglądają w dół, Boże, jaka ona piękna, kiedy wiatr rozwiewa jej włosy i odsłania smukłą szyję.

Moje usta na tej szyi.

Chcesz, żebym był twardy i ostry, odmawiasz wszystkiego innego. Ale to przyjdzie. To się zmieni.

Wysiada z samochodu i bierze ze sobą aparat. Coraz częściej musi pracować bez fotografa. Środki na zawodowego fotografa znajdują się tylko czasami.

– Co ty tu robisz? – woła Malin. Daniel zbliża się do nich zwirową drogą z dużym aparatem fotograficznym przerzuconym przez ramię. Malin słyszy irytację w swoim głosie, ale właściwie

cieszy się, że go widzi, że jest pierwszym dziennikarzem, który przybył na miejsce. – Nie powinieneś przypadkiem spać?

Wie, że Daniel jest zmęczony, ale na pewno zadzwonił do niego jego policyjny informator. Nie chce powiedzieć, kto to taki, a ona nie naciska. Złamałby prawo, gdyby to zdradził. Czasami się zastanawiała, czy to nie ona sama. Gadam przez sen, mówię rzeczy związane z pracą, o których potem zapominam? Dzwoniłam do niego niedawno? I Malin ma ochotę wyjąć komórkę i sprawdzić listę połączeń, ale się powstrzymuje.

Nie. Dzwoniłam. Do. Niego.

Daniel ma cienie pod oczami, a jego skóra ma szarawy odcień, jak u ludzi, którzy się nie wysypiają.

Od czasu do czasu Malin się z nim droczy, bo jest taki tajemniczy.

– No daj spokój. Kim on jest?

– To przecież może być ona.

– Ja?

– Nie. Oboje wiemy, że to nie ty.

Wiemy?

Podchodzi do nich. Uśmiecha się niepewnie i ten uśmiech szybko się zmienia w równie wystudiowany wyraz twarzy, który ma wyrażać troskę.

– Cześć. Co tu macie?

Pozostali witają się z nim, a Karin wskazuje na rów. Malin wie, że teraz uważają Daniela za równego faceta. Nie jest tak natarczywy jak niektórzy dziennikarze z popołudniówek.

– To niezbyt piękny widok – mówi Zeke.

Daniel postępuje o krok, zagląda do rowu, patrzy na zwłoki zamordowanego młodego mężczyzny.

Malin widzi, jak jego brwi się unoszą.

Nie ze strachu czy z obrzydzenia, lecz z autentycznego zdumienia.

– A niech mnie – mówi. – O cholera.

– O co chodzi? – pyta Karin.

– Właśnie, o co? – dodaje Elin.

– Nie poznajecie go? To przecież Peder Åkerlund.



Peder Åkerlund.

To jej przed chwilą umknęło. Malin go rozpoznała i teraz, gdy usłyszała jego nazwisko, wie, kim był.

Należał do partii Szwedzkich Demokratów.

Peder Åkerlund zasiadał wcześniej w radzie gminy, ale musiał odejść po tym, jak powiedział, że wszyscy muzułmanie poniżają kobiety i gdy tylko nadarzy im się okazja, gwałcą własne córki. Jakiś student dziennikarstwa natknął się na niego w Hamlecie i nagrał jego pijackie wywody. Wynikła z tego gruba afera.

Daniel mówi dokładnie to, co Malin myśli.

Ogólnokrajowa prasa strasznie to nagłośniła.

Malin przypomina sobie całą tę wpadkę. Jak media domagały się, by lider partii Jimmie Åkesson publicznie przeprosił, ale on wskazał tylko na lokalnych przedstawicieli partii. Zrobił unik. Nie chciał przeproszać za kogoś innego. Ani nawet potępić tej wypowiedzi.

Peder Åkerlund.

Rasista.

A teraz leżysz tu, pod nami.

– Musiał mieć wielu wrogów – mówi Daniel, a Malin czuje wiatr na szyi, ciepły wiatr niosący obietnicę lata.

– Ale będzie cyrk – mówi Elin.

Zeke przesuwa ręką po ogolonej głowie.

– Co jeszcze wiesz? – pyta Daniela.

– W końcu został wykluczony z partii.

– Wyrzucili go? – pyta Elin.

– Tak, robią to ze wszystkimi, którzy się z czymś takim wychylą. Ale on się zmienił. Peder Åkerlund zdystansował się od partii i od swoich poglądów. Pisaliśmy o tym trochę. Że chciał jeździć po szkołach, propagować walkę z ksenofobią, opowiadać swoją historię. Jak łatwo jest trafić w złe towarzystwo.

Nawrócony, myśli Malin. Pod szubienicą.

- Był młody – mówi na głos.
- Chcesz powiedzieć, że wszyscy robimy głupie rzeczy, kiedy jesteśmy młodzi? – pyta Karin.
- Nie. Chcę powiedzieć, że czasem płacimy wysoką cenę za to, kim jesteśmy, i za błędy, jakie popełniamy – odpowiada Malin.

W tej samej chwili na miejsce przyjeżdża wóz policyjny i wysiada z niego Göran Möller. Jego twarz jest zacięta i Malin myśli, że musi być zdenerwowany i wzburzony tą sprawą. Sprawą, która w nieunikniony sposób będzie kojarzona z powodami, dla których musiał ustąpić ze swojego stanowiska w Skanii.

Przeszli jakieś sto metrów w stronę śluzy i przy piknikowym stole przeprowadzili pierwsze spotkanie związane ze śledztwem. Johan Jakobsson przyjechał z Göranem, otworzył laptopa, siedzi przy nim spięty i czujny.

Na dole, w krzakach, Karin wciąż pracuje przy zwłokach.

Czekają, aż przyjedzie karetka i przewiezie je do zakładu medycyny sądowej. Tam Karin je otworzy, poda im prawdopodobną przyczynę śmierci.

Göran Möller pochyla się nad drewnianym blatem.

– Traktujemy to jak śledztwo w sprawie morderstwa. To oczywiste, że nie trafił tu sam. Najprawdopodobniej został, jak mówi Karin, zamordowany gdzie indziej, a potem przewieziony tu samochodem.

– Co o nim wiemy prócz tego, co mówił Daniel? – pyta Zeke.

Johan zaczyna stukać w klawiaturę, pozostali czekają w milczeniu.

– Sporo osób mogło być na niego wściekłych – mówi po chwili. – Przede wszystkim jego wcześniejsi oponenti. Lewicowcy, muzułmanie. A potem też dawni koledzy z partii. Najwyraźniej odmówił, gdy proszono go, żeby odszedł, a gdy w końcu to zrobił, zwrócił się przeciw nim. Mam tu jego stronę. To musiała być trudna lektura dla fanów Avpixlat.

Johan odwraca laptopa, żeby wszyscy mogli spojrzeć na ekran.

*W obronie nikabu!*

*Zwiększmy imigrację.*

*Zintegrujmy CAŁY Linköping.*

Malin czyta nagłówki na stronie internetowej Pedera Åkerlunda i próbuje poczuć sympatię do niego, do zwłok, które leżą kawałek dalej, do człowieka, którym był. Bo wie, że kiedy coś czuje, lepiej wykonuje swoją pracę.

Ale czyta i nie udaje jej się nic poczuć. Mimo dobrych intencji.

– Media dostaną szału – mówi Göran Möller.

Johan pokazuje im kolejne strony.

Jakiś anonimowy lewicowy aktywista pisze, że Peder Åkerlund i wszyscy jemu podobni zasługują na śmierć. Nazywa jego przemianę „pozbawioną znaczenia”. Jeśli raz było się rasistą, człowiek pozostaje nim na zawsze.

Na innej stronie jest film z mężczyzną ubranym w kaftan. Jego twarz jest ukryta za białą tkaniną. Mówi, że Pedera Åkerlunda należałoby ukamienować. Film pochodzi z czasów, zanim Åkerlund zmienił poglądy, gdy wciąż zasiadał w radzie gminy.

– No to mamy sporo punktów zaczepienia – mówi Göran spokojnym, rzeczowym tonem.

Nie jest ani trochę wzburzony ani przestraszony, myśli Malin, a Möller uśmiecha się do niej.

– Musimy odtworzyć ostatnie dni z jego życia – ciągnie. – Co Peder Åkerlund robił wczoraj? Kto ostatni widział go żywego? I musimy poinformować rodzinę. Szybko, zanim to wyjdzie na jaw.

– Rodzina będzie musiała go zidentyfikować – mówi Malin.

Göran Möller patrzy na nią.

– Właśnie do tego zmierzałem. Trzeba będzie też przesłuchać rodzinę.

Na miejsce przyjeżdża biała furgonetka z TV4, a za nią parkuje karetka. Wysiada z niej dwóch ludzi, na szczęście nie ma wśród nich Jannego. Wyciągają nosze.

Karin pokazuje im gestem, żeby zeszli do niej do rowu.

Niedługo stąd odjedziesz, Pederze Åkerlund, myśli Malin.

– Na ciele nie ma żadnych większych obrażeń – mówi. – I według Karin żadne nie są natury seksualnej.

– W takim razie możemy z dużym prawdopodobieństwem założyć, że to nie przestępstwo na tle seksualnym – mówi Göran Möller. – Chociaż zwłoki były nagie. Przestępcy tego typu rzadko się zadowolają samą nagością. Ale nie możemy być do końca pewni, dopóki nie dostaniemy wyników sekcji.

Potem milknie, a Malin i pozostali czekają na próżno, by naprawdę przejął dowodzenie, tak jak to zawsze robił Sven, z wyjątkiem ostatniego okresu, gdy zmęczenie brało nad nim górę.

Ale nic się nie dzieje.

– Będziemy musieli obejść domy i przepytac mieszkańców tu w okolicy – odzywa się Zeke.

Möller kiwa głową.

– Ja się tym zajmę.

Potem Elin Sand pyta:

– Powinniśmy porozmawiać z miejscowym imamem? Albo z radykalnymi lewicowymi aktywistami? Na przykład z Antify?

Nikt nie odpowiada na jej pytanie, śledczy szybko wymieniają spojrzenia i wszyscy czują, że ta sprawa będzie jak pole minowe. Göran Möller powoli wypuszcza powietrze z płuc.

– Jeszcze nie. Ale Johan, możesz próbować namierzyć tych, którzy odpowiadają za te strony i pozostały materiał, który nam pokazywałeś, a potem pogrzebać głębiej. Musimy sprawdzić mieszkanie Pedera Åkerlunda. Przejrzeć jego komputer. Może znajdziemy tam też komórkę.

– Dlaczego jest nagi? Skoro to nie ma nic wspólnego z seksem? – pyta Malin.

– Żeby go poniżyć – mówi Elin. – Jeśli morderca nienawidził Pedera Åkerlunda, to może wydawało mu się naturalne, by pokazać go światu całkowicie bezbronnego i obnażonego.

– A może po prostu po to, żeby zatrzeć ślady? Upewnić się, że nie znajdziemy DNA na ubraniu? – podsuwa Zeke.

– Wygląda na to, że sprawca próbował zatrzeć ślady w trawie. Równocześnie chciał, żeby ciało zostało znalezione – zauważa Göran Möller. – Inaczej nie zostawiłby go chyba w tak widocznym miejscu?

– Zupełnie jakby morderca chciał coś przekazać – mówi Malin. – I się przy tym nie zdradzić.

Podoba jej się metodyczne nastawienie Möllera.

– Co przekazać? – pyta Elin.

– Nie mam pojęcia. Pewnie był dezorientowany albo chce dezorientować nas.

– Albo była – dodaje Elin.

– Albo była.

Na blacie stołu przysiada wróbel, dziobie, ale leci dalej, gdy zdaje sobie sprawę, że nie ma tu nic do jedzenia. Kawalek dalej przez służę przeprowadzają właśnie pełnomorski jacht motorowy, na szczycie masztu radiowego powiewa niemiecka flaga.

Zaczyna się inwazja, myśli Malin.

– Wygląda na to, że to było zaplanowane – mówi Göran Möller. – O ile Åkerlund został odurzony, tak jak sądzi Karin. Środki usypiające nie są przecież czymś, co człowiek nosi przy sobie albo trzyma w domu.

– A kto ma dostęp do środków usypiających? – pyta Elin. – Lekarze?

– Każdy – wyjaśnia Göran. – Wszystko da się kupić w sieci.

Malin widzi, że Elin trochę się wstydzi. Jej policzki się rumienią. Ale to nie było głupie

pytanie. Teraz, na początku śledztwa, trzeba poruszać wszystko, przyglądać się wszystkiemu pod różnym kątem i jedynym, czego mogą być pewni, jest to, że coś przeoczą.

Malin jeszcze nigdy nie brała udziału w śledztwie, w którym nie popełniono by żadnych błędów.

– Jego rodzice mieszkają w Sturefors – informuje Johan. – Wygląda na to, że to jego najbliższa rodzina.

– Malin – mówi Göran. – Chcę, żebyś pojechała z Zekem i powiadomiła rodziców. Jeśli chcecie, weźcie ze sobą pastora.

Malin kiwa głową.

Nie chce jechać do Sturefors.

Nienawidzi takich zadań, ale wie, że ona i Zeke zrobią to najlepiej. Że dzięki czemuś w rodzaju rzeczowości będą dla kogoś oparciem w niezwykle trudnych chwilach. I może Göran chce wyznaczyć jej to przykre zadanie, żeby pokazać, że to on tutaj rządzi.

– Zajmiemy się tym – zapewnia Zeke.

– Mieszkał w Johannelund – mówi Johan.

– Dzwonię do Waldemara – informuje Göran. – On i Elin zajmą się mieszkaniem.

W ich stronę idzie reporter z TV4, za nim kamerzysta; Malin widzi, że na drodze zatrzymują się kolejne samochody. Kolejni reporterzy. Tłoczą się przy noszach z żółtym workiem na zwłoki, które są właśnie wnoszone do karetki.

Karin wychodzi z rowu. Strzepuje ubranie. Zakończyła już tutaj pracę.

Daniel cofa samochód zygzakiem, lawirując między nowo przybyłymi wozami.

Jedź do domu i się wyśpij, myśli Malin. Inaczej nie będziesz miał sił na tę sprawę.

– Gdzie mieszkają rodzice? – pyta.

– Przy Älgvägen trzydzieści cztery.

Malin czuje ukłucie w sercu.

Älgvägen.

Równoległa do tej pieprzonej ulicy, gdzie się wychowała, do jedynej ulicy na całym świecie, o której może powiedzieć, że jej nienawidzi.

Wciąż słyszę tykający zegar.

A może mi się tylko wydaje.

Węzyk w ustach jest zimny i obrzydliwy, ale woda jest dobra, moje wargi są takie zaschnięte. Usta są jak dziura wypełniona ziemią, tak to odczuwam.

Mam otarcia na łokciach. Chcą się we mnie wbijać drzazgi. Larwy też chcą się we mnie wgryźć.

Krzyczę, żeby przestały. Ale nikt nie odpowiada.

To sen, jawa czy może nie żyję?

Kiedy człowiek umiera?

Uderzam kolanami w wieko skrzyni, ale słysząc tylko głuchy odgłos.

Skądś mam powietrze. Ktoś zrobił tak, by w mojej trumnie było powietrze, ale w każdej chwili może się skończyć.

Nie dało się dłużej wytrzymać i teraz pode mną jest gówno. Najpierw śmierdziało, nie dało się powstrzymać płaczu i krzyku. Ale teraz nie czuję już smrodu, tylko coś lepkiego na udach, pośladkach i plecach.

Muszę się wydostać.

Wydostać się i odetchnąć prawdziwym powietrzem. Tutaj nie mogę oddychać, nie tak, jak chcę. Wciągam powietrze jednym nozdrzem, a wypuszczam drugim.

Ktoś musi mi pomóc.

Kto pogrzebał mnie żywcem?

Niedługo zakwitną jabłonie.

Malin zamyka oczy, gdy samochód wjeżdża w dzielnicę willową, w której się wychowała. Nie chce widzieć niewielkich domków z cegły, starszych i o wiele mniejszych niż we wspomnieniach. Ale nie da się uciec przed samą sobą. Wie o tym.

Twarz matki.

Zacięta, rozgoryczona mina i jej pragnienia, by być kimś lepszym niż inni. To cechowało całe jej życie. Ich życie. Tanie podróbki dywanów na podłodze. Na ścianach litografie artystów trzeciej kategorii. Domaganie się, by ojciec nosił garnitur w domu i gdy wychodzili do miasta w weekendy. Malin miała nosić różowe sukienki.

Przypomina je sobie. Wcześniej musiała to wypierać. Ale teraz je sobie przypomina. Jak nigdy nie mogła pobiec na plac zabaw, bo wtedy różowe tiulowe sukienki by się pobrudziły. Pamięta palące uczucie wstydu, kiedy inne dzieci się z niej śmiały.

Miała ochotę zamknąć się w szafie i czuje uderzenie w twarz. To matka ją uderzyła, kiedy zniszczyła sukienkę.

Malin biegnie boso po gliniastej ziemi.

Nie, nie zniszczyła sukienki. Ubrudziła ją i ma teraz sześć czy siedem lat, a matka chce z niej zrobić statystkę we własnym życiu.

Niech cię szlag, mamó.

– Trzęsiesz się – mówi Zeke. – Źle się czujesz?

– Nie. – Malin nie otwiera oczu. Próbuje zapanować nad swoim ciałem.

Malin rozpoznaje siebie, gdy była dziewczynką. Wtedy chciała się tylko bawić i bawić, ale matka chciała czegoś innego. Matka pragnęła tylko tego, by być kimś innym.

To czyniło z niej oszustkę, która zasłużyła sobie na nienawiść.

A potem umarła.

Ale Stefanowi jest teraz dobrze. W nowym domu opieki w Ljusdal, do którego trafił. Ludzie, którzy tam pracują, mają serce we właściwym miejscu, a właściciele nie gonią tylko za jak największym zyskiem. Chyba go rozumieją, choć Stefan nie mówi i wydaje się nieświadomy swojego otoczenia.

Tata.

Który porzucił Stefana. Trzymał przede mną w tajemnicy, że mam brata.

Ponoć miał się ożenić ze swoją bogatą Niemką na Teneryfie. Tove widziała to na Facebooku na profilu tej baby.

Nie powiedział nam ani tym bardziej nas nie zaprosił. Wykluczył nas ze swojego życia, a my wykluczyliśmy jego.

Malin powstrzymuje drzenie. Myśli, że jej ojciec jest najgorszym tchórzem na świecie. Musiał wiedzieć, że nienawidziłam tych różowych sukienek. Pozostawił Stefana – i w pewien sposób również mnie – własnemu losowi.

Znów otwiera oczy. Widzi wille. Zadbane rabaty i idealnie poprzączone jabłonie.

– Nie wjeżdżaj tutaj – mówi, gdy zbliżają się do jej ulicy. – Objedź od drugiej strony.

Zeke nie odpowiada, po prostu skręca w drugą stronę i docierają na Älgvägen. Zatrzymują się przy piętrowym domu z czerwonej cegły.

Wysiadają z wozu. Gdy Malin rusza z miejsca, nogi nie chcą jej słuchać.

Są w tym dobrzy, ona i Zeke.

Mają w tym wprawę.

Jakie to chore, myśli Malin i naciska dzwonek.

Odgłos kroków w środku; po chwili drzwi się otwierają.

To mężczyzna w wieku Malin, przystojny, jasnowłosy i wysportowany. W tle słychać głos kobiety:

– Anders, kto to?

To musi być matka Pedera Åkerlunda. Według Johana ma na imię Rebecka.

– Policja przyszła!

Anders Åkerlund domyślił się, kim są, choć nie musieli mu tego mówić, ale sądząc po jego spojrzeniu, nie ma pojęcia, w jakiej przyszli sprawie.

– Peder ma kłopoty? – mówi i wpuszcza ich do przedpokoju. – Chyba nie zrobił nic głupiego?

– Malin Fors – przedstawia się Malin. – Policja z Linköpingu. To mój kolega, Zacharias Martinsson.

Malin wyciąga rękę i witają się.

– Nie muszą państwo zdejmować butów.

Idą za Andersem Åkerlundem w głąb domu, a on prowadzi ich do salonu. Stoją tu meble z Ikei, wymieszane z rodzinnymi pamiątkami: w pokoju dominuje duża ludowa komoda



z ługowanego drewna.

W czerwonym fotelu siedzi kobieta, która mogłaby być Malin. Koło czterdziestki, blondynka z fryzurą na pazia, na pierwszy rzut oka wysportowana, ale obok fotela stoi wózek inwalidzki i widać przez dzinsy, że nogi kobiety są wiotkie.

– Rebecka. – Uścisk jej dłoni jest silny. Poprawia się w fotelu. Wygląda to tak, jakby chciała z niego wstać. Unosi górną część ciała, ale nic z tego nie wychodzi.

Anders Åkerlund wciąż stoi. Zaczyna coś przeczuwać, prawie rozumie.

– Byłoby lepiej, gdyby pan usiadł – mówi Zeke i wtedy rodzicom Pedera wreszcie świta, dlaczego przyszła do nich policja. Równocześnie, jakby były idealnie zsynchronizowane, ich twarze się wykrzywiają, a Rebecka Åkerlund szepcze:

– Powiedzcie, że to nieprawda. Powiedzcie, że to nieprawda.

Anders Åkerlund opada na niebieską sofę, Malin siada obok niego, obejmuje go ramieniem. Słyszy słowa Zekego:

– Niestety, musimy państwa poinformować, że wasz syn Peder został dziś rano znaleziony martwy. Zamordowano go.

– Skąd możecie być pewni, że to on? – pyta Rebecka.

Malin widzi sprzeciw w jej oczach. Potem jej spojrzenie gaśnie.

Pół godziny protestów. Pytania o to, jak i dlaczego, zaprzeczania, łez i przekleństw, a potem zrozumienie, że ten pokój, ci ludzie, ta wiadomość – to rzeczywistość. I wtedy zaczyna się przyszłość.

Z czego się składa?

Z żałoby.

Z praktycznych spraw.

Rodzice Pedera Åkerlunda wiedzą, że ich życie zmieniło się na zawsze, że będą musieli żyć z bólem, który będzie zmieniał charakter, ale nigdy się nie skończy.

Rebecka Åkerlund kołysze się w tył i w przód na fotelu, dotyka swoich sparaliżowanych nóg.

– Oczywiście byliśmy smutni i zszokowani, że z początku miał takie poglądy. My tak wcale nie myślimy. Próbowaliśmy przemówić mu do rozsądku, ale się nie dało. Nie chciał słuchać. Ale potem się zmienił.

– Był uparty – dodaje Anders Åkerlund. – Najpierw szkoły nie były zainteresowane tym, żeby przychodził i opowiadał swoją historię. Ale namówił je. Na jesień wybierał się do kolejnych szkół. Widzieliście pewnie jego antyrasistowską stronę?

– Jest mądrym chłopcem – mówi Rebecka Åkerlund.

– Jak trafił w kręgi prawicowych ekstremistów? – pyta Malin.

Rebecka Åkerlund wyjaśnia.

– Gdy miał piętnaście lat, poznał dziewczynę. Nancy. Strasznie się w niej zakochał i byli razem przez rok. Ale potem ona poznała ciemnoskórego chłopaka. I zerwała z Pederem. – Patrzy na męża. – Bardzo źle to przyjął.

Malin spogląda na Zekego. Oboje wiedzą, że nie powinni teraz zadawać pytań, tylko pozwolić Andersowi i Rebecce mówić. Rodzice stali się teraz głosami śledztwa.

Niech ich słowa płyną powodowane szokiem.

Uczuciem straty.

– Zaczął nienawidzić wszystkich imigrantów – ciągnie Rebecka. – Mówił, że gdyby ich nie było, wciąż miałby Nancy.

– A potem zaangażował się politycznie – dorzuca Anders. – Zapisał się do Szwedzkich Demokratów, do ich związku młodzieży, kiedy potrzebowali ludzi po ostatnich wyborach. I wyszło, jak wyszło.

Para milknie.

Potem Rebecka zaczyna się przesiadać na wózek inwalidzki. Unosi się z wysiłkiem, przekłada jedną nogę, potem drugą.

Robiłaś to tysiące razy, myśli Malin. Czy kiedykolwiek to będzie proste?

– Miał jakichś wrogów w partii? – pyta.

Rodzice kręcą głowami.

– Nie ucieszyli się, kiedy odmówił odejścia z partii. Ale wrogów? Trzymali się razem, takie przynajmniej odnosiłam wrażenie – mówi Rebecka. – Nie spodobało im się, kiedy zmienił strony, ale wydaje mi się, że i tak utrzymywał kontakt z niektórymi z nich. Jak to z kolegami.

– Pomijasz jedną rzecz – odzywa się Anders Åkerlund. Jego głos jest ostry, autorytatywny.

Rebecka wyjeżdża na wózku do kuchni.

– O czym pańska żona nie mówi?

– Wiem, że dostawał od kogoś z partii listy z pogrózkami.

– Od kogo? – pyta Malin.

– Nie chciał powiedzieć.

– Widzieliście państwo te listy?

– Nie, ale opowiadał o nich.

– Wie pan, kto to mógł być?

Anders Åkerlund zaciska zęby. Prócz żałoby w jego oczach Malin dostrzega wstyd z powodu poglądów syna i rozumie, dlaczego Rebecka nie chciała mówić o listach. Chciała chronić jego dobre imię.

– Możecie porozmawiać z Maxem Frimanem – mówi Anders.

Malin notuje sobie nazwisko w komórce.

– Wie pan, gdzie go znajdziemy?

Anders Åkerlund kręci głową. Jego żona wraca do pokoju. Na kolanach trzyma tacę, którą zręcznie balansuje, kierując wózkiem.

Dzbanek z jasnoczerwonym sokiem.

Cztery szklanki.

– Pomyślałam, że chce się państwu pić. – Odstawia tacę na stole w dużym pokoju i zwraca się do Malin: – Peder wcześniej nam się urodził, potem był ten wypadek i nie miałam już więcej dzieci.

Nie miała więcej dzieci.

Malin rozumie jej rozpacz i być może Rebecka to widzi, bo w następnej chwili podjeżdża na wózku do Malin, ujmuje jej rękę i szepcze:

– Był moim jedynym dzieckiem.

Potem zaczyna płakać i wydaje się, że Anders Åkerlund chce wstać z sofy i pocieszyć żonę, ale mięśnie odmawiają mu posłuszeństwa.

– Moje jedyne dziecko. A teraz tu przychodzicie i mówicie, że został zamordowany.

Puszcza rękę Malin, odjeżdża do tyłu i z pełną siłą zmiata ze stołu dzbanek z sokiem.

– Co się wam, kurwa, wydaje?! Co?! Jak śmiecie robić coś takiego? CO? CO? CO?

Samotność ma słodko-gorzki smak, myśli Elin Sand. Najlepsza jest cisza. To, że człowiek nie musi słuchać czyjejs krzątany, kogoś, kto otwiera usta, choć właściwie nie ma nic do powiedzenia i niczego sobie nie przemyślał.

Jej partnerka, albo raczej była partnerka, lekarka, była właśnie z takich, które ciągle gadają. Po prostu sypała poglądami.

Prawa kobiet.

Równouprawnienie.

Feminizm.

Elin nigdy nie miała do tego cierpliwości. W każdym razie nie do tej retoryki. Całe jej życie było działaniem feministycznym, robiąc to, co robiła, chciała pokazać, że jako kobieta jest równie dobra jak mężczyźni.

To jedyny sposób.

Rozgląda się po skromnym pokoju.

To dom samotnego mężczyzny, myśli.

Ona i Waldemar Ekenberg weszli z technikiem do mieszkania Pedera Åkerlunda. Mieszkanie jest położone na siódmym piętrze w jednym z wysokich, żółtych bloków w Johannelund. Tutaj jest się blisko nieba, myśli Elin, a na zewnątrz chmury trochę się rozstały i świat jest coraz bardziej błękitny, przechodząc aż po horyzont w różne odcienie.

Świat jakby nie miał końca.

A potem znika.

Otworzyli drzwi balkonowe, żeby przewietrzyć trochę mieszkanie. Technik krząta się w kuchni, Bóg raczy wiedzieć, czego szuka. Wcześniej spakował komputer Pedera Åkerlunda.

Choć kawalerka jest skromna, wydaje się schludna i posprzątana. Nie ma żadnych śladów walki. Nieliczne meble zdają się pochodzić z różnych pchlich targów, ale wszystko świadczy o jakimś guście, a kolory są dobrane w odcieniach brązu.

Na ścianach wiszą reprodukcje obrazów, które Elin poznaje. Namalował je marny malarz, który został dyktatorem.

Adolf Hitler.

Jeśli nie umiesz malować, zamorduj miliony ludzi.

Jeśli nie jesteś akceptowany, uderz.

Dziwne, że nadal tu wiszą, choć Peder Åkerlund stał się zaangażowanym przeciwnikiem rasizmu. Odwraca wzrok od obrazów i wychodzi na balkon.

Patrzy na Linköping.

Mieszka tu już od prawie dwóch lat, ale wie, że nigdy nie poczuje się jak u siebie w domu wśród wszystkich tych napuszonych wykładowców i urzędników. W tym mieście jest coś paskudnie specyficznego. Wielu ludziom wydaje się, że są cholernie specjaliści, choć zupełnie nic za tym nie przemawia. Obsługa w sklepach zachowuje się wyniośle. Wielu młodym laskom wydaje się, że są kimś.

Elin przyłapuje się na swoich myślach i nie chce być taka. Nie chce stać się zgorzkniałą jedzą i myśli, że musi się stąd wyprowadzić.

W pewnym sensie jest tu mniej rasizmu niż w wielu innych miastach. Zupełnie jakbyśmy wpuszczali ludzi z obcych kultur, nie robiąc z tego większego problemu. Jakby ludzie rozumieli, że imigranci są potrzebni.

To jest ta dobra rzecz, którą przynoszą ze sobą intelektualiści. Większość mieszkańców Linköpingu uważa się za zbyt dobrych, by patrzeć na kogoś z góry tylko dlatego, że ta osoba ma inne pochodzenie czy kolor skóry. Oceny są za to znacznie ostrzejsze, gdy chodzi o swoich, którzy są ekscentrykami.

Elin wraca do mieszkania.

Waldemar parska, nerwowo pociera brązowe spodnie, klepie się po nich. Elin widzi, jak strasznie chce mu się zapalić, jaki samotny musi się czuć we własnym ciele bez nikotyny. Mimowolnie uśmiecha się do niego.

– Przestań szczyrzyć zęby, do cholery!

Wcześniej zachowywał się wobec niej seksistowsko.

Ale teraz prawie całkiem przestał, choć czasem nie potrafi się powstrzymać od jakiegoś komentarza o jej długich nogach.

Elin go lubi. Lubi jego gwałtowność.

Ma gdzieś tych, którzy nie rozumieją, że przemoc jest czasem potrzebna, również po to, by osiągnąć coś dobrego. Tylko wychudzeni lewicowi intelektualiści mogą wpadać na takie pomysły. Ludzie, którzy sami nigdy nie doświadczyli przemocy ani nie widzieli jej konsekwencji.

– Porządnie tu – stwierdza Elin i wysuwa ostrożnie szufladę biurka. Nie chce niczego dotykać, póki nie obejrzy tego technika.

– Z zewnątrz porządek, w środku chaos. Chociaż na początku miał trochę racji. W mieście jest za dużo czarnuchów.

– Daj spokój, Waldemar – mówi Elin. – Nie zaczynaj od nowa. Myślałam, że dałeś już sobie spokój z takimi gadkami.

– Jak myślisz, ilu czarnuchów mieszka w tym budynku? Trzydzieści procent? Czterdzieści? Nic dziwnego, że facet został rasistą.

Elin kręci głową i przeszukuje resztę biurka.

Tylko rachunki, czyste białe kartki.

Zagląda do jedynej szafy.

Ubrania, trochę sprzętu sportowego. Na regale znajduje parę broszurek Szwedzkich Demokratów. Ta sama patriotyczna gadka co zwykle. Znajduje też kilka książek o Nelsonie Mandeli.

W niewielkim przedpokoju stoi komoda. Elin wysuwa górną szufladę.

Slipy. Skarpety.

Wysuwa drugą.

T-shirty.

Potem wysuwa trzecią szufladę.

Jest pusta, z wyjątkiem kilku listów.

Elin wyjmuje je ostrożnie.

Na kopercie widnieje nazwisko Pedera Åkerlunda.

Żadnego adresu ani nadawcy.

Otwiera jeden z listów. Wysuwa kartkę z koperty i rozkłada ją. Spogląda na zmanipulowane w Photoshopie zdjęcie Pedera Åkerlunda. Ma odrąbaną głowę, a poniżej jest mnóstwo arabskich znaków, których Elin nie potrafi odczytać.

– Znasz arabski? – woła do Waldemara.

Waldemar parska.

– Prędzej się spedalę, niż nauczę arabskiego.

A potem Elin woła do technika:

– Simon, powinienesz zabrać te listy.

Otwarte, świeżo zaorane pole po prawej, wały ziemi jak węże sunące wzdłuż głębokich bruzd. Po lewej rzadki sosnowy las.

Malin trzyma w ręce komórkę, gdy jadą trasą na Brokind, w stronę centrum.

Za samochodem słychać ryk i po chwili widzi motocykl niknący na horyzoncie.

Jakiś mężczyzna miał czelność przemknąć obok nich z prędkością co najmniej stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Czarny skórzany kombinezon. *Ghost rider*, którego ta zabawa może kosztować życie.

Nie podejmują pościgu. Mają ważniejsze rzeczy na głowie.

Dobrze jest mieć za sobą rozmowę z Åkerlundami. Dobrze jest móc wyjechać ze Sturefors. Malin chciałaby już nigdy nie musieć tam jechać, ale dopóki mieszka w Linköpingu, od czasu do czasu nie da się tego uniknąć.

Otwiera Google. Wyszukuje Maxa Frimana. Tego, który mógł grozić Pederowi Åkerlundowi. Bo chyba to miał na myśli Anders Åkerlund?

– Co tam masz? – pyta Zeke i zatrzymuje się na czerwonym świetle pod centrum handlowym w Ekholmen.

Linköping w pigułce. Po lewej bogate wille lekarskie w Hjulsbro. Po drugiej budynki programu „milion mieszkań” w Ekholmen. Anteny satelitarne na balkonach, kobiety w nikabach z wózkami.

Na parkingu pod centrum handlowym mieszanka zardzewiałych wraków i lśniących mercedesów. Tu światy się spotykają, a jednak nie.

Max Friman.

Przywódca pięciu Szwedzkich Demokratów w radzie gminy zajął miejsce Pedera Åkerlunda po jego odejściu. Ma dwadzieścia dwa lata. Zadbany facet, który najwyraźniej pracuje przy sprzedaży komputerów w centrum informatycznym w Tornby. Na zdjęciach z posiedzeń rady gminy, które Malin udaje się znaleźć, jest ubrany w garnitur, pod krawatem, ma bystre, wyzywające spojrzenie i twarz, która niewiele wyraża. Podobna wojskowa fryzura jak u Pedera Åkerlunda, tyle że trochę dłuższa.

– Jedź do Tornby – mówi Malin. – Pogadamy z Maxem Frimanem.

Budynek w Tornby, w którym mieści się Centrum Informatyczne, najlepsze czasy ma już za sobą. Na czerwonobrazowej fasadzie z eternitu widać plamy pleśni, a płaski, biały dach przydałoby się pomalować.

Parking jest niemal pełen, a w środku w jaskrawo oświetlonym wnętrzu sklepu stoi około pięćdziesięciu włączonych monitorów. W pomieszczeniu jest ciepło i wyraźnie czuć woń potu.

W oczach ludzi widać głód kupowania. Reklama zadziałała, popyt został rozbudzony.

Nie możesz beze mnie żyć.

Jestem twoim nowym najlepszym przyjacielem.

Zupełnie, jakby komputery niosły ze sobą tę obietnicę, myśli Malin. Jakby spełniały banalne marzenia.

Pochodzą do punktu informacyjnego. Jakiś mężczyzna około trzydziestki w czerwonej koszuli i niebieskim krawacie wita się z nimi o wiele zbyt wylewnie.

Zeke pokazuje legitymację.

– Szukamy niejakiego Maxa Frimana.

Mężczyzna staje się nerwowy, obraca w rękach kwity, które trzyma. Pyta:

– Co zrobił? – Potem odnajduje się w sytuacji, wie, że nie usłyszy odpowiedzi na swoje pytanie. – Max stoi tam dalej, z klientami.

Wskazuje w głąb lokalu na szerokie plecy jakiegoś młodego mężczyzny. Taka sama koszula, pewnie taki sam krawat. Mężczyzna rozmawia z bardzo zainteresowanymi klientami, na pewno jest bliski ubicia interesu.

– Poczekajmy, aż skończy – mówi Zeke, a Malin się waha. To może długo potrwać, sprzedawcy często mają niesamowite gadane.

I rzeczywiście.

Mija pięć minut.

Siedem.

Dosyć tego.

Malin podchodzi do kąta, gdzie Max Friman stoi z klientami, klepie go po ramieniu i wyjmuje legitymację.

Friman się odwraca. Zauważa legitymację.

Co widać po tobie? – myśli Malin, patrząc na szczupłą twarz.

Strach, wstyd, poczucie winy?

Nie. Zdumienie, niepokój. Prawda?



– Malin Fors. Jesteśmy z policji. Chcielibyśmy z panem porozmawiać.

Friman zdaje się nic nie wiedzieć o tym, co się stało.

– Jestem teraz zajęty z klientami. Mogą państwo poczekać dziesięć minut?

Klienci, dwóch mężczyzn w garniturach i kobieta w kostiumie, cofają się o kilka kroków.

Jeden z mężczyzn mówi:

– Możemy przyjść innym razem.

Wychodzą.

– Wielkie dzięki – mówi Max Friman. – Właśnie uciekł mi interes na sto tysięcy.

Z okien pomieszczenia socjalnego widać dwa kontenery przy rampie załadunkowej. Stoi na niej ciężarówka, a kierowca i jeden z mężczyzn, obaj w czerwonych koszulach, wyładowują pudła z komputerami.

Opowiedzieli o Pederze Åkerlundzie, o tym, że został znaleziony martwy, prawdopodobnie zamordowany.

Gdy Friman usłyszał tę wiadomość, stracił panowanie nad sobą. Sięgnął po filiżankę kawy i napił się z niej tak, jakby to była woda. Gdy pochłaniał wielkimi łykami o wiele zbyt gorący napój, jego ciało zareagowało instynktownie. Zdążył jednak odwrócić głowę i kawa nie trysnęła na stół, tylko na podniszczone linoleum.

Gdy ją wycierał, powtarzał raz za razem:

– To niemożliwe. Kto chciałby zrobić coś takiego?

A teraz siedzi naprzeciw nich i próbuje się nie rozpłakać.

– Dobrze się znaliście? – pyta Malin.

– Byliśmy dobrymi kumplami. Chcę od razu powiedzieć, że był u mnie wczoraj wieczorem.

Piliśmy piwo i gadaliśmy do wpół do drugiej. Potem poszedł do domu. Dziś jest dzień roboczy.

– Gdzie pan mieszka? – pyta Malin.

– Na Ladugatan, przy Åhléns.

– Spotykaliście się, chociaż zmienił poglądy polityczne?

Max Friman patrzy na Malin bez wyrazu. Potem się uśmiecha.

– Przyjaźniliśmy się od dawna.

– Czyli byliście dobrymi przyjaciółmi?

Friman kiwa głową.

Spotkaliście się wczoraj. Możesz być ostatnim, który widział go żywego, myśli Malin.

W takim razie to ty mogłeś go zabić.

– Jak go znaleźliście? Co się stało?

– Nie możemy ujawniać takich szczegółów – mówi Zeke. – Często razem imprezowaliście?

– Mniej więcej raz w tygodniu. Chcecie przez to powiedzieć, że Peder został zamordowany, kiedy wracał ode mnie?

Malin i Zeke nie odpowiadają.

– Nie był pan na niego zły za jego nowe poglądy? – pyta po chwili Malin.

– Chyba nie myślicie, że ja... Że mam z tym coś wspólnego?

Gdybyś miał, pewnie byś tak od razu nie opowiadał, że był wczoraj u ciebie, myśli Malin. Ale z drugiej strony, nie wyglądasz na specjalnie bystrego.

– Nic nie myślimy – stwierdza Zeke. – Próbujemy ustalić fakty.

– Słyszeliśmy, że pan mu groził – rzuca Malin. – Wysyłał mu pan listy z pogrózkami.

Mężczyzna unosi ręce w obronnym geście.

– Ja też słyszałem te plotki.

A więc były takie plotki. To miał na myśli Anders Åkerlund, gdy wspomniał o Frimanie.

– No i?

– Nie mają nic wspólnego z rzeczywistością.

Może nie wysyłałeś żadnych listów, myśli Malin. Może plotki powstały z powodu innych listów, tych, które znaleźli Elin i Waldemar. Elin dzwoniła wcześniej i poinformowała ich o tym.

Ale teraz to dokończ.

– Nie uważał pan, że stał się zbyt niewygodny, kiedy go wykluczono z partii?

– Jak to niewygodny?

– Kiedy zmienił poglądy. Chciał jeździć po szkołach i wygłaszać prelekcje.

– Nie, mówiłem już. To przecież nie było nic takiego. Chyba rozczarował się partią.

Malin widzi, że źrenice Maxa Frimana się zwężają. Nie kłamie, ale może coś ukrywa.

Potem odchyła się na krześle. Chyba dociera do niego, że jego przyjaciel nie żyje, że odszedł na zawsze, i ogarnia go złość. Wali pięścią w stół, tak że filiżanki podskakują.

– To ci pieprzeni muzułmanie to zrobili. Albo lewackie świnię. Grozili mu, to jest pewne. Mieli gdzieś, że zmienił poglądy.

– Chodzi panu o te listy, w których było jego zdjęcie z odrąbaną głową? Te po arabsku?

Friman patrzy na nich zdziwiony.

Przyłapany.

Ale mówi:

– Nie wiem o żadnych listach. W ogóle nie wspominał o czymś takim.

– Mówił pan przecież przed chwilą, że mu grożono.

– Na jego stronie internetowej. Zgadza się. W komentarzach.

– A pan sam nie dostawał żadnych pogróżek? – pyta Zeke.

– Nie – zapewnia Friman. – Nie wychyłam się. Jimmie tak woli.

Jimmie.

Jimmie Åkesson.

Krótko trzyma partyjnych świrów, na ile to możliwe.

– Ale wie pan, że Peder otrzymywał pogróżki?

– Tak. Od anonimowych muzułmanów i lewicowców. Na stronie internetowej. I na tej nowej, i na starej. Może dostawał też jakieś anonimowe e-maile.

– Zna pan jakieś nazwiska? – pyta Malin.

– Nie. Nic, czego byłbym pewien. Ale możecie przecież sprawdzić gminę muzułmańską i Front Rewolucyjny tu, w mieście. Tam znajdziecie prawdziwe szumowiny.

Malin usiłuje zapanować nad narastającą złością, ale ledwie jej się udaje.

– Taką gadkę lepiej zachowaj dla siebie. Mogę cię za to zgarnąć.

– Gdzie tam – mówi Max Friman. – Żyjemy w kraju, w którym mamy wolność słowa, a to, co przed chwilą powiedziałem, to nie podżeganie do nienawiści rasowej. To prawda. I chcę, żebyście wiedzieli jedno. Peder był cholernie obrotny. Tysiąc razy lepszy, niż wy kiedykolwiek będziecie.

– Piliście wczoraj piwo – mówi Zeke. – Pokłóciliście się o coś?

Max Friman kręci głową.

– Ile wypiliście?

– Chyba po sześć.

– I nie zaczęliście drzeć kotów?

– Nie.

– O czym rozmawialiście? – pyta Malin.

– O policji. – Max Friman szczyrzy zęby. – O tym, jak kiepska jest policja w tym mieście w chronieniu obywateli przed hołotą. Że policja poświęca mnóstwo czasu na szykanowanie niewinnych ludzi, kiedy powinna próbować rozwiązywać sprawy. – Przerywa na chwilę. Patrzy Malin prosto w oczy, ze źle ukrywanym niesmakiem. – O tym rozmawialiśmy. Jesteś zadowolona?

Książki z poezją. Książki z samymi obrazkami, książki, które są za długie, i te, które są za krótkie.

Wszystkie książki płoną. Linköping doświadczyło tego nocą dwudziestego września tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku, gdy spłonęła stara biblioteka. Zniszczeniu uległy tysiące książek. Niektóre istniały tylko w jednym egzemplarzu i są stracone na zawsze.

Pogrzebane przez świat.

Znikły w płomieniach.

Börje Svärd nie czytuje książek. Z wyjątkiem tych o broni albo o psach. Próbował czytać o historii wojskowości, ale nawet to nie wzbudziło jego zainteresowania. Jego żona Anna czytała po kilka książek w tygodniu, zanim stwardnienie rozsiane zaatakowało nerw wzrokowy. Wtedy czytanie powodowało u niej potworne bóle głowy. Zaczęła słuchać audiobooków.

Börje Svärd idzie z długim płaszczem nonszalancko przerzuconym przez ramię przez ogromną nową bibliotekę. Kapelusz zostawił dziś w domu. Jest tuż po pierwszej i Börje niemal czuje, jak jego myśli unoszą się ku surowym drewnianym belkom stropu.

Ile tu jest książek?

W fotelach typu Ägget pod oknami wychodzącymi na Slottsparken młodzi ludzie i emeryci siedzą i czytają. Słońce nie przygrzewa przez szyby, więc temperatura musi być całkiem znośna.

Börje ma się spotkać z Nancy Hårdstål i Javierem Rivą. Z byłą dziewczyną Pedera Åkerlunda i ciemnoskórym facetem, którego miłosne sukcesy zapędziły ponoć Pedera w kręgi prawicowego ekstremizmu.

Zdobył numer Nancy Hårdstål. Zadzwoił. Powiedziała, że oboje siedzą w bibliotece i uczą się do egzaminu z ekonomii. Znajdzie ich na parterze, tylko gdzie są te cholerne schody?

Nagle Börje czuje, że książki go duszą. Ta ich pasywność.

Co to za czynność. Czytanie książek. Albo pisanie książek. Skoro można polować, tresować psy albo się kochać. Uprawiać seks. To jest lepsze. Czytanie książek to coś, co człowiek robi, gdy jest zbyt chory, by robić coś innego. Jest coś nienormalnego w próbie ucieczki przed światem na strony zamknięte w okładkach. Albo, co gorsza, w myśleniu, że można słowami uchwycić świat i ludzi.

O, tam.

Tam są schody.

No to zobaczymy, co to za spryciarze, myśli Börje i przyspiesza kroku. Widzi ciemnoskórego chłopaka z dreadami, który siedzi przy rudej dziewczynie o szlachetnych rysach. Dziewczyna ma na sobie obcisły T-shirt, który idealnie podkreśla jej krągłości.

Nancy Hårdstål patrzy na policjanta, który do niej dzwonił. Co za szpaner! Ale na pewno istnieją kobiety w jego wieku, którym się podoba. Uważają, że jest prawdziwym mężczyzną.

Mamie by się spodobał.

Stoi przy biurku, właśnie się przedstawił. Nie chciał powiedzieć, o co chodzi, i Nancy widzi, że jest podenerwowany, jakby właśnie przyszło mu do głowy coś nieprzyjemnego.

Przysuwa sobie krzesło i siada obok nich, potem patrzy na nią i mówi:

– Mam przykrą wiadomość.

Włamanie, myśli Nancy.

– Twój były chłopak, Peder Åkerlund, został dziś rano znaleziony martwy. Prawdopodobnie został zamordowany. Może czytałaś w Internecie o zwłokach, które znaleziono w Ljungsbro, niedaleko Hedy?

Nancy słucha go uważnie. Ale słowa policjanta nie chcą uformować się w jakiś sens. Nie czytała o żadnych zwłokach, nigdy nie czytuje stron z wiadomościami. Człowiek wcześniej czy później i tak dowiaduje się o wszystkim, co trzeba.

Potem słyszy głos Javiera.

– Co pan, kurwa, mówi?

– Peder Åkerlund został zamordowany – powtarza policjant, który ma na imię Börje, i Nancy rozumie jego słowa. Wstydzi się swojej pierwszej reakcji, ale taka jest prawda i nic nie może na to poradzić.

Myśli i czuje: świetnie, nie ma go, nie będę musiała go znosić. Javier siedzi obok niej, cichy, z ponurą miną, a ona musi udawać smutną. Tylko jak to się robi?

– Jakie to straszne. To prawda? – pyta. I próbuje się rozplakać, ale jej nie wychodzi. – To dla mnie straszny szok.

– W jaki sposób go zamordowano? – pyta Javier, ale policjant nie chce odpowiadać na to pytanie i sam zadaje inne.

– Jak rozumiem, bardzo to przeżył, kiedy z nim zerwałaś?

Nancy ma gdzieś udawanie smutnej.

Czyli on naprawdę nie żyje? Nie ma go?

Tak po prostu.

– Odbiło mu, kiedy poznałam Javiera. Stał się rasistą, nie chciał zostawić nas w spokoju. Z początku wydzwaniał i pisał e-maile kilka razy dziennie, potem trochę rzadziej, ale i tak za często. Chciałam to zgłosić na policję.

– Ale nie zrobiłaś tego? – pyta policjant, pochylając się w jej stronę, i Nancy myśli, że te wąsy są naprawdę obrzydliwe. Dlaczego ludzie chcą takie nosić?

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Chyba trochę się go bałam. Że on i jego kumple zrobią krzywdę Javierowi.

– Był rasistą – mówi Javier i Nancy słyszy złość w jego głosie, naprawdę mroczny gniew, który pojawia się tylko czasami i który ją przeraża. – Niestety, tacy też są – dodaje już łagodniejszym tonem.

– Ale przecież podobno zmienił poglądy?

Chłopak parska.

– Ani przez chwilę w to nie wierzyłem.

– A ty? – policjant zwraca się do Nancy.

– Wydawało się, że się zmienił. Ale wciąż się zadawał z niektórymi z nich.

– Groził wam?

– Nie. Był tylko cholernie upierdliwy – mówi Nancy. – Naprawdę ktoś go zamordował?

Myśli: morderstwo. Tutaj? W Linköpingu. Jasne, takie rzeczy się zdarzają, ale nie ludziom, których znam. To się zdarza tylko pijakom, ludziom, którzy wejdą w drogę jakiemuś szaleńcowi albo napalonym facetom.

Chłopak siedzący kilka stolików dalej próbuje przysłuchiwać się ich rozmowie.

Peder.

Nie żyje.

Nie ma go. I nagle Nancy brakuje jego upierdliwości, jego zranionej dumy, rozmów w środku nocy.

Już nigdy do nich nie zadzwoni.

– Często się z nim kłóciliście? – pyta policjant, i to pytanie jest skierowane do obojga.

Co powie Javier? – zastanawia się Nancy. Że pobili się raz, kilka miesięcy temu. Powie o tym?

Patrzy na niego. Ich spojrzenia się spotykają i wyraz jego twarzy się zmienia.

– Nigdy się nie kłóciliśmy. Ale nam przeszkadzał i mu to wygarnęliśmy.  
– Jak to?  
– Poprosiliśmy go, żeby przestał.  
– I zrobił to?  
– W ostatnich miesiącach w ogóle nie wchodził nam w drogę – mówi Nancy. – Zupełnie jakby po kilku latach wreszcie zrozumiał, że nasz związek się skończył. I naprawdę był miły. W sumie. Tylko trochę zagubiony. Ale chyba się zmienił, mimo wszystko.

Prawda, myśli Nancy, jest inna. Znow zaczął to robić. Jeszcze gorzej niż przedtem. Jak prawdziwy stalker. Ale ten policjant nie musi o tym wiedzieć. I nigdy nie był miły. Miał gigantyczne ego.

– Wiecie może, kto mógł chcieć go zamordować? Miał jakichś wrogów?  
– Na pewno miał tysiące wrogów – odpowiada Javier. – Przy tych jego pieprzonych poglądach. Kiedy stoisz po przeciwnej stronie, tak łatwo się o tym nie zapomina.  
– Nie wiemy, kto dokładnie mógłby to być – mówi Nancy i wygładza spodnie. – Ale jeśli sprawdzicie w Internecie, na pewno znajdziecie mnóstwo nienawiści.

– Z jego strony i ze strony innych – dodaje jej chłopak.  
Nancy ujmuje dłoń Javiera, ściska ją, a policjant pyta go:  
– Skąd pochodzisz?  
– A co to ma do rzeczy?  
– Może nic. Właściwie, to pytam z ciekawości – mówi policjant i znow się uśmiecha. Jest cierpliwy jak mała kto.

– Z Indii Zachodnich. Tata jest z Trynidadu, mama z Wenezueli.  
Policjant splota palce. Mierzy ich wzrokiem.  
– Mówicie mi o wszystkim, prawda? O wszystkim, co muszę wiedzieć?  
– Oczywiście – zapewnia Nancy.  
– Co robiliście wczoraj wieczorem i w nocy? Byliście razem?  
Znow spoglądają po sobie, a Javier mocniej ściska jej rękę.  
– Byliśmy u mnie – mówi. – Przez cały wieczór.  
– Co robiliście?  
– Oglądaliśmy *Synów anarchii* na DVD.  
– Co to takiego?  
– Serial telewizyjny o gangu motocyklowym.

– Oglądałem to – mówi policjant i milknie. Wydaje się zastanawiać. – To na razie wszystko – dodaje po chwili, ale wciąż stoi i na nich patrzy, jakby wyczuwał, że kłamią.

Prawda.

Byłam u siebie w domu, a Javier mówił, że też był u siebie. O ile wiem, tak było.

Potem policjant się odwraca i zostawia ich sam na sam z ekonomią.

Börje Svärd zostawia ładną parę młodych ludzi i rozumie, że Peder Åkerlund musiał być załamany. W takim małym mieście niewiele jest tak ślicznych dziewczyn jak ona. Był w wieku, kiedy człowiek jest najbardziej wrażliwy, i pomieszało mu się w dojrzewającym mózgu.

Kłamią, myśli Börje. To oczywiste. Przekonamy się, czy to ma jakieś znaczenie. Dowiemy się, w jakiej sprawie kłamią. Mogli chcieć się go pozbyć? Bardzo możliwe.

Schodzi z drogi jakiegoś mężczyźnie, który pcha przed sobą wózek pełen książek i manuskryptów. Mężczyzna wpatruje się w podłogę, zdaje się nie widzieć Börjega, a może nie chce go widzieć.

Przepraszam, myśli Börje.

Potem wychodzi z podziemi, wydostaje się ze świata książek.

Czuje w płucach przyjemne świeże powietrze.

Jakiś kilometr dalej Malin i Zeke jedzą kielbaski z purée w Snoddasgrillen. Siedzą na jednej z ławeczek na trawniku przy stacji Statoil. Samochody przejeżdżają Rydsrondellen, a od strony działek letniskowych w Valla dochodzą grillowe zapachy, choć jest dopiero wczesne popołudnie.

Zagląдали na stronę „Corren” i popołudniówek. Teraz, gdy rodzina została już powiadomiona, dziennikarze rozdmuchali sprawę. Publikują nazwisko ofiary.

*Były rasista zamordowany!* – pisze „Aftonbladet”.

*Morderstwo z zemsty?* – grzmi „Expressen”.

*Miejscowy polityk zamordowany* – brzmi tytuł wyważonego artykułu Daniela Högfelda, w którym autor podkreśla, że Åkerlund stał się przeciwnikiem rasizmu.

Kielbaski z purée są smaczne.

Karin wysłała ekipę do mieszkania Maxa Frimana. Nie miał nic przeciwko temu, by zbadali miejsce, gdzie Peder Åkerlund najprawdopodobniej spędził ostatni wieczór w swoim życiu.

Może coś znajdą w tym mieszkaniu.

Środki nasenne.

Ślady bójki.

Malin w to wątpi. Max Friman wcale nie musiał ich wpuszczać do swojego domu na tym



etapie śledztwa i jego skłonność do współpracy mimo całej tej arogancji i zadufania wskazuje na to, że nie był zamieszany w morderstwo.

Ale o czym im nie powiedział? Bo coś takiego było. Może znajdziemy odpowiedź, gdy przeszukamy mieszkanie.

Prawdopodobnie Peder Åkerlund tam imprezował, potem poszedł do domu, do Johannelund, potrzebował długiego spaceru, żeby trochę wytrzeźwieć, i gdzieś po drodze natknął się na sprawcę, który go zabił i wyrzucił zwłoki nad kanałem.

Malin zjada ostatni kęs kielbaski. Wyrzuca tackę z purée do kosza na śmieci.

Nagie zwłoki w kanale.

Obrzęk wokół ust.

Wargi, które wypowiedziały swoje ostatnie słowo.

Tess. Tess.

Karin Johannison chce zawołać córkę, sprowadzić ją do siebie, wypowiadając jej imię, ale dźwięk tego imienia odbija się w niej samotnym echem i bezgłośnie płynie dalej nad salą sekcijną w podziemiach budynku.

Karin niemal czuje, jak ziemia napiera na ściany, jak próbuje wtargnąć do środka przez beton. Chce iść na górę, do domu. Ale ma pracę, którą trzeba wykonać.

Ile razy byłam tutaj sama w takie wieczory jak ten? Mając za towarzystwo jedynie zwłoki?

Zbyt wiele razy.

Powinnam być z Tess, myśli. Powinnam być z Zekem.

Nie boi się umarłych, nigdy się ich nie bała. Z początku czasem przerażała ją przemoc, jej konsekwencje widoczne na ludzkim ciele, ale teraz już jej to nie przeraża.

Młody mężczyzna na stole sekcyjnym.

Otworzyła go, sprawdziła wszystkie narządy i zaszyła. Nie znalazła nic niezwykłego ani godnego uwagi. Skórę wokół ust przeskanowała, szukając śladów różnych substancji. Były tam resztki taśmy, pozostałości gazu pieprzowego i coś mocno zasadowego; możliwe, że został odurzony eterem.

Staromodnym eterem.

Na szmatce.

Ktoś, kto go zamordował, musiał wiedzieć, co robi. Eter jest bardzo lotny. Człowiek sam może stać się senny od oparów i łatwo jest przedawkować. Ale Peder Åkerlund nie umarł od eteru. W takim wypadku w płucach byłyby ślady zapadniętych naczyń krwionośnych, jakby ktoś wycisnął z nich powietrze, a niczego takiego nie znalazła.

Jego śmierć wciąż jest zagadką i teraz Karin otworzy mu czaszkę. Zostanie tu jeszcze przez jakąś godzinę. Nagle odzywa się jej telefon. Numer Zekego na wyświetlaczu.

Nie mam na to siły.

Czy może chodzić o Tess?

Nie.

Że też można kogoś kochać i za nim tęsknić, a równocześnie nie mieć siły, by z nim

porozmawiać. Wtedy wszystkie uczucia stają się zbyt namacalne i łatwo mogą się zmienić w agresję.

Są już w domu. Zeke wysłał jej esemesa godzinę temu i nic nie mogło się stać. Karin nie odbiera połączenia. Chce się skupić na tym, co robi, żeby niczego nie przeoczyć.

Odwraca się plecami do ciała, do tego, co było kiedyś Pederem Åkerlundem. Kilka godzin temu byli tu jego rodzice i zidentyfikowali zwłoki. Dwóch mundurowych sprowadziło ich na dół, ale na salę Karin wprowadziła ich już sama. Miała na sobie biały lekarski kitel, wie, że w takich sytuacjach to lepiej tłumi uczucia niż mundury.

Kobieta na wózku.

Na szczęście cały budynek jest przystosowany do potrzeb niepełnosprawnych.

Rodzice przy zwłokach. Mężczyzna, który położył rękę na ramieniu kobiety, kobieta, która kiwała się na wózku.

Oboje bez słowa skinęli głowami.

Chcieli zostać jeszcze przy zwłokach, przy swoim martwym synu, i Karin zostawiła ich samych. Wyszła do mundurowych i przez okienko w drzwiach widziała, jak rodzice głaszczą go po policzkach.

Po kwadransie skończyli. Wyszli z sali.

– To Peder – powiedziała kobieta i przejechała obok nich, kierując się do windy.

Czy można kochać rasistę?

Da się kochać takiego człowieka? Nieważne, czy zmienił poglądy.

Kochać to wszystko, co możemy, myśli Karin Johannison. Odpowiadanie nienawiścią na nienawiść prowadzi tylko do przemocy i śmierci. Ale czasem człowiek musi się postawić. Bronić tego, co jest sednem jego życia. Tylko kiedy? Kiedy należy się postawić? I na jaką cenę człowiek powinien być gotowy? Karin chce wierzyć, że miłość jest zawsze silniejsza niż nienawiść, ale świetnie zdaje sobie sprawę, że tak nie jest.

Przyniosła piłę do kości z szafki pod okienkami. Bierze głęboki oddech; tu na dole, w piwnicy, ostro czuć zapach chemikaliów i środków czystości. Czasami to pomieszczenie wydaje się jak grób. Jakby pod wąskimi okienkami stali nieznajomi ludzie z łopatami w rękach, gotowi zasypać ją ziemią i pogrzebać żywcem.

Unosi piłę do czaszki. W ciągu dnia Pederowi Åkerlundowi urosły trochę włosy.

Uruchamia piłę. Przenikliwy dźwięk wdziera się do jej mózgu i Karin tego nienawidzi.

Odsuwa ostrze, zanim kość czaszki zostaje przecięta.

Spogląda na głowę.

Chwileczkę.

Wyłącza piłę, odkłada na stole obok zwłok.

Co takiego widzę?

A więc jednak coś jest.

Zawsze coś jest, myśli Karin.

W laboratorium trzy piętra wyżej w tym samym budynku technik kryminalistyki Axel Nydahl siedzi pochylony nad białym stołem. Niedawno ukończył szkolenie, cieszy się, że dostał tę posadę, a w domu nikt na niego nie czeka. Chętnie przepracuje całą noc, a teraz szuka odcisków linii papilarnych na kopertach i listach z pogrózkami, które znaleziono w domu Pedera Åkerlunda.

Ostrożnie opyla papier pędzelkiem z środkiem pozwalającym ujawnić niewidoczne odciski. Potem proszkiem.

A później czeka.

Zawsze mija kilka minut, nim coś się pojawi, jeżeli coś takiego w ogóle jest.

Przetłumaczyli te trzy listy. Pomógł im asystent z laboratorium, który dziesięć lat temu uciekł z Iraku.

We wszystkich są podobne słowa. Prosto z mostu. Bez litości dla prawicowego ekstremisty.

*Jesteś niewiernym psem. Umrzesz śmiercią tysiąca śmierci.*

*Obedrzemy cię żywcem ze skóry. Ty najbardziej niewierny z niewiernych.*

*Kochaj swoją głowę, bo niedługo oddzieli się od ciała.*

Koperty. Listy.

Powoli pojawiają się odciski palców.

Jednej, nie, dwóch osób. Tyle Axel Nydahl widzi od razu. Ktokolwiek napisał te listy, nie był szczególnie ostrożny.

Karin znalazła ślad ukłucia pośrodku źrenicy. Mały, niemal mikroskopijny czerwony obrzęk, odróżniający się od czerni tym, że jest odrobinę jaśniejszy. Miejsce ukłucia zdaje się wibrować życiem, choć ciało jest martwe. Jest pewna, że to ślad po igle do iniekcji.

Ogląda okolice oka.

Znów sięga po piłę i zaczyna ciąć, jeszcze raz przeklina przenikliwy dźwięk.

Teraz czaszka jest otwarta i Karin patrzy na spustoszenia w tym, co kiedyś było mózgiem Åkerlunda.

Obrażenia po jakiejś żrącej substancji. Szczerniałe partie w tkance mózgowej. Woń spalenizny.

Kwas.

Kwas siarkowy albo solny.

Ktoś przez oko wstrzyknął żrący kwas do mózgu Pedera Åkerlunda i wypalił od środka to, co było jego duszą. Jeśli był przytomny, gdy to się stało, musiał czuć potworny ból, nagły, palący, a potem wszystko poczerniało. Nastąpił zgon. Ale najpierw przepalony został nerw wzrokowy.

Ślepy, niemy.

Tkanka mózgowa jakby się rozpuściła. Mimo to Karin widzi, jak daleko wprowadzona została igła, nim morderca nacisnął tłok i wstrzyknął kwas. Przeszła obok płata czołowego i dalej w głąb, ale nie dotarła do podstawy czaszki.

Morderca zatrzymał się przy ośrodku Broki.

Ośrodek mowy w mózgu. Tam kształtujemy i rozumiemy słowa. Tam powstaje mowa.

Niezdolny do wypowiedzania i do rozumienia słów. Taki staje się człowiek z poważnymi obrażeniami ośrodku Broki.

Ale Peder Åkerlund już nie musi się tym martwić.

Nie ma żadnych wątpliwości, że to było morderstwo.

Igła wbita w oko.

Jakby ktoś chciał cię oślepić.

Kwas w ośrodku Broki.

Jakby ktoś chciał, żebyś już nie mógł mówić.

Wbijam mu igłę w źrenicę.

Udaję, że nie mogę złapać tchu, że ledwie mogę wydusić z siebie jedno słowo, ale w ogóle nie potrafię wydusić z siebie słów, więc jakie to ma znaczenie?

Wbijam mu igłę w oko. Prosto, a potem w górę, po skosie.

Wrzeszczał! Potem nie mógł już krzyczeć.

Nie mógł być dwoma.

Dziewczyna może już nie krzyczy w swoim grobie, ale oddycha i może pić.

Widzę go, jak idzie ulicą w Linköpingu, którąkolwiek, i nie jest tak, że ja jestem kotem, a on myszą.

To zbyt banalne.

A może leżę w mieszkaniu i oglądam program w telewizji. Mniej więcej godzinny film dokumentalny, w którym jakiś idiota otwiera serce i gada o błędach, jakie w życiu popełnił. I o tym, jak to my, ludzie, mamy być dobrzy. Jak mamy się podnosić po katastrofach. Próbuja wyjaśniać, jak wszystko jest ze sobą powiązane.

Od czego by tu zacząć? – myślę wtedy. Jaką mogę zrobić sobie z tego zabawę?

Krzyknę do drzwi, a one się otworzą. Znów będę dzieckiem, żeby móc zacząć wszystko od początku.

Zniszczę wszystkich tych, którzy mówią dobre rzeczy, ale robią złe.

Widzę cię. Wiem, co robisz.

Uważaj, żebyś nie umarł.

Axel Nydahl bierze odciski, które znalazł na kopertach i listach, i skanuje je do komputera. Potem loguje się w krajowym rejestrze odcisków linii papilarnych. Zdążył już stwierdzić, że wiele odcisków należy do zamordowanego.

Czeka cierpliwie, gdy system powoli ładuje dane. Był potwornie przestarzały już wtedy, gdy kilka lat temu wreszcie wprowadzono go do użytku.

Klika w programie. Ustawia go tak, żeby wyszukiwania odbywały się równocześnie, chociaż wtedy trwa to trochę dłużej.

W osobnym oknie na ekranie pojawiają się słowa: „Wyszukiwanie w toku”.

Gdy był nastolatkiem, przez jakiś czas sam nie lubił imigrantów, pociągała go myśl o jednym narodzie, jednej kulturze. Ale potem, podczas którychś wakacji, dorabiał sobie, sprzątając w szpitalu. Poznał tam kobietę z Somalii, która nosiła chustkę na głowie. Jakie ona opowiadała historie. O przemocy, szaleństwie i miłości.

Fizyk jądrowy z Iranu.

Jak myślisz, do czego mnie chcieli?

Wyszukiwanie trwa.

Ukończone dziesięć procent.

Piętnaście.

Zaprzyjaźnił się z facetem z Algierii, który uciekł z kraju, gdy znalazł się na czarnej liście reżimu. Podczas przerw na lunch Axel słuchał historii o ludzkiej odwadze, do których trudno było mu się odnieść, i pojął, że w swoim bezpiecznym życiu nigdy się nawet nie otarł o takie doświadczenia.

Nabrał szacunku do tych ludzi. Większego niż do swoich gnuśnych szwedzkich kolegów z pracy.

Co oni mogli o czymkolwiek wiedzieć?

Co on sam wiedział o świecie?

Po tamtym lecie się zdecydował: cokolwiek będę robił w życiu, to musi służyć jakiemuś dobremu celowi. I to był koniec nacjonalistycznych myśli.

Siedemdziesiąt pięć procent.

Teraz trafiłem tutaj, myśli. I pracuję nad śledztwem w sprawie zamordowania byłego rasisty, który być może dalej był rasistą. Czy w takiej sytuacji można należeć do tych dobrych? Czy to może mieć jakiś dobry cel? Czy nie powinno się ich wszystkich po prostu uciszyć? A to gadanie, że warto nawet umrzeć za prawo każdego człowieka do wyrażania własnych poglądów, to durne pustosłowie. Pewnych rzeczy nie powinno być wolno mówić. Myśleć, jasne. Ale nie mówić.

Dziewięćdziesiąt procent.

Cholerny system.

Ale ostatnie dziesięć procent idzie szybko.

Sto procent.

Pojawia się trafienie.

I nazwisko.

Odciski na wszystkich listach.

Należą do tej samej osoby.

Niejakiej Julianny Raad.

W następnej chwili na ekranie pojawia się zdjęcie paszportowe. Jest ciemnowłosa i piękna, ale jej oczy są pełne złości.

Wyszukuje ją w rejestrze karnym, żeby się dowiedzieć, dlaczego figuruje w systemie.

Tutaj idzie szybciej.

Została aresztowana podczas kontrdemonstracji trzydziestego listopada, dwa lata temu w Kungsträdgården w Sztokholmie. Podczas aresztowania uderzyła policjanta cegłą, wskutek czego stracił wzrok w jednym oku. Skazano ją za to na sześć miesięcy więzienia, odsiedziała cztery, wyszła na wolność ubiegłego lata.

Szybko wyszukuje w Google Juliannę Raad i po kilku minutach wie, z kim ma do czynienia.

Wojująca lewicowa aktywistka. Należy do organizacji broniącej praw zwierząt i do Antify.

Gotowa użyć przemocy.

Świetnie, myśli Axel Nydahl.

Agresywna kobieta ze skrajnej lewicy.

Jej nazwisko. Co to za nazwisko. Czy to możliwe, żeby znała arabski?

Listy z pogróżkami do prawicowego ekstremisty, napisane przez nią albo przez kogoś innego.

Prawicowy ekstremista zamordowany, znaleziony nagi w rowie przy kanale.

Nie może się doczekać, aż powie o tym Karin.



Muzyka grzmi ze starego magnetofonu. Głośniki trzeszczą, kiedy francuska piosenkarka śpiewa o sercu i bólu.

Malin widzi Elin Sand, która ćwiczy z dwoma wielkimi hantlami na drugim końcu ciasnej siłowni w piwnicy posterunku. Myśli: dam radę więcej niż ona.

Czarno-różowy dres Elin odcina się mocno od sraczkowatozielonych ścian. Była mowa o remoncie siłowni i bardzo by się przydał, ale nie ma na to pieniędzy.

Elin odkłada hantle. Uśmiecha się do Malin, która odpowiada jej uśmiechem.

Zauważyła, że Elin Sand ją szanuje. Jak to możliwe?

Nieudana matka-alkoholiczka i policjantka.

Biedna pijaczyna.

Człowiek, który mimo wszystko wciąż potrafi tęsknić.

Gdy odnosi hantle na stelaż, czuje, że pragnie być z Danielem. Leżeć w łóżku tuż obok niego i czuć, jak nadchodzi sen.

Zegar na ścianie siłowni wskazuje za kwadrans siódmą i Karin na pewno niedługo skończy sekcję. Może znajdzie coś, co da im odpowiedź, pomoże pójść dalej.

– Popilnujesz mnie? – woła Elin.

– Jasne.

Malin podchodzi do ławeczki, gdzie Elin wyciska właśnie siedemdziesięciokilogramową sztangę.

Jest silna, ja daję radę podnieść najwyżej sześćdziesiąt kilogramów. I wydaje mi się wtedy, że zaraz rozsadzi mi serce.

Elin krzyczy i jęczy.

– Kurwa!

– Cholera, ale ty jesteś słaba. – Malin uśmiecha się, stojąc nad nią.

– Z czego się, kurwa, śmiejesz?

Trzy razy po dwanaście. Krótki odpoczynek między seriami. Malin chyba jeszcze nigdy w życiu nie spotkała człowieka, który byłby bardziej nastawiony na rywalizację niż Elin Sand. Pewnie tak trzeba, jeśli ktoś zaszedł tak daleko jak ona w siatkówce, grała nawet w reprezentacji.

Po ostatniej serii Elin wstaje z ławeczki.

– Olejmy to już – mówi Malin.

Trenują razem prawie co tydzień. Czasem kilka razy w tygodniu, ale rzadko rozmawiają o prywatnych sprawach. W szatni mają szafki obok siebie.

Malin rozbiera się, owija ręcznikiem i idzie pod prysznic. Śmierdzi tu wilgocią i pleśnią. Plastikowe dywaniki na podłodze nie trzymają się tak jak trzeba, na jasnoniebieskich tapetach są małe, czarne plamki.

Odkręca prysznic i po chwili stoi z zamkniętymi oczami pod strugami gorącej wody.

Czuje, jak spływa po jej ciele.

Czuje na sobie czyjeś spojrzenie.

Otwiera oczy. Pod drugim prysznicem stoi naga Elin Sand, odwrócona plecami do niej.

Woda na jej ciele.

Idealne kształty. I lśniąca, pełna życia skóra młodego człowieka.

Przyglądała mi się przed chwilą?

Do diabła, nie wolno jej na mnie patrzeć.

Malin namydla się szybkimi ruchami, spłukuje pianę, zakręca prysznic. Chce jak najszybciej stąd wyjść.

Nie przyglądała mi się.

Kurwa, jestem śmieszna, myśli Malin. I mam uprzedzenia.

Elin Sand zakręca prysznic, a Malin szybkim krokiem rusza do szatni. Nie chce tu być, kiedy Elin się odwróci.

Ubiera się szybko.

Elin mija ją, owinięta ręcznikiem. Jej brązowe włosy są mokre i wygląda cholernie dobrze. Te kości policzkowe. Skąd ludzie takie mają?

– Co z tobą? – pyta. – Nie jestem z innej planety.

Malin się śmieje.

– Stałam tak i coś mi przyszło do głowy. Przepraszam.

Słyszą, jak otwierają się drzwi do szatni, i spoglądają po sobie. Zwykle nikt poza nimi nie przychodzi tu na dół, ale teraz stoi przed nimi Karin Johannison.

– Mam sporo nowości – mówi i wygląda na zdeterminowaną i niespokojną równocześnie.

Julianna Raad.

Kwas solny w ośrodku Broki.

Niemota. I sprzeczne poglądy.

Kto by się przejmował tym, że ktoś zmienił zdanie? Nie istnieje coś takiego jak przebaczenie.

Karin i jej koledzy pracowali szybko i wykonali dobrą robotę.

Wyszła już, a Elin i Malin stoją obok siebie w szatni. Malin sięga Elin do piersi.

Dostały adres Julianny Raad. Mieszka w niewielkim gospodarstwie na równinie Östgöta, tylko pięć kilometrów od miejsca, gdzie znaleziono zwłoki Pedera Åkerlunda.

Jest wojującą lewicową aktywistką.

Jej ojciec pochodzi z Libanu, arabski jest jego ojczystym językiem i wydaje się możliwe, że Julianna zna ten język.

– Uważam, że powinniśmy od razu pogadać z Julianną Raad – mówi Malin. – Nie ma powodu, żeby czekać.

Elin wzrusza ramionami.

– Nie mam nic lepszego do roboty.

Przynoszą służbową broń z szafki w niewielkim pomieszczeniu, tuż przy otwartej przestrzeni biurowej na pierwszym piętrze posterunku. Blacha pobrzękuje, gdy Malin z zapalem wsuwa klucz do zamka.

Zastanawia się, czy powinny poinformować Görana Möllera, zanim coś zrobią, czy powinny dostać od niego zgodę na przesłuchanie Julianny Raad. Ale pieprzyć to. Göran lubi, kiedy Malin przejmuje inicjatywę, zachęcał ją, żeby tak robiła. I teraz to robi. Karin na pewno do niego dzwoniła i powiedziała, co znaleźli.

Teraz działamy, myśli Malin i patrzy na Elin, która chyba myśli tak samo. Mówi:

– No to jedziemy.

Chwilę potem Malin siedzi na miejscu pasażera w białym golfie i jadą przez miasto. Mijają cmentarz, budynek Riksbanku i dawną remizę strażacką, potem Abisko i kierują się w stronę Skäggetorp i Tornby. Wielkie markety zamykają się już na dzisiaj i być może w mieszkaniach w Skäggetorp ludzie cieszą się ze śmierci Pedera Åkerlunda. A może nie. Niewielu cieszy się ze śmierci młodego człowieka. Może tylko skrajnie zaślepieni ludzie, bez względu na to, jakie mają poglądy.

Potem wyjeżdżają na równinę.

Elin dodaje gazu. Malin spogląda na Roxen, a słońce, które powoli opuszcza się nad horyzontem, sprawia, że rozległa tafla wody wygląda, jakby była z kruchego szkła.

Na jeziorze jest kilka łodzi. Pewnie łowią golce.

Silnik samochodu szumi, poza tym jest dziwnie cicho. Żadna z nich się nie odzywa i Malin ma wrażenie, że fragment wszechświata przestał istnieć. Jakaś jego część, która dla niej jest niewidzialna, ale jednak rzeczywista i obecna. Odczuwa to w sobie jak ruchomą pustkę, dziurę, wyrwę, w której nieustannie się porusza.

Na następnym skrzyżowaniu Elin skręca w lewo, na dużej prędkości, i jadą teraz bitą drogą przez równinę, potem skręcają w prawo, ku jej złotemu sercu. W oddali Malin widzi klasztor Vreta. Białą wieżę.

A za nią jest miejsce, gdzie znaleziono zwłoki.

Niedaleko stąd.

– To będzie ten dom – mówi Elin Sand.

Kawałek dalej, wśród kwitnących pól rzepaku i ugorów stoi duży, złoty dom z dwoma czerwonymi stodołami po bokach. Budynki w połowie skrywają brzozy różnej wielkości, tworząc gigantyczny żywopłot, mimo to widać, że stodoły się wałą. Na drodze stoi zardzewiały czerwony ford.

To miejsce, w którym brakuje pieniędzy.

Jaką ona ma pracę? – zastanawia się Malin.

– Stajemy tutaj – mówi.

Wysiadają.

Pole na lewo od samochodu jest wyschnięte i ma rdzawy kolor. W podmuchu wiatru znad Roxen wzbija się z niego kurz. Jeszcze jest widno, ale Malin musi mrużyć oczy, by dobrze widzieć i chronić je przed pyłem.

Do czego się zbliżamy? – myśli.

Julianna Raad pobiła policjanta, tak że ośleplł na jedno oko, więc muszą być ostrożne. Malin dotyka pistoletu pod marynarką, widzi wybrzuszenie pod dżinsową kurtką Elin.

Czy zaszliśmy w śledztwie tak daleko, że znajdziemy mordercę już w tym domu?

Malin czuje, że ścisza jej się żołądek. Nie z podenerwowania, strachu ani złości. To coś innego. Jakieś nowe, nieokreślone uczucie, na które można odpowiedzieć tylko działaniem. Wie o tym: alarm w ciele można uciszyć tylko działaniem albo alkoholem, a alkohol nie wchodzi dla niej w grę, zabiłby ją.

Dlaczego Julianna napisała te listy?

Dlaczego po arabsku?

Żeby skierować uwagę na muzułmanów? Zastraszyć Pedera Åkerlunda i sprawić, by uwierzył,

że jacyś muzułmanie na niego polują?

Listy nie były datowane. Napisała je, zanim zmienił poglądy czy potem?

A może Julianna Raad nie jest żadną działaczką lewicową, tylko kimś zupełnie innym? Muzułmańską aktywistką? Czy nie pakujemy się tutaj prosto w jakiś dżihad? – myśli Malin. Zdaje sobie sprawę, że zrobiła z tej kobiety potwora, choć jeszcze jej nie poznała.

Ruszają w stronę domu i Malin wyczuwa strach Elin Sand.

– Zrobimy to spokojnie i ostrożnie – mówi Malin, a obok nich przelatuje wróbel, przygląda im się, jakby były jedzeniem.

Malin czuje w powietrzu nadchodzącą noc.

Spogląda na dziwnie gęstą, a jednak postrzępioną formację drzew otaczających budynki, które są domem Julianny Raad.

Ale nie słyszy ludzkich głosów. Głosy śledztwa do niej nie szepczą.

Czwarty list.

*Odetniemy ci język. Sprawimy, że będziesz niemy.*

Redakcja gazety przypomina czasem krainę umarłych. Ciasno i gorąco, atmosfera rezygnacji. Są tu ludzie, którzy wiedzą, że ich dni są policzone, że niedługo zjawi się jakiś bystrzak od liczb i wykreśli ich nazwiska z listy pracowników.

Daniel Högfeltd stawia kropkę po ostatnim zdaniu trzeciego artykułu, który napisał na tej zmianie.

Pieką go oczy. Oświetlenie przy jego miejscu pracy jest zbyt słabe, monitor stary i w dodatku kiepski model.

Inni pracują wokół niego w milczeniu.

W redakcji czuć nastrój przygnębienia.

Wydaje się, że nikt nie wierzy w przyszłość papierowych gazet.

Wolnego, drukowanego słowa. Kompetentnej analizy władzy. Reklamodawcy mają coraz większe wpływy, myśli Daniel. Jakiś tydzień temu został wysłany do Cloetta Center na doroczny obiad fundowany przez sponsorów LHC, miejscowej drużyny hokejowej. To było kompletne płaszczenie się ze strony ich redakcji i szansa dla miejscowych kacyków, by pojawić się w gazecie.

Odmówił.

Szef odpowiedział kiepsko zawołowanymi pogroźkami, ale Daniel nie ustąpił.

ODMÓWIŁ.

Wysłali zamiast niego praktykanta i w gazecie pojawił się artykuł ze zdjęciami miejscowych celebrytów jedzących befsztyki.

*LHC dostaje świeży zastrzyk pieniędzy, brzmiał tytuł.*

Zero krytycznej analizy.

Kto potrzebuje wolnego słowa, gdy sami jego powiernicy pokazują, jaką ma wartość.

Żadną.

Jeśli go wyrzucą, będzie musiał znaleźć sobie coś innego do roboty. W mieście jest praca w public relations. Zabija duszę, ale jest lepiej płatna.

Wysłał artykuł.

Jest zadowolony z siebie.

Naprawdę mocny i bardziej wnikliwy portret zamordowanego Pedera Åkerlunda i spekulacje na temat morderstwa, odnoszące się do jego przeszłości.

Próbował skontaktować się z kimś z policji, by uzyskać komentarz. Ale jego informator postanowił milczeć, a do Malin nigdy nie dzwoni w takich sprawach. Byłaby wściekła, a on sam postawiłby się w niezręcznej sytuacji.

Ale czasem byłoby prościej poprosić ją po prostu o informację.

Czy w mieście pękł rasistowski wrzód? Czy ktoś miał już dość Szwedzkich Demokratów i zamordował jednego z nich? A może to rasiści zabili swojego wcześniejszego zwolennika, który stał się zbyt niewygodny?

A może to morderstwo na tle seksualnym? Znalezione go nagiego, a policja nie chciała ujawnić nic na temat jego obrażeń. Konferencja prasowa ma się odbyć dopiero jutro.

Ta sprawa budzi w nim złe przeczucia. Szykuje się coś naprawdę paskudnego.

Malin.

Mam czterdzieści jeden lat, myśli Daniel i wpatruje się w monitor. Widzi w nim swoje niewyraźne odbicie, zmarszczki na czole, które stają się coraz głębsze.

Malin nie może mieć więcej dzieci. Ja też ich nie mam.

Co z nami będzie? Będziemy bezdzietną parą w Linköpingu? Niewiele jest takich, ale czy ja w ogóle chcę mieć dzieci? Jeśli czuję jakąś pustkę w życiu, to nie jest to taka pustka.

Ale jestem gotów pójść dalej. Jestem gotów zrobić to z Malin. Zakończyć ten stan zawieszenia i przynajmniej zamieszkać razem.

Sięga po komórkę.

Chce do niej zadzwonić, zapytać, jak się czuje, co robi, powiedzieć jej, żeby była ostrożna.

Powiedzieć: „Kocham cię”.

Bo tak jest. Już od dawna.

Moja dłoń na twoim policzku, potem przesuwa się w dół, po stromym, lecz miękkim łuku twoich obojczyków. Twoje włosy łaskoczą mi palce i mówisz coś, cokolwiek.

Znajduje zdjęcie Malin w archiwum prasowym gazety. Przez pomyłkę wybiera takie, na którym Malin leży na noszach; niosą ją przez podwórze.

Postrzelona.

Śrut, który trafił w jej macicę i wciąż tam tkwi. Zasklepione, drobne, złe ziarenka. Nie sprawiają jej już fizycznego bólu, a drobne, okrągłe blizny stały się jaśniejsze, nie są już tak wściekle czerwone jak rok temu. Zwykle zatrzymuje na nich opuszki palców, zanim przesunie je

dalej w dół, tam, gdzie ona chce, niżej i w głąb, i potrafi sprawić, by drżała z pożądania, z tęsknoty za samą sobą.

Bo tym jest dla niej seksualność. Pomaga jej odnaleźć w sobie coś, co utraciła i do czego musi znów dotrzeć, jeśli ma być spełniona.

Malin kocha się, jakby to była sprawa życia i śmierci.

I tak jest. Jego ciało jest tylko narzędziem dla jej marzeń i woli życia.

Gdzie teraz jesteś, Malin? Bądź ostrożna.

Nie przeżyłbym tego, gdybym cię stracił.



Malin i Elin krok po kroku zbliżają się do gospodarstwa. Żwir zgrzyta pod ich stopami, a niebo jest nieskończenie wieczornie niebieskie.

Nie ma ptaków, myśli Malin. Jakby odleciały, opuściły świat.

Elin jest zdenerwowana, ale gotowa do działania, prawie jakby szykowała się do ataku i jakby Malin była porucznikiem, który zaraz dmuchnie w gwizdek, a wtedy obie rzucają się naprzód z okopów.

Wcale nie jest takie pewne, że Julianna Raad ma cokolwiek wspólnego z tym morderstwem, ale coś się może tutaj stać. Zasadzka może czaić się wszędzie.

Czy jest tu śmierć? – myśli Malin.

Dziwne formacje drzew wokół domu. Mur z liści.

Podchodzą do białej furtki. Elin ją otwiera i wchodzi na podwórze. Po obu stronach wysypanego żwirem, porośniętego chwastami placu chylą się stodoły, kalenice wyglądają, jakby w każdej chwili miały się zapaść. Na wprost stoi otynkowany na żółto dom.

Pusty ganek.

W oknach ktoś ponaklejał brązowe ekrany przeciwsłoneczne. Oczy domu są ciemne, a drzwi w kolorze grafitowym wyglądają jak otwarte usta. Wszędzie cienie; migoczą, gdy wiatr porusza liśćmi. Po jednej stronie domu rozkopana grządka, czarna ziemia i glebogryzarka, której płozy lśnią w ostatnich promieniach słońca.

Spojrzenie.

Czuje je na sobie, już wcześniej czuła coś takiego. To nie spojrzenie oczu, tylko inne, zabójcze, i Malin krzyczy:

– Na ziemię, Elin! Padnij na ziemię, do diabła! – I gdy przebrzmiewa ostatnie słowo, pada pierwszy strzał.

Bang!

Żwir eksploduje przy stopie Malin.

Karabin? Pistolet? Kątem oka widzi, że Elin rzuca się na żwir, czołga w stronę przewróconego ogrodowego stołu, żeby się za nim schronić.

Malin wciąż stoi.

Bang!

Rzuć się na ziemię, do diabła!

Druga kula przelatuje ze świstem obok jej głowy.

Teraz czuje falę adrenaliny i rzuca się w bok, czołga w stronę domu, ale jest zupełnie bez osłony na otwartym podwórzu.

Które okno? – myśli. Krzyczy:

– Strzelaj, Elin, strzelaj!

I Elin strzela w stronę domu.

Następna kula trafia tuż przed twarzą Malin. Strzaskane szkło pada na żwir i Malin zbiera się w sobie, unosi na kolana, biegnie zygzakiem w jedną stronę, w drugą, jest już blisko ganku, tam jest się za czym schować, i czeka, aż pocisk ją trafi, wie, jakie to uczucie zostać postrzelonym, jak to boli, ale nie boi się. Strach pojawi się później.

Kolejne strzały z domu.

Wszystkie trafiają kilka metrów za Malin i musi być teraz poza polem widzenia strzelającego, biegnie szybciej, w górę po schodach, odwraca się boki i ramieniem uderza w drzwi.

Jest w środku.

Woń gotowanych warzyw i brudu. Na podłodze leżą zniszczone dywany, a meble wyglądają jak z innej epoki.

Malin przywiera do ściany. Strzały padły z piętra, ale w domu może być więcej ludzi. Nigdzie nie jest bezpieczna.

Pot spływa po czole, do oczu. Piecze.

– Zostań tam! – krzyczy do Elin.

Dyszy ciężko. Próbuje wziąć kilka głębokich oddechów i uświadamia sobie, że w wyciągniętych rękach ściska pistolet.

Muszę wejść na górę, myśli.

Powinnam przeszukać pokoje na dole.

Słyszy kolejny strzał, dźwięk tłuczonego szkła.

Kuli się.

Jeśli tu na dole jest ktoś jeszcze, powinnam go już widzieć.

Schody. Kilka metrów od niej stopnie pomalowane na czerwono.

Muszę na górę.

Rusza w stronę schodów. Pierwszy stopień, drugi, broń skierowała w górę i jest gotowa oddać

strzał, teraz się boi. Wie, że jeśli ktoś leży i czeka na nią na górze, nie będzie miała żadnych szans.

Odstrzela jej głowę.

– Julianno! – woła. – Chcemy tylko z tobą porozmawiać.

Żadnej odpowiedzi.

Tylko broń, strzał z pokoju na górze, i Malin słyszy za sobą dźwięk – jakiś człowiek? – odwraca się gwałtownie, dostrzega ruch, celuje i przez drzwi domu wybiega czarny kot.

Kurwa.

Znów się odwraca, idzie po schodach z uniesionym pistoletem i teraz jest zła, głupia, pieprzona idiotka.

– Julianno! Idziemy, idę po ciebie. – Malin krzyczy, lecz stara się, by jej głos brzmiał spokojnie i równocześnie budził respekt.

Jest w połowie schodów.

Głowa niemal nad krawędzią podłogi.

Teraz całkiem nad krawędzią.

W każdej chwili może paść strzał.

Korytarz.

Dwoje zamkniętych drzwi.

I Malin się odwraca, opuszcza pistolet, czysto po obu stronach, pokonuje biegiem ostatnie stopnie, przywiera do świeżo pomalowanej ściany przy drzwiach.

Tu na górze jest ładnie. Komoda, na niej sterty gazet i książek. Nowy dywan.

Strzały musiały paść z pokoju na końcu korytarza, za tamtymi czerwonymi drzwiami.

Znów unosi broń.

Trzymając ją przed sobą, wchodzi w korytarz.

Żadnych kolejnych strzałów.

Słyszy kroki na żwirze i wie, że Elin wchodzi do domu. Ale Malin milczy, nie woła Julianny. Nie chce zdradzać swojej pozycji.

– Jestem w środku! – krzyczy Elin. – Sprawdzam dół!

Malin czeka, słyszy, jak Elin przechodzi z pokoju do pokoju, krzyczy:

– Czysto, czysto, czysto!

Cały dół czysty.

Potem cisza.

Tylko szum wiatru w drzewach.

Kula przebiła ścianę? Trafiała Juliannę Raad? Jeżeli to ona jest po drugiej stronie tych czerwonych drzwi.

To może być ktoś inny.

Malin idzie naprzód.

Do czerwonych drzwi.

Próbuje nasłuchiwać, ale z pokoju nie dobiega żaden dźwięk.

Czeka przy framudze. Szybko cofa się o krok, a potem mocno kopie. Drzwi ustępują łatwiej, niż sądziła, i wpada do środka.

Do diabła.

Gdy odzyskuje orientację i ma unieść broń, widzi Juliannę Raad pod przeciwległą ścianą, mierzącą do niej z pistoletu. Ma różową sukienkę w kwiaty i wydaje się niemal stapiać z czerwoną, kwiecistą tapetą.

Zdezorientowane, zaszczute spojrzenie.

– Nie strzelaj – mówi Malin. Lufa jej pistoletu wycelowana jest w podłogę.

Juliannie Raad trzęsą się ręce.

– Chcemy tylko z tobą porozmawiać – mówi Malin i myśli: rzuć tę pieprzoną broń, nie zastrzel mnie.

W następnej chwili słyszy dźwięki za plecami, a potem głos Elin Sand.

– Będę strzelać. Rzuć broń.

Malin patrzy na Juliannę Raad. Widzi samotność, zrozumienie, co zrobiła w ostatnich minutach, ale też strach i rozpacz.

– Coście, kurwa, za jedne?! – wrzeszczy. – Czego, kurwa, chcecie?!

– Jesteśmy z policji – mówi Elin. – Prowadzimy śledztwo w sprawie Pedera Åkerlunda i musimy z tobą porozmawiać.

Kobieta wydaje się jeszcze bardziej zdezorientowana. Spojrzenie jej oczu znów się zmienia, niepokój, strach.

– Nic nie wiem o żadnym morderstwie – mówi.

– Nie chcemy się skrzywdzić – uspokaja Malin.

– Wy, pieprzone gliny, zawsze to robicie.

Teraz rzucisz broń, myśli Malin.

Ale Julianna Raad wciąż celuje i Malin wie, że Elin ma ją na muszce, i wykonuje szybki ruch w bok. Julianna traci koncentrację, jest zdezorientowana. Malin rzuca się na nią. Wysokim

kopnięciem, jak z kiepskiego filmu kung-fu, wytrąca jej z ręki pistolet.

Jest rozbrojona.

Malin wali ją w skroń. Kobieta pada na podłogę, jej długie, chude ciało opada powoli, jakby potrafiła latać.

Elin jest już przy niej. Siada na Juliannie Raad, która chyba zrozumiała, że nie ma sensu stawiać oporu.

Malin sięga po kajdanki. Skuwa Juliannie ręce za plecami. Kobieta krzyczy:

– Faszystki. Jesteście pierdolonymi faszystkami!

Słyszę pazury borsuków drapiące moją skrzynię. Szurają.

Pazury. Słyszę je teraz, ale mnie nikt nie słyszy.

Wiem o tym.

A jednak krzyczę, krzyczę i krzyczę.

Bolą mnie stawy i plecy. Próbuję się odwrócić, ale skrzynia jest za ciasna.

Unoszę głowę i walę nią w drewno. Mocno, mocno, mocno i jeszcze raz.

Ból jest rzeczywisty. Żyję.

Kto mnie tu pogrzebał? I znowu krzyczę:

KTOMNIETUPOGRZEBAŁ?

Co takiego zrobiłam? Nie zasłużyłam sobie na to.

Leżę w trumnie?

Jestem na równinie? W lesie czy w ogrodzie? Czy w jakimś domu pod betonową podłogą piwnicy?

I co tak tyka?

Jakiś zegar tyka i piję trochę wody z wężyka. Wydaje się świeższa, czy ktoś ją uzupełnił? Czuję, że powietrze, moje powietrze, powoli się kończy.

Oddychać oddychać oddychać.

Leżeć spokojnie. I tak nic nie mogę zrobić, więc równie dobrze mogę oszczędzać siły.

Zegar tyka. Czy może być połączony z jakimś ładunkiem wybuchowym? Brzmi to jak jakieś szaleństwo, ale to jest szalone.

Mamo, tato, nie chcę umierać. Jeszcze nie teraz. Zmienię ten pieprzony świat.

Mamo.

Tato.

Musicie mnie znaleźć.

Choć traktowałam was jak gówno, teraz was potrzebuję. Moje słowa odbijają się od drewnianych ścian i sama już je ledwie rozumiem.

Musicie mnie usłyszeć.

Dlaczego nie przychodzicie?

Mamo, tato.

Przepraszam przepraszam przepraszam.

Wysiadają z taksówki pod secesyjną kamienicą przy Drottninggatan, naprzeciw Trädgårdsföreningen. Bror Lundin spogląda na park. W półmroku drzewa są nieruchomymi olbrzymami, a krzewy ich zastraszonymi sługami.

W budynku są mieszkania czynszowe, ale tylko dla najzamożniejszych ludzi w mieście. Za swoje pięciopokojowe mieszkanie płacą dziewiętnaście tysięcy koron miesięcznie.

Bror Lundin i jego żona Beata mieli w życiu szczęście. Gdy studiował, założył z kilkoma kolegami ze studiów firmę opracowującą środowiska do gier komputerowych i byli dostawcami dla kilku międzynarodowych produkcji, które odniosły sukces. Beata jest dyrektorem finansowym w innej znanej firmie technicznej.

Są zamożni, ale nie jakoś strasznie bogaci. W tych latach, gdy trzeba było inwestować, zmuszony był do sprzedaży części udziałów.

Bror pomaga kierowcy wystawić walizki na chodnik. Torby na kije do golfa są ciężkie. Kije wysokiej jakości.

Marbella.

Tydzień w słońcu przy golfie i różowym winie.

Beata wprowadza kod do domofonu.

Wie, że oboje mają nadzieję na to samo: że ich córka Nadja będzie na górze w mieszkaniu.

Nie, że będzie na nich czekać, bo wtedy życzyliby sobie zbyt wiele, ale że po prostu tam będzie. Był dziś zwykły dzień, powinna być w szkole. Więc może jednak będzie w domu.

Ma tylko szesnaście lat. Ale jest dziwnie uparta.

Wegetarianka – nie, weganka – działaczka ekologiczna. Sprzeciwia się niemal wszystkiemu, co robią. Prowadzi blog, w którym pisze o zniszczeniach środowiska w przemysłowych regionach miasta i opisuje firmy i ludzi, przede wszystkim celebrytów, którzy według niej żyją nieodpowiedzialnie z ekologicznego punktu widzenia.

Wcześniej w domu często dochodziło do konfliktów, ale w końcu on i Beata zrozumieli, że nie ma sensu się z nią spierać.

Nadja jest, jaka jest.

I on, oni oboje, kochają ją ponad wszystko. Swoją jedyną córkę.



Nie odzywała się od dwóch dni. Dzwonili, ale nie odbierała, nie zadzwoniła do nich, nie wysłała esemesa ani maila. Na jej Instagramie nie pojawiły się żadne nowe zdjęcia, nie ma profilu na Facebooku, uważa, że to dla „starych ludzi”.

Właściwie nie ma w tym nic dziwnego. Pewnie jest teraz w ich domku letniskowym w Svartmåli. Zdarza się, że jeździ tam po szkole albo w weekendy. Ćwiczy tam jogę i uprawia warzywa na dużej grządce, którą zrobiła sobie za domem. Warzywa z pierwszego zbioru były magicznie smaczne.

Wtaszczyli walizki do windy. Oboje są zmęczeni. Spóźnili się na lot we Frankfurcie, a potem musieli czekać dwie godziny i lecieć do Sztokholmu zamiast do Göteborga, więc wrócili później, niż się spodziewali.

Winda powoli jedzie w górę.

Ledwie się mieszczą z torbami i walizkami i Bror Lundin spogląda na Beatę. Wciąż jest piękna. Po trzydziestu wspólnie spędzonych latach nadal dostrzega piękno w jej twarzy, łagodne rysy i mały, zadarty nosek, jasne, gęste włosy, które zdają się nie siwieć z upływem lat.

Ale teraz jest niespokojna. Widzi napięcie na jej twarzy, drobne zmarszczki wokół ust.

– Nie martw się – mówi. – Na pewno jest w domu. Nie dzwonili przecież ze szkoły i nie mówili, że jej nie było.

– Nie dzwonią z takiego powodu, przecież wiesz – odpowiada poirytowana. – Powinniśmy byli do niej zadzwonić.

Bror Lundin czuje ogarniające go rozdrażnienie.

Nadęte babsko.

Tłumi jednak to uczucie, jak robił to już tak wiele razy.

Winda zatrzymuje się na trzecim piętrze. Beata wychodzi, wsuwa klucz w zamek.

Znika w głębi mieszkania.

Bror wynosi ich bagaże z windy. Niesie je do owalnego przedpokoju i tam żona wychodzi mu naprzeciw.

– Nie ma jej – mówi.

– No to jest na wsi – odpowiada Lundin.

Beata ma sceptyczną minę, ale się nie odzywa.

Dzwonili już do domku letniskowego, ale nikt nie odbierał. Komórka ma tam czasem kiepski zasięg, a połączenie internetowe jest niestabilne. Nie wrzuciła nic na Instagram i to by przemawiało za tym, że może jednak jest na wsi.

Zwykle robi to co najmniej trzy, cztery razy dziennie. Zamieszcza zdjęcia dotyczące małych ekologicznych skandali albo przedstawiające ją z nielicznymi przyjaciółkami. Ale może teraz, wiosną, jest całkowicie pochłonięta swoją uprawą warzyw.

Beata się odwraca, wchodzi w głąb mieszkania. Idzie do salonu, którego okna wychodzą na park.

Bror zamyka drzwi wejściowe, rusza za żoną.

W pokoju dominują ziemiste sofy od Josefa Franka, a na ścianach wiszą dwa duże obrazy olejne Bengta Lindströma. Groteskowe twarze, jaskrawe barwy.

Beata podchodzi do okna. Patrzy w dół, na drzewa.

Nad Linköpingiem zapada zmierzch.

A Nadji nie ma.

Ale trzeba zachować zimną krew.

Powinni zadzwonić na policję?

Nie.

Najpierw trzeba sprawdzić w Svartmåli.

Przysuwa się do Beaty, kładzie ręce na jej ramionach i szepcze jej do ucha:

– Nie martw się, jest w Svartmåli. Zaraz tam pojedę.

– Nie jesteś zmęczony? – pyta jego żona. I Bror Lundin słyszy w jej głosie, że to nie troska, że jej słowa są raczej wyzwaniem: chyba jesteś na tyle mężczyzną, żeby zabrać się do tego od razu? Cokolwiek innego byłoby nie do pomyslenia.

Odsuwa się od niej i dziesięć minut później siedzi w bmw cruiserze i kieruje się ku lasom Östergötland.

Zawsze uderza go to, jak pięknie jest w Svartmåli. O tej porze wody jeziora są niemal czarne. Ale gałęzie drzew wciąż odbijają się w lśniącej powierzchni.

Kupili ten dom, gdy pięć lat temu sprzedał trochę akcji. Był za drogi, ale pieniądze wciąż spływały wartkim strumieniem; Brorowi podoba się to, że dom jest tak blisko miasta. Wystarczy pół godziny i człowiek jest w zupełnie innym świecie.

Większość domów stoi pusta i światła są pogaszone, ale Anderssonowie są na miejscu. Mieszkają tu przez cały rok.

Skręca dwa razy w lewo i widzi dom, a trochę dalej jezioro.

W ubiegłe lato przemalował dom na zielono, w kolorze mchu. Skrobał, czyścił i malował. Białe naroża. Jest zadowolony z efektu.

Bror Lundin parkuje. Potem stanowczym krokiem rusza do drzwi, świadomie nie dostrzega oznak, że Nadji tu nie ma.

To by było nie do pomyślenia.

Musi tu być.

Bo gdzie indziej mogłaby być?

Chce zobaczyć jej śliczną twarz. Położyć dłonie na jej policzkach i pocałować ją w czoło, powiedzieć, że ładnie wygląda z tym kolczykiem w nosie i że buty z imitacji skóry też świetnie wyglądają.

Chce być miły. Chce, żeby go wysłuchała. Żeby nie patrzyła na niego tylko jak na życzliwego starego idiotę.

Mam czterdzieści pięć lat. Mogę być częścią jej życia.

Drzwi wejściowe są zamknięte na klucz.

Ale i tak może tu być.

Przez szybę w drzwiach Bror Lundin widzi, że w domu jest ciemno. Wyjmuje klucz i wchodzi do środka.

Coś tu się nie zgadza. Wyczuwa to od razu. W domu jest świeże powietrze, nie czuć zaduchu, tak jak zwykle. Szybko przechodzi do dużego pokoju.

Jezioro jest już czarne jak smoła, a meble, grill i złożony parasol na tarasie wyglądają jak stopiona rzeźba z brązu.

Nie chce widzieć tego, co widzi.

Szyba w drzwiach na taras jest stłuczona.

Szkło zgrzyta mu pod butami, gdy wchodzi do pokoju. Meble są poprzesuwane, dwa fotele od Bruno Mathssona przewrócone, a dywan pod stołem się zmarszczył.

Stłuczone flakony.

Przeszklona szafka przewrócona na bok.

Wszędzie szkło.

Bałagan.

Jak po walce. Jakby walczyło tu kilka osób.

Laptop Nadji stoi na stole, otwarty, z ciemnym ekranem. Jej brązowy sweter leży na sofie.

Bror Lundin stoi bez ruchu. Oddycha. Czuje zimny podmuch wiatru od rozbitych drzwi na taras.

Nie słyszy ani nie czuje swojego oddechu.

Nadja.

NADJA!

Chce ją wołać, głośno i długo. Wywabić ją z lasów swoimi krzykami.

Nadja.

Byłaś tu.

Ktoś przyszedł.

Walczyliście.

Teraz zaginęłaś.

Bror Lundin nigdy w całym swoim życiu tak się nie bał. Czuje, jak rozwierają się szczęki rozpaczy, czuje oddech potwora na karku, wie, że może zostać połknięty żywcem.

Wychodzi na taras. Patrzy na nietkniętą grządkę w ogrodzie.

Krzyczy imię swojej córki.

Raz za razem wykrzykuje jej imię.

Ale nie słyszy żadnej odpowiedzi.

Tato.

Tato.

Wołasz mnie?

A może to ty mnie wołasz, mamó? Jesteście tak blisko?

Przyśniły mi się wasze krzyki. Kiedy spałam.

Teraz jest gorąco, pocę się, chce mi się pić, ale w wężyku nie ma już wody.

Biję rękoma na boki. Biję najmocniej jak potrafię, ale jest za ciasno i nawet nie krwawią mi dłonie.

Jestem tak samotna, że nie mogę już nawet pokaleczyć sobie rąk.

Rany bolą mnie i palą.

Tato, proszę, znajdź mnie szybko.

Julianna Raad pochyla się i pluje Malin w twarz.

– Policyjna kurwa.

Malin ma ochotę się rzucić, złapać ją za gardło.

Julianna ma dwadzieścia dwa lata i jest najbardziej nienawistnym człowiekiem, jakiego Malin kiedykolwiek spotkała. Jakby opętał ją jakiś demon.

Wygląda niemal ślicznie w tej sukience w kwiaty i ma łagodne rysy, ale w oczach kryje się żelazna wola.

Elin Sand kładzie rękę na ramieniu Malin.

– Spokojnie, spokojnie.

Pokój przesłuchań numer dwa jest cały pomalowany w odcieniach brązu. Krzesła i stoliki są z metalu, a światło halogenowych lamp pod sufitem pozwala wyraźnie widzieć twarze i oczy.

Za weneckim lustrem w ścianie czeka Göran Möller.

– Nie sprowokujesz mnie – mówi Malin i rękawem ociera ślinę z twarzy.

– Jeszcze zobaczymy.

– Dlaczego do nas strzelałaś? – pyta Elin Sand. Jej głos jest przyjazny.

– Nie muszę wam nic mówić.

– Nie, nie musisz – przyznaje Malin. – Ale mogłabyś. – Wiele lat posiedzisz w więzieniu, myśli. Prokurator bez problemu usadzi cię za usiłowanie popełnienia morderstwa. – Siedzisz po uszy w gównie.

Powiedziały jej, dlaczego do niej przyjechały, dlaczego siedzi teraz w tym pokoju.

– To ty pisałaś listy z pogroźkami do Pedera Åkerlunda?

Julianna Raad wydaje się zastanawiać nad sytuacją, a potem w jej mrocznym spojrzeniu pojawia się blask.

– Tak, ja. – Uśmiecha się. – Chciałam nastraszyć tego rasistowskiego skurwiela, tak jak on zastrasza innych.

– Stał się przeciwnikiem rasizmu – mówi Elin.

– Skąd możecie być takie pewne?

– Co masz na myśli?

Obrazy w jego mieszkaniu, myśli Elin. Nieszkodliwe pejzaże Adolfa Hitlera. Dlaczego ich nie pozdejmował?

– Są anonimowe strony w Internecie z jego wypowiedziami. Aktualizowane długo po tym, jak został świętym.

– Jakie strony? – pyta Malin.

Julianna Raad podaje im kilka adresów.

– Czyli uważasz, że dalej był rasistą?

– Nigdy nie wiadomo. Ale jak ktoś raz był rasistą, pozostaje nim na zawsze.

– Kiedy wysłałaś mu te listy? – pyta Elin.

– Pierwszy jesienią, ostatni dwa miesiące temu.

– Ale dlaczego po arabsku?

– Wiedziałam, że tak go najbardziej wystraszę.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – pyta Malin.

– Nie wystraszyłby się mnie, dziewczyny. Ale muzułmanów już tak. Tacy jak on srają od tego w gacie.

– A potem zrealizowałaś swoje groźby. W jakiś sposób go złapałaś i zabiłaś.

Julianna Raad odchyła się na krześle. Odrzuca do tyłu głowę i zaczyna się głośno śmiać.

– Wiem, że są teraz u mnie wasi technicy. Że skonfiskujecie mi komputery. Ale nic nie znajdziecie, bo nie ma nic do znalezienia. To nie byłam ja, ktoś inny go zabił.

– Groziłaś mu – przypomina Malin. – Musisz zrozumieć, że w naszych oczach jesteś podejrzana.

– Naśladowałam tylko retorykę dżihadystów. No wiecie, to, jak gadają na YouTube, zanim odrąbią głowę jakiemuś zakładnikowi.

Malin bierze głęboki oddech.

– Sympatyzujesz z nimi?

Julianna się uśmiecha, nie odpowiada.

– Dlaczego do nas strzelałaś? – pyta ponownie Elin Sand. – Chciałaś nas zabić, prawda?

Julianna Raad znów się śmieje.

– Gdybym chciała was zabić, trafiłabym.

– Ale dlaczego strzelałaś?

– Już mówiłam, nie muszę wam niczego wyjaśniać.

Nienawidzi policji, myśli Malin. Anarchistka. Spóźniła się co najmniej o sto lat.

– Masz pozwolenie na broń? – pyta Elin.

– Ha!

– Skąd ją masz?

– I wydaje wam się, że wam powiem.

Była i jest zdolna do wszystkiego, myśli Malin.

– Dlaczego mieszkasz sama w tym gospodarstwie?

– Wynajmuję je.

– Stać cię na to?

Nie odpowiada.

– Dobra kryjówka – stwierdza Elin.

– Dobre miejsce do mieszkania.

– Dlaczego strzelałaś?

– Usłyszałam w radiu o tym morderstwie. Pomyślałam, że jesteście jego przyjaciółkami albo kimś takim. Że nasłali was rasiści, żeby się zemścić. Może się dowiedzieli, że mu groziłam, i pomyśleli, że go zamordowałam. Spanikowałam, dobra?

– Nie brzmi to szczególnie wiarygodnie – mówi Malin. – Skąd ktoś miałby wiedzieć, że to ty wysłałaś te listy?

Julianna unosi brwi.

– No to spróbujmy inaczej. Domyśliłam się, że jesteście glinami, i się wystraszyłam. Wiedziałam, że skorzystacie z okazji, żeby zrobić mi krzywdę, bo pobiłam waszego kolegę. Tacy jesteście. Oko za oko. Lepiej być tym, kto strzela pierwszy.

– Czyli nie zabiłaś rasistowskiego skurwiela, ale uważasz, że to dobrze, że nie żyje? – podsumowuje Elin.

Julianna Raad kiwa głową.

– Tacy jak on nie powinni istnieć. Wytępić ich, jeśli mnie o to pytasz.

– Ale przecież zmienił poglądy. Był po tej samej stronie co ty.

– To nie ma żadnego znaczenia.

– To czego chcesz? – pyta Elin. – W szerszej perspektywie?

– Chcę zmiany.

– Zmiany czego?

– Całego pieprzonego porządku świata. Jeśli mam się stać taka jak inni, to równie dobrze mogę być martwa.



Prosto z mostu, myśli Malin. Może ślina z tych ust powoli przeżera mi policzek? Wiedziałaś, że jesteśmy z policji, dostrzegłaś w tym okazję, żeby zmienić „porządek świata”.

– Masz dostęp do chemikaliów? – pyta.

– Nie. Dlaczego?

– Co robiłaś przedwczoraj wieczorem?

– Nie było mnie w mieście. Byłam u koleżanki. Nocowałam tam. Możecie sobie sprawdzić.

Stina Persdotter.

– Co robiłyście? – pyta Elin.

– Oglądałyśmy film. *Hobbita*. Kompletna beznadzieja.

– Nie widziałam tego – mówi Malin.

– Musicie zrozumieć jedną rzecz – szepcze Julianna Raad i pochyla się nad stołem. – Trwa wojna. Jeśli się ich nie uciszy, oni uciszą nas. Ich głosy sprawią, że wszystko się stoczy.

Szalona, myśli Malin.

Ale z drugiej strony, jeśli nikt nie będzie protestował przeciwko rasizmowi i niesprawiedliwości i nie będzie gotów posunąć się w tych protestach naprawdę daleko, co się wtedy stanie? Dojdą do władzy najgorsi szaleńcy?

– Jestem gotowa ponieść konsekwencje moich czynów.

Julianna Raad pochyla się nad magnetofonem. Przysuwa usta do mikrofonu.

– Chcę, żeby to się nagrało: to wy strzelałyście pierwsze. Ja się tylko broniłam przed faszystowskim reżimem.

Pozwalają, by mundurowi zaprowadzili Julianę Raad do celi w areszcie. Czeka ją ciężka wędrówka, myśli Malin.

Z początku Göran Möller nie chciał pozwolić, by to ona i Elin przeprowadziły przesłuchanie, uważał, że po tym, jak do nich strzelano, są zbyt wzburzone. Ale Malin wygarnęła mu, co o tym myśli.

– Ja ją złapałam, ja ją przesłuchuję, dobra?

Nie zamierzała o tym dyskutować.

Göran ustąpił i teraz stoi z trzema innymi policjantami na korytarzu pod pokojem przesłuchań. Wszyscy są zmęczeni, ale ta sprawa nie może czekać.

– Musimy zadzwonić do jej koleżanki – mówi Elin.

– Tak, musimy – zgadza się Göran. I dodaje: – Przed chwilą dzwoniła Karin. Nie znaleźli jeszcze nic godnego uwagi. Żadnych chemikaliów, leków. W ogóle nic specjalnego.

– Może tylko wysłała listy – mówi Malin. – Jej wyjaśnienia są właściwie sensowne. Kiedy się je już poskłada. Nie wydaje mi się, żeby kłamała.

Elin porusza ramionami, jakby bolał ją kark.

– Mnie też nie. Ale nie mamy pewności.

– Dobra robota, dziewczyny – chwali Möller.

Malin czuje, że zaraz wybuchnie, i Göran chyba dostrzega jej złość. Uśmiecha się.

– Tylko żartowałem. Dobra robota, pieprzone gliny. – I dodaje: – Nie pojmuję, jak udało ci się zachować spokój, kiedy cię opluła.

– Nie doceniasz mnie. Poproszę Johana, żeby się przyjrzał tym stronom, które wymieniła.

W tym momencie dzwoni telefon Görana. Wyciąga go z kieszeni spodni, odbiera. Słucha dziesięć sekund, unosi brwi.

– Natychmiast wysyłam Malin i Elin. – Kończy połączenie. Patrzy na obie policjantki. – Jeszcze przez jakiś czas się nie wyśpicie.

Zegar na ścianie w pokoju przesłuchań wskazuje dwudziestą trzecią pięćdziesiąt pięć.

Pierwszy dzień śledztwa w sprawie morderstwa Pedera Åkerlunda upłynął w zawrotnym tempie, a teraz zdarzyło się coś jeszcze.

– Pojedziecie do Svartmåli. Ojciec uważa, że jego córka została porwana.

---

Chcę opowiedzieć o ojcu.

Był szyczą. Tam, gdzie mieszkaliśmy, rządził wszystkim. Był czerwonym apostołem dobra. Wygłaszał kazania o sprawiedliwości i równości. Człowiek poza wszelkimi podejrzeniami.

Potem wracał do nas do domu. Do mnie i do mamy. Przysuwał butelkę do ust i uczył nas pięściami, jakie miejsce w świecie i w domu powinny zajmować kobieta i dziecko.

Bił i bił.

Mnie i mamę. Głównie mamę.

Rzucił w nią garnkiem z gorącą wodą. W szpitalu mu uwierzyli, gdy powiedział, że potknęła się, gdy podchodziła do zlewu.

Mama nic nie powiedziała.

Bo gdyby to zrobiła, wyżyłyby się na mnie. Zabiłyby mnie.

W imię dobra.

Niedługo opowiem o mamie. Chcę tylko jeszcze trochę się pobawić o tej późnej porze.

WTOREK, SZESNASTY MAJA

Noc zamyka się wokół samochodu jak kwiat. Reflektory oświetlają las i Malin się wydaje, że między pniami sosen widzi twarze ze szmatami wetkniętymi w otwarte usta.

Elin siedzi spokojnie na miejscu kierowcy.

Jakby nic jej nie ruszało.

Ale Malin wie lepiej. Wszystkich coś rusza, rusza ich życie i to, co potrafi z człowiekiem zrobić.

Co na nas czeka w tym domu?

Zrozpaczony ojciec? Zdezorientowany człowiek, który nie potrafi pogodzić się z tym, że jego córka dorosła i ruszyła w świat, nic mu o tym nie mówiąc.

A może dziewczyna naprawdę została porwana?

Göran Möller wydawał się pewny swego: dziewczyna faktycznie zaginęła. To nie żaden fałszywy alarm.

Svartmåla.

Psycholog Viveca Crafoord ma tu prześliczny dom letniskowy. Wciąż go ma? Nie miały ze sobą kontaktu od kilku lat.

Malin przymyka oczy.

Myśli o Tove. Godzina w Kongu jest taka sama jak tutaj, nie ma żadnej różnicy czasu. Powinna już dotrzeć do wiosek w górach, może śpi w namiocie. Malin chce do niej zadzwonić, ale wie, że jest późno i że szansa na uzyskanie połączenia wynosi jakieś jeden do dziesięciu tysięcy.

Wszystko musiało się udać. Nie złapał jej żaden potwór z dżungli, nie wydarzył się żaden wypadek.

Nie wie, na co Tove musi tam patrzeć.

Nie chce wiedzieć.

Myśli: wystarczy mi to, co widzę tutaj.

Odsuwa od siebie myśli o córce. Zamiast tego myśli o Danielu.

Jego głęboki głos, tak bardzo lubi go słuchać i tak bardzo potrafi za nim tęsknić. Za miłością,

pocieszeniem i spokojem, który z sobą niesie.

Czuje, jak samochód skręca dwa razy, a potem zatrzymuje się, chyba na wysypanym żwirem placu. Otwiera oczy. Widzi eleganckiego mężczyznę w różowej koszulce do tenisa, patrzy na nie rozszerzonymi oczami.

Strach w jego spojrzeniu.

Jest autentyczny. Nie da się tego nie zauważyć.

Elin wyłącza światła wozu i noc staje się ciemna.

Wysiadają z samochodu i podchodzą do mężczyzny, który wyciąga rękę i się przedstawia.

– Bror Lundin.

Malin ściska jego dłoń. Mężczyzna mówi:

– Nie pomyślałem o tym, żeby włączyć światło. Wejdźmy. – Oprowadza je po domu, a gdy docierają do tarasu, ostrzega: – Tu jest dużo szkła.

Elin prosi go, by zapalił światło. Bror Lundin naciska jakiś włącznik na ścianie i Malin widzi zadbane ogród opadający aż do Järnlunden. Jezioro ciągnie się przed nimi jak czarne płuco w mroku nocy.

Odłamki szkła na tarasie, w dużym pokoju.

Meble i papiery tworzą jeden wielki chaos.

Ktoś tutaj walczył, myśli Malin, co do tego nie ma wątpliwości. Ktoś się tu włamał i doszło do szarpaniny. Patrzy na Elin. Jej spojrzenie mówi: „Sprawa jest poważna”.

Malin przygląda się całej scenie. Szkło, bałagan. Próbuje wypatrzeć ślady ciągniętego ciała, ścieżkę przez cały ten chaos.

Bror Lundin stoi na środku pokoju i patrzy na nie błagalnie.

– Co sądzicie? – pyta.

Nadja. Jego córka ma na imię Nadja.

Teraz Malin przypomina sobie to imię. Uciekło jej z głowy, gdy tylko Göran Möller je wymienił, ale teraz sobie przypomina.

Szesnaście lat.

– Ktoś porwał Nadję – mówi Bror Lundin.

Elin Sand podchodzi do niego, obejmuje go ramieniem, prowadzi do części kuchennej i sadza na barowym stołku. Malin rusza za nimi, zauważa, że Elin ma uspokajający wpływ na ojca Nadji.

– Tak – przyznaje Malin – Nadja mogła zostać porwana. Ale w tej chwili wiemy tyle co pan.

Lundin kręci głową.

– Wiedziałem, że będą z tego kłopoty. Prosiłem ją, żeby przestała, ale nie chciała mnie słuchać.

Co przestała? – myśli Malin.

A potem się wzdraga. W jej głowie pojawia się pewna myśl, zimny dreszcz pełnie po kręgosłupie: ty to zaaranżowałeś? Zrobiłeś coś swojej córce?

Pyta:

– Tak to wyglądało, kiedy pan tu przyszedł?

– Nadji nie było w domu, kiedy wróciliśmy z urlopu – mówi Lundin. – Od kilku dni nie mogliśmy się z nią skontaktować i gdy nie zastaliśmy jej w mieszkaniu, przyjechałem tutaj. Często tu przyjeżdża, żeby pisać. Uprawia tu warzywa i ćwiczy jogę, lubi być blisko natury.

– Drzwi wejściowe nie były otwarte? – pyta Elin.

– Nie. Tu w środku był bałagan, a szyba w drzwiach tarasu była stłuczona.

– Dlaczego miałyby wpaść w kłopoty? – pyta Malin, a Bror Lundin zapada się w sobie, ale równocześnie w jego oczach pojawia się coś, co przypomina dumę.

– Jest bardzo zaangażowana w ochronę środowiska i sprawy społeczne. Prowadzi własny blog, pisała nawet artykuły, w których potępiała Szwedzkich Demokratów i całą szwedzką politykę wobec uchodźców. Jest przedwcześnie dojrzała, wie więcej niż ja o społeczeństwie, jej artykuł na temat samotnych dzieci uchodźców ukazał się w „Dagens Nyheter”. Wygrała konkurs na wypracowanie. Praca zwycięzcy miała się ukazać w gazecie i umieścili tam jej artykuł. Ale za bardzo wyszła przed szereg, nie zdaje sobie sprawy, z jakimi siłami zadarła.

Malin ściska się żołądek.

Peder Åkerlund.

Rasista.

Zamordowany.

Nadja Lundin.

Przeciwniczka rasizmu.

Zaginęła.

Zamordowana?

Julianna Raad.

Przeciwna większości rzeczy, wysłała listy z pogróżkami do Åkerlunda.

Wszystko równocześnie.

– Miała jakichś wrogów? – pyta Elin. – Ktoś jej groził?

Bror Lundin rozkłada ręce.

– Myślicie, że coś mi mówi? Nic z tych rzeczy. W ogóle mnie nie słucha. Nie słucha nikogo.

– Ma pan jej komputer, komórkę?

– Tak, są tutaj. Możecie je wziąć.

Malin kiwa głową i przygląda się kuchni za plecami mężczyzny. Błyszczące sprzęty kuchenne ze szcotołowanej stali, białe, lśniące szafki. To miejsce jest wszystkim tym, czym nie jest kuchnia w jej mieszkaniu przy Ågatan.

Wychodzi na taras. Spogląda na grządkę z warzywami, którą na pewno uprawiała Nadja. Myśli o tym, co ojciec właśnie opowiedział o swojej córce. Szesnastolatka. Wydaje się taka podobna do Tove. Tove była uparta, czytała książki i miała wyraziste, dojrzałe poglądy na każdy temat. Też potrafiła być taka dzielna i nierozważna.

Na szczęście to nie Tove zaginęła. Ale Tove mogłaby być Nadją.

Malin stoi bez ruchu. Wydaje jej się, że niemal widzi sylwetkę człowieka siedzącego w pozycji lotosu.

– Znajdziemy cię – mówi cicho do siebie.

Znajdźcie mnie. Jeszcze żyję.

Mamo, tato.

Żyję i musicie mnie odnaleźć.

Bezgłośne szepty Nadji Lundin wibrują w ziemi, wnikają w rośliny i dalej w noc, płyną aż do najmroczniejszych zakątków Drogi Mlecznej, a potem znów powracają na Ziemię, wnikają w zmęczone, krążące myśli Malin Fors w domku letniskowym w Svartmåli, kilka kilometrów od Linköpingu.

Znajdźcie mnie.

Zanim zegar przestanie tykać.

Ona może jeszcze żyć, myśli Malin. Znalazła już ścieżkę przez bałagan na podłodze, widziała, że ktoś ciągnął ciało przez dom i dalej, bocznymi drzwiami.

Tam zaczyna się las.

Dalej nie ma już nic.

Jeśli Nadja Lundin żyje, to trzeba się śpieszyć.

Teraz Malin to wyczuwa.

Jak Nadja oddycha, jak bije jej serce.

To nowe uczucie, ciepłe i zimne równocześnie, uczucie, które jest nią samą, tym, co w niej najdelikatniejsze, ale też najsilniejsze.

– Nie poddawaj się – szepcze Malin. – Nie poddawaj się.

Malin patrzy na zdjęcie Nadji Lundin.

Przed chwilą dostała je od jej ojca.

Aluminiowa ramka ze zdjęciem ładnej dziewczyny z kolczykiem w nosie. Ciemne, inteligentne oczy. Długie, brązowe włosy. Znaczek z trupa czaszką o twarzy Fredrika Reinfeldta.

Przedtem był Palme, myśli Malin. Teraz Reinfeldt, Åkesson.

Wszystko wyciszyć, o niczym nie mówić.

Mówić o wszystkim.

Nie warto się nad niczym zastanawiać.

Na żwirowym placu zatrzymuje się samochód.

Może to Karin. Boże, jaka ona musi być zmęczona.

Albo psy.

To psy. Kilka minut później przebiegają obok niej cztery owczarki niemieckie i Malin czuje intensywną woń ich sierści, słyszy, jak unoszą głowy i opuszczają nosy do ziemi, węszą.

Nie życzy powodzenia ich przewodnikom. Bo co takie życzenie wydobyłoby z ciemności lasu?

Martwą dziewczynę.



## *CZEŚĆ 2*

# *ŚMIERĆ, KTÓRA NIE ŚPI*

---

[NIEMY ŚWIAT]

Daniel. Twoje plecy, twoja skóra, ty.

Pocę się, pocisz się, pocimy się. Czy przestajemy być ludźmi w tej chwili, gdy oboje zatracamy się w sobie?

Chcesz szeptać, mówić, ale cię uciszam.

Ma być tylko cisza.

Psy szczekają w ciemności.

Nurkowie przeszukują czerń jeziora.

Gdzie jest Nadja?

Ta młoda, odważna dziewczyna... Malin chce odsunąć myśli o niej, być teraz tylko z Danielem, ale ona nie znika. Ta noc należy również do niej i Daniel to dostrzega, zauważa, że Malin jest gdzie indziej.

Gdzie jesteś, Nadju?

Tove śpi w jakimś namiocie, w śpiworze, który czuć pleśnią.

Tak właśnie jest.

Jak ciemno jest w twoim pokoju, Nadju?

Wiem, że żyjesz.

Malin porusza się razem z Danielem, coraz szybciej, tak, właśnie tak, zaraz będzie po wszystkim, ale wtedy zwycięża ciało, na szczęście zwycięża ciało.

Rznij mnie, Daniel. Rznij mnie tak, jak świat rżnie nas wszystkich. Pomóż mi stać się jedną i tą samą osobą. Co w tobie znajdę?

Zrób to teraz.

Teraz.

Dochodzą równocześnie i Malin stacza się z niego, próbuje oddychać.

Daniel.

Jego ciepłe ciało, wilgotna skóra.

Tuż obok mojej.

Nie trzeba słów, myśli Malin, i opada na łóżko, na białą pościel, zasypia, budzi się i znów

pogrzeże się w czymś, co właściwie jest snem.

Rano, gdy Malin otwiera oczy, z początku nie wie, gdzie jest.

U siebie przy Ågatan czy u Daniela przy Sturegatan.

Lustruje wzrokiem sufit.

Jest niski, przygnębiająco blisko oczu, a nie wysoki, ze sztukateriami. Malin wypuszcza powietrze. Dziś rano chciała obudzić się w domu.

W domu i nigdzie indziej.

Wyciąga rękę. Daniela nie ma.

Chyba był tu w nocy? – myśli. Musiał pójść do redakcji. Woła go, ale nikt nie odpowiada.

Chwilę później stoi przy kuchennym blacie. Otworzyła już swój nowy laptop, weszła na stronę „Dagens Nyheter” i czyta artykuł Nadji Lundin o samotnych dzieciach uchodźców. Jej argumenty na rzecz ich praw, to, jak piętnuje gminy, które nie chcą ich przyjąć. I jak potępia właścicieli willi, którzy nie chcą, żeby dzieci mieszkały w ich dzielnicach, bo wydaje im się, że wtedy spadnie wartość ich nieruchomości.

W jednym miejscu pisze:

„Jeśli te dzieci mają w nas coś budzić, to tylko współczucie, a jeśli ktoś nie jest zdolny do współczucia, spójrzmy na to tak, że musimy się zająć tymi dziećmi kierowani narodową dumą. W ten sposób musimy być Szwedami. Takimi Szwedami, jakimi możemy być: pełnymi miłości, a nie nienawiści, jak Szwedzcy Demokraci”.

Ma szesnaście lat.

O czym myślałam, kiedy miałam szesnaście lat? Jak się wyrażałam? Miałam w głowie chłopaków i ciuchy, i to, jak zdobyć alkohol na weekend.

Nawet Tove nie była tak przedwcześnie dojrzała, tak mądra jak Nadja Lundin. A może Tove była mądrzejsza. Umiała znaleźć proporcje, nie była tak otwarcie nierozważna.

Ale to jasne, że ulepione są z tej samej gliny.

Malin wchodzi na blog Nadji. Znajduje zdjęcia Pedera Åkerlunda. Innych członków Szwedzkich Demokratów z rady gminy.

Zdjęcia z demonstracji przeciwko rasizmowi, która odbyła się jesienią na Stora Torget. Julianna Raad w morzu ludzi. Znacie się?

Pod zdjęciem Pedera Åkerlunda można przeczytać:

„Największy idiota w Linköpingu?”

Prosto z mostu, przemyślane i spontaniczne równocześnie.

Twoje zaginięcie i śmierć Pedera Åkerlunda są ze sobą powiązane, Nadju, jestem tego prawie pewna. A może tylko mi się wydaje, widzę związek, którego nie ma? Ale wasze drogi niemal się przecinały, biegły trochę zbyt blisko siebie, żeby to mogły być dwie osobne sprawy.

Co wie Julianna?

Peder Åkerlund na stronie Nadji, wy dwoje, przeciwieństwa we wszystkim. Ale jesteście tak różni, że stajecie się niemal podobni.

Potem artykuł o Demokratycznej Republice Konga. O gwałtach na kobietach i dzieciach popełnianych systematycznie we wschodnich rejonach kraju. Zdjęcia z górskich wiosek. Inna notatka o zaginięciu dwojga wolontariuszy z Chile, którzy próbowali doprowadzić do ujęcia grupy gwałcicieli.

Tove.

Jesteś daleko od tamtych rejonów, ale tam, gdzie jesteś, też istnieje przemoc. Miej się na baczności, myśli Malin, nie wtrącaj się, bo jeśli się wtrącisz, nocą ktoś wejdzie do twojego namiotu albo włamie się do twojej chaty i cię porwie.

Może już nigdy nie wrócisz.

Malin zamyka laptopa i wyjmuje komórkę. Wybiera numer Tove.

Nie udaje jej się dodzwonić.

Dzwoni jeszcze raz, zamyka oczy i widzi córkę idącą przez dżunglę i niosącą nagie niemowlę. Skóra dziecka jest czarna jak ropa naftowa, głowa zwisa bezwładnie i Malin wie, że dziecko jest martwe. Tove nie jest smutna, tylko zawzięta, przechodzi na wskroś przez Malin, a sygnały brzmią dalej, dziesięć sygnałów i rozłączenie.

Tove.

Nigdy nie odbierasz. Czy w ogóle wiesz, że dzwonię? Tak bardzo chciałabym teraz z tobą porozmawiać.

Odzywałaś się do taty? Powinnam do niego zadzwonić?

Nie.

Wychodzi z mieszkania. Ciężkie ruchy, zupełnie pozbawione wiosennej chęci życia.

Karin Johannison wygląda na zmęczoną; ma podkrążone oczy. Ale jej spojrzenie płonie.

Pewnie skończyła pracę w Svartmåli dopiero nad ranem.

Stoi przy suchościeralnej tablicy w sali konferencyjnej, relacjonuje, co znalazła w obu miejscach i czego się dowiedziała o zamordowanym Pederze Åkerlundzie.

Jest tuż po ósmej i wszyscy są na miejscu.

Göran Möller, Johan Jakobsson, Waldemar Ekenberg, Elin Sand, Börje Svärd i Zeke Martinsson.

Jakieś dwadzieścia metrów dalej, za oknami, maluchy z przedszkola bawią się w wiosennym słońcu. Niektóre mają krótkie spodenki i wydają się wolne, jakby wymknęły się z ponurego uścisku zimy i teraz świętowały to, że są ludźmi, którzy mogą poruszać się tam, gdzie chcą.

Malin słyszy dalekie, podekscytowane krzyki dzieci. Ich radosne wycie. Pławią się w swojej beztrosce. I to napęnia ją zazdrością. Że w swoich zabawach wydają się całkowicie wolne, nic nie krępuje ich dusz.

Słyszy, jak Karin mówi, że Peder Åkerlund miał wysoką zawartość alkoholu we krwi, ponad 1,1 promila, i że wokół jego ust znalazła ślady eteru.

Kwas solny w ośrodku mowy.

Najszybszym sposobem, żeby go zabić, byłoby wstrzyknięcie kwasu bezpośrednio do kory mózgowej, wtedy nastąpiłby paraliż mięśni płuc i zmarłby na miejscu. Jednak kwas wstrzyknięto do ośrodka mowy przez źrenicę oka i nie wiadomo nawet, czy od razu stracił przytomność. Karin mówi, że mógł stosunkowo długo żyć z tymi obrażeniami, na pewno przez jakieś piętnaście minut, gdy kwas wżerał się coraz głębiej w tkanki mózgu. Nie czuł przy tym bólu, bo mózg sam w sobie jest pozbawiony czucia. Ale wbicie igły w oko musiało boleć. Morderca najprawdopodobniej wkłuł się w oko, bo tak było najłatwiej. Kości czaszki, w tym również kości czołowej, nie da się przebić zwyczajną igłą do zastrzyków.

Mówiąc o tym, Karin jest spokojna, stwierdza fakty, jakby przemoc nie istniała naprawdę, i Malin jest jej za to wdzięczna, bo inaczej to by było nie do wytrzymania.

Karin bierze głęboki oddech.

– Sądząc po obrażeniach, został zamordowany mniej więcej około trzeciej w nocy.

Karin wciąż stoi przy tablicy. Czekają na reakcje pozostałych.

Ale nie następują żadne reakcje. W końcu odzywa się Waldemar.

– Kwas solny. I eter. Gdzie to można kupić?

– Sprawdzalem – mówi Johan Jakobsson. – Można je kupić na setkach stron internetowych.

Jedno i drugie. W ten sposób bardzo trudno będzie do czegoś dojść.

– Warto w ogóle próbować? – pyta Göran Möller.

Johan kiwa głową.

– Kiedy będziemy już mieli podejrzanego. Inaczej nie da się stwierdzić, kto w Linköpingu mógł kupić te substancje. Mogę sprawdzić, czy Julianna Raad kupowała coś podobnego. Jeżeli wbrew temu, czego można by się spodziewać, zrobiła to pod własnym nazwiskiem.

Na sali zapada cisza. Wszyscy próbują zebrać myśli.

– Åkerlund wyszedł podobno od kolegi o wpół do drugiej – mówi Göran Möller i Malin myśli, że dziś wydaje się rześki, że musi się czuć jak ryba w wodzie na spotkaniach takich jak to.

Ale właściwie nic o nim nie wiem, myśli potem.

– Upłynęło więc półtorej godziny między chwilą, gdy wyszedł z mieszkania, a jego śmiercią – ciągnie Göran. – Powinien był w tym czasie dojść do domu.

– Mógł zasnąć gdzieś po drodze. Na jakiejś ławce. Był bardzo pijany – zauważa Elin Sand.

– Albo ktoś go porwał. Wywiózł.

Malin słyszy własne słowa. Wypowiada je, by sprawdzić, czy zabrzmiały prawdziwie.

– Są tam w okolicy jakieś kamery monitoringu? Na jego przypuszczalnej trasie? – pyta Göran.

– Mógł się na którejś nagrać?

– Możemy sprawdzić w urzędzie hrabstwa. – Johan Jakobsson marszczy nos i dodaje: – Na pewno jest tam jakaś kamera.

– Powinniśmy porozmawiać z mieszkańcami ulic, którymi mógł przechodzić – mówi Malin.

– Co prowadzi nas do ludzi mieszkających w okolicach miejsca, gdzie znaleziono ciało – podejmuje ten wątek Möller. – Niestety, przesłuchanie ich nic nie dało. Zupełnie nic.

– Nikt nie widział żadnego samochodu? – pyta Börje.

Göran kręci głową.

Na sali zapada dłuższa chwila ciszy.

Śledczy z wydziału kryminalnego policji w Linköpingu wiedzą, że te pierwsze dni są ważne, więc teraz nie może być cicho. Bo wiedzą też, że istnieje związek między tą ciszą a nieujawnioną prawdą.

– Mam zrelacjonować sprawę Nadji Lundin? – pyta w końcu Karin i odgarnia jasne włosy. – Co znalazłam w Svartmåli?

Göran Möller kiwa głową.

Malin myśli to sami co wszyscy na sali, to, o czym myślała już wcześniej: te sprawy są ze sobą powiązane. Podpowiada im to całe doświadczenie zgromadzone podczas pracy w policji. Takie rzeczy nie dzieją się tak szybko po sobie w mieście takim jak Linköping, jeśli nie ma między nimi żadnego związku.

Idee, człowiek. Jedno i drugie. Podobieństwa między ofiarami. Polityka, zaangażowanie. Różnice między nimi, nawet jeśli rzekomo na koniec oboje byli po właściwej stronie.

A może Nadja została porwana dla pieniędzy? Lundinowie są dobrze sytuowani. Lecz w takim wypadku powinni dostać list z żądaniami albo coś w tym stylu.

– Ktoś włamał się na tyłach domu. Próbował ją obezwładnić i doszło do szarpaniny. Znalazłam krew dwóch osób, możemy założyć, że jedną z nich była Nadja. Znalazłam też włosy kilku różnych osób. Materiał jest w tej chwili sprawdzany w rejestrze DNA.

Trafienie byłoby jak wygrana na loterii, myśli Malin. Ale wie, że to mało prawdopodobne. W tym rejestrze figuruje bardzo niewiele osób, a to nie było zwyczajne włamanie. Malin to czuje.

– Jest coś jeszcze – mówi Karin. – Ślady kół. Identyczne z tymi, które znalazłam przy śluzie. Sądzę, że pozostawił je jakiś większy pojazd. Prawdopodobnie furgonetka.

– Czyli te przestępstwa są powiązane – stwierdza Waldemar.

– Na to wygląda – mówi Göran Möller.

– Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent to był ten sam samochód. Ślady pochodzą od zwyczajnych opon Michelin, ale wykazują taki sam wzorec zużycia. Sam samochód nie musi być powiązany z morderstwem ani z zaginięciem.

– Dobra robota, Karin. I według mnie założymy, że samochód jednak jest z tym wszystkim powiązany.

– Mamy coś jeszcze, co by łączyło te dwie sprawy? – chce wiedzieć Börje.

Johan odchrząkuje, mówi:

– Wygląda na to, że Peder Åkerlund dość często komentował wpisy na blogu Nadji Lundin. Zanim zmienił poglądy.

Przeoczyłam rano komentarze, myśli Malin. Nie do końca wiedziałam, gdzie trzeba kliknąć.

– I zamieściła tam jego zdjęcia – dodaje.

– Muszą istnieć jakieś inne punkty styczne, których nie widzimy – stwierdza Elin.



– Musimy przesłuchać kolejnych ludzi z partii Szwedzkich Demokratów – oświadcza Göran Möller. – Poszerzyć zakres.

– Dostałam listę znajomych Nadji Lundin od jej ojca – mówi Malin. – Twierdził, że nie jest kompletna, ale są na niej nauczyciele, jej prawdziwi przyjaciele, których miała niewielu, i inni ludzie, z którymi utrzymywała kontakty.

– Mamy jej komórkę i komputer? – pyta Waldemar.

Malin kiwa głową.

– Technicy zaczynają je sprawdzać – mówi Johan. – Sprawdzają też listy połączeń Åkerlunda i jego komputer. I komputer Julianny. Złamali hasło do komputera Åkerlunda, ale nie znaleźli jeszcze nic godnego uwagi. Ale jest tam kilka zabezpieczonych katalogów, a historia przeglądarki została wyczyszczona.

– Jak do tego pasuje Julianna Raad? – pyta Waldemar.

Przed spotkaniem Malin była na dole, w areszcie. Rozmawiała z Julianną, która teraz była spokojniejsza, jakby stała się inną osobą. Złość zmieniła się w rezygnację. Wciąż nie chciała odpowiadać na pytania, ale jedno dała do zrozumienia: słyszała o Nadji Lundin, ale jej nie znała. Julianna pytała, czy informacje o strzelaninie pojawiły się na stronie „Corren”, i ucieszyła się, gdy Malin to potwierdziła. I Malin pomyślała wtedy, że tak właśnie może brzmieć jeden z głosów w śledztwie.

– Przyjaciółka dała jej alibi – mówi Elin.

– Pisała listy z pogroźkami – dodaje Malin. – I strzelała do nas. Ale nie wydaje mi się, żeby zamordowała Pedera Åkerlunda.

– Musimy być pedantyczni we wszystkich aspektach śledztwa – podkreśla Göran Möller. – Mimo wszystko musimy pracować, nie zakładając niczego z góry. Uznać, że te sprawy są powiązane, i jednocześnie, że nie mają ze sobą nic wspólnego. Wciąż niczego nie jesteśmy pewni. Musimy przesłuchać więcej osób. Porozmawiać ze wszystkimi z listy, którą dał nam ojciec Nadji. Wczoraj w nocy psy nic nie znalazły w lasach pod Svartmåla, ale szukają dalej, a nurkowie przeczesali jezioro Järnlunden przy domu.

– Najprawdopodobniej wywieziono ją stamtąd samochodem – mówi Malin.

Karin kiwa głową.

– Ale ślady spod domu prowadziły w las, nie znalazłam żadnych śladów wleczonego ciała ani odcisków butów.

– Latający człowiek – mówi Waldemar. – Jakiś duch.

Elin uśmiecha się z obowiązku, ale nikt z pozostałych się nie śmieje z tej nieudanej próby żartu.

– *Loudmouths* – mówi Zeke. – Nadję i Pedera łączy to, że byli prawdziwymi krzykaczami. Jeśli chodzi o poglądy.

Byli, myśli Malin.

Nie wiemy, czy Nadja została zamordowana.

Nie została.

– Malin, sprawdzałem te strony, które podała Julianna – mówi Johan. – Zrobiłem to od razu. Są w otwarty sposób rasistowskie. I część sformułowań z całą pewnością została zaczerpnięta z wypowiedzi Åkerlunda. Na przykład, że „powinno się oczyścić Berga z murzyńskiej hołoty”.

– Czyje to strony?

– Bardzo trudno powiedzieć. Ale technicy już nad tym pracują.

– Niekoniecznie musiał stać za tym Åkerlund. Inni mogli zapożyczyć jego słowa.

– Bardzo prawdopodobne – stwierdza Zeke. – Polityka. O to mi właśnie chodzi. Niczego nie można być pewnym, kiedy ludzie próbują sprawić, by ich poglądy stały się normą. Nigdy nie wiadomo, do czego się posuną.

– Wczoraj rozmawiałem z byłą dziewczyną Pedera i jej chłopakiem – wtrąca Börje. – Miałem wrażenie, że okłamują mnie w sprawie Pedera.

– Jak to? – pyta Malin.

– Niestety, to tylko przecucie. Mają solidne alibi. Ale Javier wydawał się niezbyt przekonany, czy Peder faktycznie zmienił poglądy. Może wcale nie zostawił ich w spokoju, tak jak twierdzili.

Jak wąż.

Taka jest ta rozmowa.

Wije się chaotycznie w przód i w tył, ale jest dziwnie ciężka, i Malin brakuje koncentracji Svena, jego zdolności, by pozbierać wszystkie luźne myśli i nadać im jeden wyraźny kierunek. Göran Möller nie pokazał jeszcze, że to potrafi.

– Dostaliśmy też anonimowy cynk – mówi Möller. – Podobno Pederowi Åkerlundowi grozili muzułmanie. Ustne pogróżki. Robił to rzekomo niejaki Suliman Hajif.

Cholera, myśli Malin.

Teraz robi się naprawdę drażliwie.

Jakiś rok temu o Sulimanie Hajifie pisano w „Expressen”, że był jednym z tych, którzy próbowali rekrutować młodych mężczyzn do najbardziej skrajnego ugrupowania islamskich

rebeliantów walczącego w wojnie domowej w Syrii i że zorganizował im podróż. Hajif pozwał gazetę. Powoływał się na swoją pracę na rzecz integracji. Na to, że po godzinach pracuje w meczecie z trudnymi nastolatkami.

Gazeta wolała się ze wszystkiego wycofać, niż zapłacić wysokie odszkodowanie. Malin wie, że załatwili to polubownie, bo gazeta i dziennikarz nie mieli żadnych konkretnych i solidnych dowodów.

Wyglądało to na jedną wielką dziennikarską gafę.

– To może być podpucha – mówi Johan Jakobsson. – Skąd mamy te informacje?

– Dziś wczesnie rano dzwoniła anonimowo jakaś kobieta.

– Mamy jej numer?

– Nie, dzwoniła z komórki na kartę. Nigdy jej nie znajdziemy.

Muzułmańscy ekstremiści.

Brzydzi się nimi zarówno skrajna prawica, jak i skrajna lewica. Boją się ich i brzydzą się za to samych siebie. Brzydzą się własnego strachu.

– Chyba musimy pogadać z Hajifem – stwierdza Malin.

Göran Möller kiwa głową.

Ostrożnie, ostrożnie, wydaje się mówić ten gest.

– Zajmijcie się tym – mówi Möller i wskazuje na Malin, a potem na Zekego. – A ja się muszę zająć tą cholerną konferencją prasową.

Göran Möller czuje pot na plecach. Wypożyczyli salę w sądzie rejonowym, który mieści się w budynku dawnych koszar, jakieś sto metrów od posterunku. Reporterzy siedzą przed nim w ławach z lakierowanej sosny. Fotografowie mają pod ręką aparaty, a na kamerach telewizyjnych mrugają wściekle czerwone lampki. Göran Möller jest na podwyższeniu i czuje się tak obnażony, jakby naprzeciw niego stał pluton egzekucyjny.

Trzymaj się scenariusza, Göran, powtarza sobie po cichu. Odpowiadaj krótko i zwięźle. Nie daj się wciągnąć w żadną pułapkę, w powiązania tej sprawy z imigrantami i rasizmem.

Te wilki tego spróbują.

Chcą mnie zjeść żywcem. A jeśli pogrążę się jeszcze raz, będę miał przechlapane.

– Zaczynajmy – mówi szorstkim głosem.

– Czy to morderstwo na tle politycznym? Co pan może powiedzieć na temat powiązań ze Szwedzkimi Demokratami? – padają pierwsze pytania z tłumu.

Börje Svärd chodzi w tę i z powrotem po korytarzu przed gabinetem dyrektorki Folkungaskolan. Czeka, aż czerwone światelko na dzwonku przy drzwiach zmieni się na zielone. Podszedł do jednego z wielkich szczeblinowych okien w grubej chyba na metr kamiennej fasadzie. Na dole, na szkolnym podwórzu, widzi Waldemara i Elin. Rozmawiają z uczniami, wypytują o Nadję Lundin. Mają nadzieję, że te pytania sprowadzą ją z powrotem z granicy między życiem a śmiercią.

Słysząc ciche brzęczenie i światelko przy drzwiach staje się zielone.

Börje wchodzi do gabinetu. Za prawie pustym biurkiem siedzi kobieta w jego wieku, ładna, Börje natychmiast to zauważa. Ma ostre rysy i jasne włosy przystrzyżone na pazia. Na palcu serdecznym nie ma obrączki. Börje wyciąga rękę i się przedstawia.

– Börje Svärd, policja kryminalna.

– Kristina Nederdahl.

Uścisk jej dłoni jest stanowczy i łagodny równocześnie i Börje próbuje coś wyczytać z jej twarzy. Jest otwarta czy zamknięta w sobie?

Siada. Dyrektorka uśmiecha się do niego.

Zdecydowanie otwarta.

Kristina Nederdahl wie, dlaczego tu są, czytała na stronie „Corren” o zaginięciu, o patrolach z psami, nurkach.

Przez telefon wyraziła zgodę, żeby porozmawiali z nauczycielami Nadji i jej kolegami.

– Wiecie, gdzie może być Nadja? – pyta Kristina Nederdahl i pochyla się nad biurkiem. Jej ciężki biust spoczywa na blacie.

Skup się, Börje.

– Nie. Ale jesteśmy prawie pewni, że została porwana.

– Nie było jej wczoraj w szkole. To było niezwykle. Nigdy nie opuszcza zajęć.

– Rzadko choruje?

– W ogóle jej się to nie zdarza. W czym mogę panu pomóc?

Kristina Nederdahl znów się uśmiecha. Gra swoją rolę.

– Proszę mi o niej opowiedzieć. O czymś, co może być ważne.

– Skąd mam wiedzieć, co może być dla was ważne? – pyta Kristina Nederdahl, z jeszcze cieplejszym uśmiechem. – Ale spróbuję.

Börje kiwa głową.

– Uwielbiała chodzić do głównej biblioteki. Czytała wszystko, co wpadło jej w ręce. Dużo o historii. Ciągłe wprawiała w zakłopotanie nauczycieli historii i wiedzy o społeczeństwie. Żartowali na ten temat w pokoju nauczycielskim. A kiedy wygrała ten konkurs w „Dagens Nyheter”, wszyscy uważaliśmy, że to naprawdę wielka rzecz. Coś takiego jeszcze nigdy się nie wydarzyło w Folkungaskolan.

– Nie zauważyła pani nigdy, żeby ktoś jej groził? Albo czegoś, co wydałoby się pani dziwne?

Dyrektorka kręci głową.

– Nie.

– Inni uczniowie ją lubili?

– Właściwie jest bardzo zwyczajną dziewczyną. Ma przyjaciółki, jest dość popularna. Angażowała się. Większość uczniów tutaj przejmuje się tylko Instagramem i tym, w co się dzisiaj ubrać. Budziła szacunek.

Potem Kristina Nederdahl wydaje się nad czymś zastanawiać i Börje widzi, jaka jest piękna, kiedy myśli.

Przypomina sobie o czymś.

– Cholera, jak mogłam o tym zapomnieć! – woła.

– O czym zapomnieć?

– Przepraszam za wyrażenie.

– Żaden problem.

Kristina Nederdahl wciąga głęboko powietrze.

– Zaraz po tym artykule w „Dagens Nyheter” faktycznie coś się stało.

Elin Sand wycofała się w cień starego dębu. Przed nią stoi chuda szesnastoletnia dziewczyna. Ma proste, białe włosy i małą gwiazdkę wytatuowaną na szyi.

Sirje Rapp.

Mała, niezbyt łagodna osóbką.

Najlepsza przyjaciółka Nadji Lundin.

Mówi, że Nadja wybierała się na weekend do domku w Svartmåli. Że zachowywała się tak jak zwykle i że nigdy nie wspominała, by ktoś jej groził, z wyjątkiem „tych idiotów ze Szwedzkich Demokratów”, którzy wchodzili na jej blog.

– Nadja niczego się nie boi.

Tak jak ty, myśli Elin.

– Dziś wieczorem miałyśmy rozdawać ulotki na mieście. Chcemy, żeby powstał obóz dla uchodźców na terenie dawnej bazy lotniczej w Malmslätt.

– Ma powstać?

– Już od dawna, ale ludzie z willi w pobliżu bazy protestują.

Wiatr porusza koroną dębu i cienie przemykają niepokojąco po twarzy Sirje Rapp.

– Możesz nam powiedzieć coś więcej o Nadji? Cokolwiek?

– Jest miła. I o wiele bardziej zaangażowana niż ja. Ja właściwie jestem spokojna, ale ona chce robić o wiele więcej.

– Zawsze jest miła?

– Prawie. Czasem się niecierpliwi. Podpuszcza ludzi. Jest na tyle bystra, że czasem to robi.

– I jak to wygląda?

– Na przykład w kawiarni. Potrafi zamówić latte, a potem ich zmusza, żeby przynieśli jej nową, bo mleko nie jest ekologiczne. Kiedy zaczynają protestować, wygłasza długą tyradę na temat praw konsumentów. Albo w H&M. Potrafi sprawić, że personel głupio się czuje, gdy zaczyna mówić o ich fabrykach w Chinach.

– No dobrze – mówi Elin. – Chyba chce pokazać, jaka jest bystra.

– Tak, nie chce nikomu zrobić krzywdy.

– Czy w ostatnim czasie przytrafiło jej się coś szczególnego? Coś, o czym ci mówiła?

– Jakoś krótko po tym, jak ukazał się ten artykuł w „Dagens Nyheter”, przez kilka dni stał tam jakiś facet w kapturze.

– Co?

Elin Sand cofa się o krok i odwraca się w stronę, w którą pokazuje Sirje Rapp. Mur wokół dziedzińca szkoły jest w tym miejscu niższy, a za nim widać jakiś budynek administracyjny z czerwonej cegły.

– Tak, to był facet. Stał tam i się nam przyglądał. Chyba głównie Nadji. Był naprawdę dziwny. Było zimno, a on był bardzo lekko ubrany. Miał czarną bluzę z kapturem. Nie widać było twarzy. Widzieliśmy go przez jakieś trzy dni. Potem dyrektorka zadzwoniła na policję, ale kiedy przyjechaliście, już go nie było.

Kristina Nederdahl wstaje.

Z ekspresu stojącego na małym stoliku nalewa kawy sobie i Börjemu.

– Widziałam, jak tam stał – mówi – i patrzył na dziedziniec. Wydawał się nieszkodliwy, więc nic nie zrobiłam. Mamy tu przecież starszych uczniów, a patrzenie na szkolne podwórko to żadne przestępstwo.

Börje kiwa głową.

– Ale na trzeci dzień zadzwoniłam na policję.

– Próbowала pani z nim porozmawiać?

– To dlatego dzwoniłam.

– To znaczy?

Dyrektorka podaje Börjemu filiżankę i siada.

Ładniejsza niż większość kobiet w moim wieku, myśli Börje. Może chodzi czasem do Frimis.

Nie, to nie ten typ.

– Zesłam na dół, żeby z nim porozmawiać, a wtedy rzucił się do ucieczki. Wydało mi się to śmieszne.

– Zdążyła pani zobaczyć jego twarz?

Kristina Nederdahl kręci głową.

– Którzy policjanci przyjechali?

– Oj, nie pamiętam, jak się nazywali. Nosili mundury.

– Na pewno jest o tym raport.

Kobieta kiwa głową.

– I jest pani pewna, że to był mężczyzna?

– Nie mam stuprocentowej pewności. Ale sądząc po budowie ciała, to chyba tak.

– Nie miał samochodu?

– Nie.

Börje upija łyk kawy.

– Obserwował głównie Nadję?

– Nie potrafię powiedzieć. Tak się wydawało jej przyjaciółce, Sirje. I faktycznie mogło tak być, bo to się zbiegło w czasie z tym artykułem. Pamiętam, że kiedy wygrała konkurs, w „Corren” zrobili z tego wielką sprawę.

Börje dalej siedzi.

Nie wie, o co jeszcze zapytać. A raczej wie o co, ale chce jeszcze przeciągnąć tę chwilę, nie chce jeszcze wychodzić z tego pokoju.

– Potem już się nie pokazał – mówi Kristina Nederdahl, odpowiadając na pytanie, które miał

jej zadać.

Börje sięga do kieszeni marynarki. Wyjmuje wizytówkę i podsuwa Kristinie.

Ta bierze ją do ręki.

I wtedy jej twarz się zmienia. Stanowczość przeradza się w niepokój, który wydaje się graniczyć z nienawiścią.

– Musicie ją odnaleźć – mówi. – Młode dziewczyny muszą móc swobodnie głosić swoje poglądy, bez narażania się na jakieś konsekwencje.

– Znajdziemy ją – zapewnia Börje. – Proszę się ze mną skontaktować, jeśli przypomni sobie pani coś jeszcze.

– Zadzwoń do pana – mówi Kristina Nederdahl i uśmiecha się z nadzieją.

Sirje Rapp wciąż stoi pod dębem. Elin Sand położyła jej rękę na ramieniu.

– Następnym razem przyjdzie po mnie?

Powtarza to już chyba dziesiąty raz i Elin mówi:

– Nie wiemy, czy w ogóle jest jakiś on.

– Co mam robić?

– Nie chodź sama po mieście. Nigdy, nawet w dzień. Nie bądź sama.

– Czyli coś mi grozi?

Co mam na to odpowiedzieć? – myśli Elin Sand. Że szesnastolatka w Linköpingu ma się bać? Że to jej wyjdzie na zdrowie?

– Po prostu bądź ostrożna – mówi. – Dopóki się nie dowiemy, co się stało z Nadją.



Elin Sand patrzy, jak Sirje Rapp oddala się w stronę szkoły. Masywny kamienny budynek sprawia, że wydaje się mała.

Sirje miała alibi na wszystkie wieczory w ubiegłym tygodniu. Była w domu, rodzina przyjechała do nich z wizytą.

Czy ten mężczyzna w kapturze to mógł być Peder Åkerlund?

A może to był ktoś inny? Morderca? Porywacz? Jeden z nich, jeśli to nie jest ta sama osoba?

Zgłoszenie na pewno znajduje się w rejestrze. Zapewne nic z tym nie zrobiono.

Sirje Rapp wbiega lekkim krokiem po szerokich kamiennych schodach i otwiera drewnianą bramę.

A potem połyka ją mrok budynku.

Meczet w Linköpingu stoi wśród lip i klonów na wzgórzu w Berga.

Imam jest znany z bardzo umiarkowanych poglądów. To człowiek, który rozumie zarówno ciężar tradycji, jak i pozorną lekkość współczesnych czasów.

Malin i Zeke zaparkowali przy centrum handlowym w Berga i teraz mijają bloki z antenami satelitarnymi na każdym balkonie. Malin przypomina sobie, co wie o Sulimanie Hajifie.

Johan sprawdził jego stronę w Internecie. Było tam coś w rodzaju przewodnika, jak muzulmanie mają się przystosować do społeczeństwa. W życzliwym tonie. Zupełnie niepasującym do rzekomych pogrózek.

Do tego artykuł w gazecie, jakoby rekrutował młodych ludzi. To się zupełnie nie trzyma kupy i pod tym względem Hajif przypomina Pedera Åkerlunda, myśli Malin. Wątpliwości co do tego, czy rzeczywiście zmienił poglądy.

Ale może prawdziwi islamiści mają coś wspólnego z tym morderstwem?

To zbyt oczywiste. Poza tym, gdyby morderstwo i zaginięcie Nadji Lundin były ze sobą powiązane, dlaczego Hajif miałby robić jej krzywdę?

Suliman Hajif ma dwadzieścia siedem lat, ale na zdjęciach w gazecie wyglądał na pięćdziesiąt. Długa, ciemna broda i szczupła twarz. Ubrany w biały kaftan.

Na blaszanej kopule meczetu siedzą gołębie. Nie widać ani żywej duszy i Malin instynktownie chce wyciągnąć pistolet z kabury pod kurtką. Ale wie, że to tylko strach wynikający z uprzedzeń

płata jej figle. Miała już wcześniej kontakt z imamem, jest rozsądnym człowiekiem i Malin wie, że wezwał do siebie Sulimana Hajifa, że Hajif czeka tam w środku, żeby z nimi porozmawiać.

Niewielkie pomieszczenie pokrywają perskie dywany. Suliman Hajif siedzi na podłodze obok imama Samida Samudry. Jego brązowe oczy są spokojne, ale Malin się wydaje, że dostrzega w nich pogardę.

Kobieta!

Policjantka!

Zagrożenie. Strach.

Jimmy Åkesson i jego ludzie chcieliby, żebym właśnie tak się czuła w obecności takiego mężczyzny jak Suliman Hajif. W obecności imama.

Przywitali się, uścisnął jej rękę i podał im herbatę, a teraz siedzą naprzeciwko siebie w zbyt gorącym, pozbawionym okien pokoju i piją za gorący napój.

Ale jest tak, jak powinno być.

Nie ma tu miejsca na uprzejmości.

Równie dobrze można od razu przejść do rzeczy.

– Peder Åkerlund – mówi Malin. – Znał go pan?

– Nie znałem go, ale wiem, kim był.

– Co pan o nim sądził?

– Jestem przeciwny rasizmowi w każdej postaci. Ale zmienił poglądy, a więc należy mu wybaczyć.

– Anonimowy rozmówca twierdził przez telefon, że groził pan Pederowi Åkerlundowi – mówi Zeke.

– Dlaczego miałbym to robić?

– Mieliście bardzo różne poglądy.

Suliman Hajif się uśmiecha.

– Jeśli ktoś pracuje na rzecz integracji, to nie jest dla niego żaden problem.

– Co pan robił w nocy z niedzieli na poniedziałek? – pyta Zeke.

Imam unosi rękę.

– Naprawdę myślicie, że Suliman ma z tym coś wspólnego?

– Niech odpowie na pytanie – rzuca Malin.

– Byłem w domu z moimi braćmi. Mogę wam podać ich numery.

Malin wprowadza numery do komórki.

– Wie pan, kto mógł chcieć zabić Åkerlunda? Kto mógł być w to zamieszany? Z powodów religijnych?

– Nie. To by było za proste. Prawda? Zbyt oczywiste. Nie wierzę w przemoc i nie znam nikogo, kto mógłby zrobić coś takiego.

Czyli nie wierzysz w przemoc? – myśli Malin. Dlaczego ci nie ufam?

Mam uprzedzenia.

Ale z drugiej strony, przypomina sobie ten artykuł w „Expressen”. To, że Hajif pozwał gazetę.

– Nadja Lundin – mówi Malin. – Zna ją pan?

Suliman Hajif patrzy na nią wyraźnie zdziwiony.

– Nie znam żadnej Nadji. Kto to taki?

– To nie ma znaczenia – mówi Zeke.

Suliman Hajif nagle wstaje, imam próbuje go powstrzymać, ciągnie ostrożnie za białą tkaninę jego kaftana, ale Suliman zrywa się na nogi i mówi, patrząc na Malin i Zekego:

– To wszystko, co macie? Wezwaliście mnie tutaj, żeby insynuować, że mam coś wspólnego z jakimś morderstwem? Co wam daje prawo, żeby mnie niepokoić?

I Malin ma ochotę odwarknąć:

Morderstwo. Człowiek, któremu podobno groziłeś. Co ci się, kurwa, wydaje?

Czuje dłoń Zekego na kolanie. Ostrożny uścisk.

Spokojnie. Panuj nad sobą, Malin.

Suliman Hajif wybiega z pokoju i zostają we troje: Malin, Zeke i Samudra.

– Wybaczcie mu, jest młody – mówi imam.

Malin kiwa głową.

– Może będziemy musieli jeszcze raz z nim porozmawiać – uprzedza Zeke. – Albo z którymś z jego przyjaciół.

Po wyjściu z meczetu Malin czuje, że świat kręci się o wiele za szybko, że nic z tego wszystkiego nie rozumie.

Zapomniała zapytać Sulimana, czy to on był tym mężczyzną w kapturze, który stał pod szkołą. Elin dzwoniła wcześniej, żeby im o tym powiedzieć. Chciała mu zadać to pytanie, zobaczyć jego reakcję. Ale dlaczego miałyby robić coś takiego?

Unosi twarz ku niebu. Niskie, ciemne chmury przesuwają się po dachach domów. Na pewno zaraz się rozpada.

Nadja.

Peder Åkerlund.

Powiązania.

Widoczne i niewidoczne.

Jak to wszystko się łączy?

Bo się łączy. Wszystkie części ziemi są ze sobą powiązane.

Wszyscy pochodzimy z tej samej ziemi i wszyscy w tej samej spoczniemy.

A do tej pory musimy jakoś razem oddychać.

Przed jej oczami pojawia się Nadja Lundin.

Samotna twarz otoczona jeszcze samotniejszą ciemnością.

Jestem taka głodna. A w wężyku wciąż nie ma wody.

Mam kurcze mięśni, muszę się napić.

Teraz szepczę. Jestem zachrypnięta, myślę, że nie zostało mi już wiele czasu.

Szepczę, ale nic nie słyszeć.

Mój pokój ma ściany z ciszy i sufit z martwych słów.

Skąd mi to przyszło do głowy?

Oddycham własnymi zdaniami.

Wszystko się kończy, czuję to.

Zegar tyka. Szumi mi w uszach i tak strasznie mnie boli, kiedy mam skurcze łydek.

Pośpieszcie się, pośpieszcie.

Deszcz bębni w karoserię samochodu. Zagłusza dźwięki radia, prezentera mówiącego o sprawie, którą prowadzą.

Malin podgłasnia radio.

– Policja podejrzewa, że zaginięcie szesnastoletniej Nadji Lundin ma związek z zamordowaniem byłego radnego gminy i członka Szwedzkich Demokratów Pedera Åkerlunda. Podczas konferencji prasowej, która odbyła się przed południem, prowadzący śledztwo Göran Möller nie chciał ujawnić, na czym opierają się te podejrzania, ale potwierdził, że pewne szczegóły techniczne wskazują na to, że oba przestępstwa są powiązane...

Najwyraźniej Göran świetnie sobie poradził z konferencją prasową.

Malin ścisza radio i po chwili w samochodzie jest już tylko ona i huk deszczu, dźwięk silnika jest odległym szumem.

Jest pora lunchu, ale Malin nie jest głodna. Jedzie do lasów pod Svartmåla.

Patrole z psami.

Powiedziała Zekemu, jak jest: że musi jechać tam sama. Spróbować „trochę uporządkować myśli”.

Malin jedzie przez jakieś dwadzieścia minut asfaltową drogą, potem skręca w las. Wie, że dziś rano stąd wyruszały patrole. Szukają coraz głębiej w lesie.

Zatrzymuje się za trzema policyjnymi wozami, które stoją na polanie. Wkłada żółty płaszcz przeciwdeszczowy, pamięta, jak pojechała w te lasy, gdy zdradził ją Peter, spaliła wszystkie te pieprzone gówna, które od niego dostała, razem z tamtym durnym płaszczem.

Wysiada z samochodu. Idzie prosto w las i zaczyna wołać:

– Nadja, Nadja, Nadja.

Ale wie, że to bez sensu. Nadja nie słyszy jej wołania, i to nie dlatego woła. Woła, bo czegoś brakuje, bo las, ludzie i ziemia wydają się dziwnie niemi.

Zimne, przyjemne krople na twarzy. Jak mgielka na kuflu z piwem.

– Nadja, Nadja.

Dlaczego ktoś chciał was skrzywdzić?

Ciebie i Pedera Åkerlunda. Czy Karin się myliła co do tych śladów kół? Może to tylko zbieg

okoliczności.

Słyszy już psy. Szczekają. Zbliżają się do niej. Widzi pierwszego, owczarka, za nim przewodnika w płaszczu przeciwdeszczowym. Potem drugie zwierzę. Trzecie. I ich ludzie.

Malin patrzy na swoje buty. Ziemia pod nią zaczyna się zmieniać w błoto.

Jeden z psów się wyrywa, biegnie do niej, a przewodnik krzyczy:

– Stój, stój!

Malin się cofa, ale pies się zatrzymuje, poznaje ją, chce się przywitać. W strugach deszczu wyciąga do niego rękę, czuje szorstki język na skórze.

– Znaleźliście coś? – pyta przewodnika pierwszego psa.

– Nic. Nie wydaje mi się, żeby była tu w okolicy. Wtedy byśmy ją znaleźli.

– Ona żyje – mówi Malin.

Trzej mężczyźni krótko trzymają psy, a po ich twarzach wyraźnie widać, że się z nią nie zgadzają.

Nadja Lundin nie żyje.

Nie żyje w taki sposób, jak potrafią nie żyć tylko młode dziewczyny. Wszyscy czują, że to złe, ale przewidywalne. Jakby rozpacz była wpisana w jej losy od samego początku, i właściwie są w tym zapomnianym przez Boga lesie tylko po to, żeby ją znaleźć i to potwierdzić.

– Czyli nic?

– Nie było nawet jednego łosia – odpowiada trzeci przewodnik i głębiej nasuwa kaptur na głowę.

Mężczyzna albo kobieta w kapturze.

Elin Sand siedzi w toalecie na posterunku. Musi w nienaturalnej pozycji zginać nogi, żeby zmieścić się w ciasnej kabinie.

Życie często sprawia, że czuje się niezdarna, jakby przeszkadzała. Jakby samym swoim wyglądem wprawiała świat w zakłopotanie. I czuje się z tym samotna.

Czy muszę wyjechać z Linköpingu, żeby przestać być samotna?

Czy jest tu jakaś przyszłość dla mnie, dla moich pragnień?

Pochyla się do przodu.

Kwas solny wstrzyknięty do mózgu.

Co za chory człowiek wymyśla coś takiego? Jak czarne trzeba mieć serce, żeby to zrobić?

Mężczyzna w kapturze.

Czekający na dziewczynę, której świat dał sumienie i wielką, niewyparzoną gębę.

Malin, myśli Elin. Widzę, jak pracujesz, chcę być taka jak ty i myślę, że może mi się udać. Chcę tak jak ty wsłuchiwać się w głosy śledztwa. Chcę się otworzyć, myśli, i w tej samej chwili uderza kolanem o rurę pod umywalką. Porcelana trafia w jakiś pieprzony nerw i boli ją tak bardzo, że ma ochotę zawyć.

Zamyka oczy.

Czerń w czerni.

Przemoc w Linköpingu nie jest niczym nowym. W pamięci miasta roi się od nierozwiązanych morderstw, od zamordowanych dziewczyn i chłopców.

To wszystko tu jest, ale czy jest tu coś dla mnie?

Elin Sand nie może się powstrzymać. Sama wychodzi z posterunku i jedzie do domu przy Drottningatan, gdzie mieszkają rodzice Nadji Lundin. Wprowadza do domofonu kod dla listonoszy i po chwili stoi mokra od deszczu pod ich drzwiami. Dzwoni dwa razy i słyszy kroki. Drzwi się otwierają, stoi przed nią matka Nadji. Dziś rano przesłuchiwali ją mundurowi. Nie wynikło z tego nic, co mogłoby się przydać.

Elin pokazuje legitymację.

– Mogę wejść? Chciałabym zadać kilka pytań.

Szczupła, niegdyś piękna twarz.

Podają sobie ręce.

– Beata.

Teraz na tej twarzy maluje się niepokój. W ciągu ostatniej doby postarzała się pewnie o dziesięć lat, myśli Elin.

Idzie za Beatą Lundin w głąb wielkiego mieszkania, mija torby z kijami golfowymi w przedpokoju.

Pachnie tu pieniędzmi. Designerskie meble, obrazy olejne na ścianach, grube dywany na podłodze.

– Mój mąż jest w pracy – mówi Beata Lundin. – Projektuje gry komputerowe. Ma firmę zatrudniającą trzydziestu pracowników i dostarcza środowiska do gier komputerowych wielkim producentom.

– Wygląda na to, że odnosi sukcesy.

Beata Lundin kiwa głową i siada na puszystej, białej sofie. W swojej białej sukience typu niella tonie w morzu tkaniny.

Nie proponuje kawy. Niczego do picia.



Elin siada w fotelu naprzeciw niej.

– W czym mogę pomóc? – pyta Beata.

I Elin Sand zdaje sobie sprawę, że nie wie, o co chce zapytać. Że przyszła tutaj kierowana przeczuciem.

– Znajdziemy ją – mówi Elin.

– Przyszła pani tylko po to, żeby mi to powiedzieć?

– Nie. Chciałam spytać, czy pani albo pani mąż widzieliście kiedyś, by ktoś się dziwnie zachowywał przy Nadji. Na przykład jakiś mężczyzna w czarnej bluzie z kapturem.

Kobieta kręci głową.

– Nigdy. A kim miałyby być ten mężczyzna?

– Tego nie wiemy.

Beata wciąga głęboko powietrze.

– Wiem przecież, że to, co wypisywała, drażniło ludzi. Ale jestem dumna z niej i z tego, co robi. Gdyby wszyscy byli tacy jak Nadja, świat byłby lepszym miejscem. Kocha przyrodę, wszystko, co rośnie w ziemi. Kiedy mi wyjaśniała jogę i twierdziła, że zbliża się w ten sposób do jakichś źródeł, zupełnie nic z tego nie rozumiałam. Jestem konkretniejsza. Ale gotujemy wegetariańskie potrawy z warzyw, które uprawia. Umiem gotować, a ona chce się tego uczyć. Zwykle uważa, że jestem skończoną idiotką, ale jeśli chodzi o gotowanie, szanuje mnie.

– Jej przyjaciółka Sirje mówiła, że Nadja bywa czasem trochę arogancka dla ludzi.

– Jest bystrą dziewczyną, a bystrzy ludzie są czasem aroganccy. Pewnie, że tak.

– Czy mogła kogoś rozdrażnić?

– W gruncie rzeczy jest przemiłą dziewczyną. Ale obsługa tu, na dole, w Ica na pewno uważa, że jest trudna. Ciągłe ich przekonuje, że powinni sprzedawać tylko ekologiczne warzywa.

Elin się uśmiecha.

– Nie było jej w domu, kiedy państwo wróciliście?

– Nie. Co za dziwne pytanie.

– I pani mąż natychmiast pojechał do domku nad jeziorem, żeby ją znaleźć?

– Tak.

– Dzwonił tam najpierw?

– Nie wiem. Dlaczego pani pyta?

– Bez specjalnego powodu – odpowiada Elin Sand.

Beata kiwa głową.

- Podziwiam go, że daje radę chodzić do pracy w takiej sytuacji. Ja tak nie potrafię. – I ciągnie:
- Oszalałby, gdyby nie mógł pracować. Kocha te swoje wymyślone światy, gdzie może zabijać wszystko, co się rusza, albo zostać bohaterem.

Malin idzie między rzędami książek w głównej bibliotece w Linköpingu. Oddycha głęboko, próbuje zaczerpnąć powietrza spod wysokiego na dwanaście metrów sufitu.

Opowieści.

O życiu i śmierci, i wszystkim, co jest pomiędzy.

Nadja Lundin podobno się tu uczyła. Tak twierdzi dyrektorka, z którą rozmawiał Börje.

I Malin wciąga w nozdrza woń książek, przyjemny, lekko zatęchły zapach wiedzy.

Ta biblioteka jest jednym z ulubionych miejsc Tove w tym mieście. Potrafiła siedzieć tu godzinami. Czytała, może pozwalała się ponieść marzeniom. Malin znów próbowała się do niej dodzwonić, ale jej się nie udało. Linia była zupełnie głucha i Malin zobaczyła Tove zgwałconą i niemą, trzęsącą się ze strachu w strugach deszczu.

Fantazje. Tak jak większość powieści, które są tu wokół.

Nic nieznaczące fantazje.

Schodzi na dół po schodach. Widzi jakiegoś człowieka, mężczyznę w wieku około trzydziestu pięciu lat. Ma nijakie rysy, krótko ostrzyżone, rozjaśniane włosy i szarawą skórę. Bandaż na ręce.

Prawdziwy mól książkowy.

Popycha przed sobą wózek pełen książek, zatrzymuje się co jakieś dwa metry i odkłada tomy na półki.

Malin obserwuje go przez jakiś czas, potem do niego podchodzi.

Podaje mu rękę. Przedstawia się, a mężczyzna wymawia swoje nazwisko tak szybko, że nie słyszy go dokładnie.

– Konserwator – mówi. – Jestem tu konserwatorem, ale starcza mi też czasu, by wykonywać obowiązki bibliotekarza.

Malin pokazuje mu zdjęcie Nadji Lundin.

– Widział pan kiedyś tę dziewczynę?

Mężczyzna kiwa głową.

– Nadja – mówi. – Często tu bywa. Zwykle przynoszę jej różne książki. Ostatnio o historii imperium osmańskiego. Chyba pisze o tym jakąś pracę.

– Często z nią pan rozmawia?

Mężczyzna wydaje się zdziwiony.

– Pewnie, że czasem z nią rozmawiam. Jest wesoła i otwarta. Większość ludzi, którzy siedzą tu na dole i czytają, to niezbyt towarzyskie typy.

Zdaje się nie mieć pojęcia, co się stało z Nadją, że zaginęła, może została zamordowana. Pewnie nie czyta gazet ani nie ogląda telewizji.

– Dobrze ją pan zna? – pyta Malin.

– Nie, wcale jej nie znam. – Mężczyzna wskazuje na wózek z książkami. – Jeśli pani wybaczy.

– Oczywiście, nie chcę przeszkadzać – mówi Malin i przywiera do regału z książkami, żeby mógł przejechać.

Nie powiem ci, co się stało, myśli, a potem rusza w stronę schodów, przeciska się obok innego mężczyzny, chce się wydostać z tego książkowego grobowca.

Elin Sand pojechała do biblioteki. Beata Lundin powiedziała, że to było jedno z ulubionych miejsc jej córki. Elin to wystarczyło. Chciała tam być, przejść śladami Nadji, zobaczyć, co z tego wyniknie.

Po drodze zadzwoniła na posterunek. Poprosiła Waldemara, żeby dokładnie sprawdził ojca dziewczyny. Dręczył ją niepokój. Bo oczywiście, że mógł pojechać do domku nad jeziorem i to wszystko zaaranżować.

Teraz Elin zbliża się do spiralnych schodów prowadzących do katakumb ze starymi książkami. Tymi, które przetrwały pożar w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym.

Ktoś wchodzi na górę.

Elin widzi, kto to jest.

Malin.

Malin ją zauważa, prawie otwiera usta ze zdziwienia, a potem mówi:

– Chyba wpadłyśmy na ten sam pomysł.

Jakaś minutę później siedzą obie w kafeterii biblioteki z filiżankami taniej, gorzkiej kawy.

Staje się coraz lepsza, myśli Malin, patrząc na Elin. Wkrótce będzie policjantką z prawdziwego zdarzenia. Będzie słyszeć najbardziej stłumione głosy, dostrzegać najdrobniejsze szczegóły, najbardziej niejasne związki. Te, które bardziej się czuje, niż widzi.

– Co o tym wszystkim myślisz? – pyta Malin.

– Myślę, że niedługo coś wybuchnie. Jak na tak brutalne morderstwo i zaginięcie szesnastoletniej dziewczyny, jest o wiele za spokojnie. Miasto powinno przecież trząść się ze strachu, ale jest spokój. Dziwny spokój.

Czuję to samo, myśli Malin. Jakby ktoś się na nas czał, czekał, co zrobimy. Jakby jakieś niewidzialne oczy obserwowały wszystkie nasze ruchy.

Ale nie wypowiada na głos żadnej z tych myśli. Zamiast tego mówi:

– Chyba masz rację. Niedługo rozpęta się piekło. Istnieje ryzyko, że stanie się coś jeszcze. –  
Milczy przez chwilę. I dodaje: – I jestem przekonana, że Nadja żyje.

Elin upija łyk kawy.

Krzywi się.

– Co za trutka na szczury – mówi. – Chcesz potem poćwiczyć na siłowni?

Malin kiwa głową.

– Jeśli nic się nie wydarzy.

Johan Jakobsson patrzy, jak reumatolog dziecięcy zgina palce Stelli, widzi grymas bólu na twarzy córki i ma ochotę wrzasnąć.

Dlaczego?

Dlaczego właśnie ona?

Chemiczny zapach szpitala gryzie w nos, a brązowa, nakrapiana podłoga lśni czystością. Lekarz siedzi na metalowym stołku, a Stella leży na łóżku przykrytym papierowym prześcieradłem. Pokój jest zupełnie anonimowy, jakby cała uwaga miała się skupić na chorobie. Na korytarzu wiszą obrazki dla dzieci, rysunki znanych postaci ze szwedzkich komiksów, ale tu, w środku, jest tylko powaga. Wyczułby to nawet jedenastoletek.

Dowiedzieli się o chorobie córki kilka pokoi dalej.

– Państwa życie już nigdy nie będzie takie samo.

Stella została wtedy napompowana kortyzonem i tabletkami przeciwzapalnymi. Wydawało się, że nie pomagają nic prócz kortyzonu, który miał ją powoli trawić od środka.

Przez ostatnie sześć miesięcy musiał patrzeć, jak jego córka uczy się, czym jest ból.

I nie potrafił jej w żaden sposób pomóc.

Wie, że to dlatego nie chciała, żeby wchodził z nią dzisiaj do pokoju zabiegowego. Bo ma jej do zaoferowania jedynie swoją psychiczną udramę, a na co jej coś takiego?

Ktoś się nami bawi, myśli. Bóg? Być może. Ale on nie ingeruje w nasze życie. Wypuszcza nas na ziemię i zostawia naszym własnym pragnieniom. Może czasem chce się nami bawić. A wtedy zsyła na jakieś dziecko bolesną, trwającą przez całe życie chorobę. Albo daje mu jakiś niesamowity talent.

Trudno mi sobie wyobrazić jakiegoś Boga, który nie chce kontrolować, myśli Johan. Bo na co byłaby mu wtedy ta władza?

Johan nie może znieść patrzenia na cierpienie Stelli. Nie może znieść łez, które napływają jej do oczu.

Daj mi siłę. Ale przede wszystkim: daj mi cierpliwość. Moc, by odnaleźć współczucie we własnym bólu.

– Gotowe – mówi lekarz. – Chyba nie było tak strasznie.

Stella ociera oczy rękawem koszulki.

Johan ma ochotę walnąć go w głowę. Właśnie tak.

Gdy Malin i Elin wracają, Waldemara i Börjega nie ma na posterunku. Pewnie wyjechali przesłuchać ludzi, którzy mieli jakieś związki z Pederem Åkerlundem.

Zeke siedzi na swoim miejscu. Gdy je zauważa, woła:

– I co, Malin, uporządkowałaś sobie myśli?

– Niezupełnie. Niestety.

Zeke nie draży tego dłużej. Z biegiem lat przyzwyczał się, że czasem Malin wyrusza gdzieś sama i robi coś na swój sposób.

Malin widzi, jak Elin podchodzi do Johana. Rozmawiają. Johan wydaje się wzburzony, pewnie mówią o tym, co przed chwilą znalazł. Ale zaraz sobie przypomina: miał dziś jechać do szpitala ze swoją córką. Na pewno wytrąciło go to z równowagi, każdy by się tak czuł. Pewnie wrócił dopiero przed chwilą.

Elin wspomniała Malin, co jej przyszło do głowy o ojcu Nadji. Sama też o tym myślała.

Czy coś w tym jest?

Mało prawdopodobne.

Dlaczego miałyby krzywdzić swoją córkę? Albo Pedera Åkerlunda? Ma alibi na dzień, gdy popełniono morderstwo. Nie, ojciec Nadji nie ma z tym nic wspólnego. Choć jest coś podejrzanego w dorosłym mężczyźnie, który żyje z projektowania gier.

Malin włącza komputer. Otwiera pocztę.

Zwykłe wewnętrzne notatki służbowe. Podsumowanie aktualnej sytuacji śledztwa, napisane przez Görana Möllera. I wniosek, że wszystko zdaje się rozgałęziać w różne strony, ale gdzieś tam kryje się związek, prawda, odpowiedzi.

Malin przewija wiadomości.

Przez filtr przedostał się jakiś spam. Jakieś orzeczenie z prokuratury.

Ale chwileczkę.

Nadja mała długo wytrwała.

Taki jest temat e-maila, trochę niżej na liście skrzynki odbiorczej. Malin go otwiera.

Trzęsą jej się ręce, gdy komputer zbyt długo przeżuwa nieznaną wiadomość.

To nie jest zwykły e-mail i Malin czuje, że teraz coś wybuchnie, jak to ujęła Elin Sand. Gdy stary komputer powoli myśli, nagle coś świta jej w głowie.

To nie policja kieruje tym śledztwem.

Robi to ktoś inny.

Dziecinne rymy.

Zaginiona dziewczyna.

Kwas solny.

Hajif.

Malin czyta e-mail wysłany z adresu gmail składającego się z pozornie przypadkowych liter i cyfr. Na pewno nie da się go wysledzić. Czyta go jeszcze raz i jeszcze raz, próbuje zrozumieć, co to znaczy. Słowa, ich drugie dno.

Jedź na rozstaje Stenkulla, kop pod magicznym drzewem. Co tam znajdziesz?

Potem jakieś dziesięć pustych linijek.

Kwas przeciw słowom, morderstwo gotowe.

Malin czuje, że jej serce na chwilę przestaje bić.

W mediach nic nie wspominało o kwasie w mózgu Pedera Åkerlunda. Nikt, z wyjątkiem nas i mordercy lub jego ewentualnych pomocników, nie może o tym wiedzieć.

Czyli najprawdopodobniej ten e-mail wysłał morderca.

Chce nawiązać kontakt.

Rzucić nam wyzwanie.

Rymowanka.

Jakby to była jakaś gra. Gdzie czerwony trzeba zestawić z niebieskim, słowo ze słowem, gdzie nic z wyjątkiem ciszy nie musi nic oznaczać.

Jedź do...

Malin woła pozostałych i po chwili czuje na karku oddechy Zekego, Johana i Elin. Cisza, koncentracja.

– A niech mnie – szepcze Zeke.

– Znajdziemy ją teraz? – pyta Elin i Malin ma ochotę odpowiedzieć: „Nie wiadomo”, ale milczy.

– Mogę spróbować się dowiedzieć, z jakiego serwera wysłano e-mail – mówi Johan. – Jaki adres IP kryje się za tym adresem gmail. – Wzdycha. – Ale to będzie cholernie trudne. Wygląda przecież na wymyślony, tak żeby donikąd nie prowadził.

– Coś się stało?

Malin słyszy głos Görana Möllera i cała czwórka odwraca się w stronę nowego szefa, który stoi tuż za nimi w niebieskim letnim garniturze.



– Tak, stało się – mówi Malin.

Göran czyta e-mail.

– Czyli mamy do czynienia z kimś, kto lubi gry.

– Ojciec Nadji jest projektantem gier – mówi Elin.

– To nie musi nic znaczyć – wtrąca Malin.

– Słyszeliście kiedyś o rozstajach Stenkulla? – pyta Möller.

Malin kiwa głową.

– To takie miejsce na równinie, kilka kilometrów od Klockrike. Stoi tam stary, zniekształcony dąb o dwóch pniach, który rzekomo posiada jakieś magiczne moce. Coś w tym stylu.

– W takim razie pojedziesz tam z Zekem i zabierzecie ze sobą Karin Johannison. Zobaczcie, co tam znajdziecie. Johan będzie dalej grzebał przy tym e-mailu. Elin, ty napiszesz raport i pokierujesz przesłuchaniami w Folkungaskolan.

– Już się robi – mówi Johan i wracają z Elin na swoje miejsca.

– „Kwas przeciw słowom, morderstwo gotowe” – cytuje Göran Möller. – Kurwa, poetą to on nie jest.

E-mail od szaleńca.

Z informacjami, których nie może posiadać nikt prócz mordercy. Jeżeli nie było przecieku na posterunku ani w ekipie Karin.

Malin próbuje zachować spokój, gdy jadą samochodem, wie, że jeszcze nigdy czegoś takiego nie przeżyła.

Sadyzm dla zabawy.

Rymowanka, jakby był dzień przed Wigilią. I paczka zawierająca przemoc, śmierć i rozpacz.

Karin Johannison jedzie przed nimi.

Gaz do dechy, myśli Malin.

Ale Karin przestrzega ograniczeń prędkości.

Widzą światła hamowania jej volva kombi, gdy jadą przez równinę Östgöta, przez żółte, falujące pola rzepaku i ugory w kolorze ochry. Niebo znów jest błękitne, a świat po deszczu wygląda, jakby pokrywała go tłusta powłoka.

Ręce Zekego na kierownicy. Nie istnieje widok, który daje większe poczucie bezpieczeństwa, myśli Malin. Widziałam je tysiące razy i często pomagają mi zachować spokój.

Jak wam jest ze sobą? – myśli Malin. Wiem, że lubisz Tess, adoptowaną córeczkę Karin, która pochodzi z Wietnamu. Jesteś dobrym ojcem i wiem, że jest wam dobrze, chciałabym, żeby tak było ze mną i z Danielem.

Jest nam dobrze, Daniel? Mamy coś wspólnego?

Czy on chce mieć dzieci? I Malin przesuwa ręką po brzuchu, pod bluzką są blizny po drobnych ziarenkach śrutu. Okaleczona macica. Malin zamyka oczy, odsuwa od siebie ogarniającą ją nagle tęsknotę i chęć, by się napić, wbija paznokcie w kciuki, tak jak się nauczyła.

Czy zasługuję na to, by mieć dobrze?

Daniel właściwie mnie nie kocha. To jedynie słowa, słowa wśród tysięcy innych pozbawionych znaczenia, które wypowiadamy, by dostać to, czego akurat chcemy.

W oddali widzi kościelną wieżę. Ljung, Klockrike, Fornåsa. Zbliżają się do rozstajów Stenkulla, gdzie spotykają się trzy drogi; drogi, które jakby zataczały coraz szersze kręgi, łącząc najbardziej odległe zakątki na równinie z ważniejszymi trasami prowadzącymi do Linköpingu,

Motali i Vadstény, metropolii szaleńców i zakonnic.

Wreszcie są u celu.

W samochodzie Karin zapalają się światła hamowania i zatrzymuje się pod zniekształconym dębem. Jego korona ma kształt kapelusza i spoczywa na dwóch sękatych pniach. Kości pozbawione ciała i ukryta głowa czarnoksiężnika. Długie gałęzie wystają z korony niczym różdżki.

Malin i Zeke wysiadają.

Dąb stoi na niewielkim skrawku pola, jakieś dwadzieścia metrów od rozstaju dróg.

Jest zupełnie cicho.

Dlaczego wiatr nie szeleści w liściach?

To miejsce, gdzie wszystko może się wydarzyć, myśli Malin, miejsce, gdzie życie może się potoczyć w każdą stronę. I rozumie, dlaczego nazywają je magicznym.

Podchodzą do Karin.

– Co robimy? – pyta Malin. Czuje na twarzy wiosenne słońce, które chce przepalić skórę, wycisnąć z niej krople potu. – W e-mailu było napisane, że mamy kopać.

– Przeszukamy teren – mówi Karin. – Spróbujemy znaleźć miejsca, gdzie ziemia została niedawno wzruszona.

Malin kiwa głową.

Wzięli ze sobą łopaty. Zeke otwiera bagażnik i je wyjmuje.

– Podzielimy teren wokół drzewa na trzy strefy i każdy przeszuka swoją – mówi Karin.

– Dobry pomysł – zgadza się Zeke.

– Oczywiście, że dobry – w głosie Karin słychać irytację. – *Please*. – Karin się zatrzymuje.

Uśmiecha się do Zekego, potem do Malin. – Przepraszam.

Po chwili Malin idzie w cień dębę, z łopatą w ręce. Niecierpliwie przygląda się ziemi, zastanawia się, czy może się w niej kryć coś, co doprowadzi ich do Nadji. Gleba jest tu sucha, chroniona od deszczu przez zwartą koronę drzewa. Mimo to Malin ubłociła sobie buty, gdy szła przez mokre po deszczu pole.

Drogą przejeżdża samochód i z tylnego siedzenia gapią się na nich jakieś dzieci. Kim jesteście? Co robicie pod magicznym drzewem z łopatami w rękach? Zatrzymaj się, tato. My też chcemy pokopać.

Powinniśmy się bać? – myśli Malin. Być jeszcze ostrożniejsi? Może sama się nakręcę? Kto może wiedzieć, na co stać człowieka, który pisze takie e-maile?

Ale nic nie mówi. Odsuwa od siebie strach. Dlaczego miałyby tu być jakaś pułapka? Bomba?

A dlaczego nie?

Szuka dalej.

Centymetr po centymetrze lustruje ziemię, szukając czegoś, co odbiega od reszty, co wskazywałoby, że gleba została wzruszona, i ma wrażenie, że ktoś ich obserwuje. Spogląda na pola, ale tam nikt nie mógłby się ukryć.

Patrzy na koronę dębu. Wiatr porusza liśćmi i teraz słycać szum, a w tym szumie są słowa, których nie potrafi rozróżnić, nieme szepty umarłych, i ogarnia ją przecucie, że na wszystko jest za późno. Że Nadja Lundin jednak nie żyje.

– Tutaj! – krzyczy Karin. – Zobaczcie tutaj!

Malin patrzy w jej stronę. Karin stoi jakie trzydzieści metrów dalej na polu, po drugiej stronie dębu, w prażącym słońcu. Wskazuje łopata na ziemię.

– Podejdźcie ostrożnie – ostrzega.

Malin i Zeke idą jedno za drugim w jej stronę.

Miejsce, na które Karin wskazuje, ma inny kolor niż ziemia wokół. Porowate, ciemne błoto.

– Ktoś tu kopał – mówi. – Zanim zaczniemy, chcę zabezpieczyć ślady dookoła.

Malin i Zeke czekają w cieniu, gdy Karin przeczesuje teren. Wygląda na to, że nie może nic znaleźć, deszcz na pewno zatarł wszystkie ślady.

Siedzą na ziemi, oparci o pnie. Malin myśli, że w pobliżu drzewa nie dałoby się nic zakopać. Korzenie muszą być twarde i prastare, o wiele starsze od niej. Pyta Zekego:

– Dobrze wam?

– Co mówiłaś?

– Przecież słyszałeś.

– Tak, dobrze. Jest mi tak dobrze jak nigdy dotąd.

– Fajnie – stwierdza Malin, a Zeke pyta:

– A tobie? Z Danielem?

– Próbujemy.

Potem siedzą w milczeniu obok siebie i patrzą, jak ich wspólna koleżanka i życiowa partnerka Zekego wykonuje swoją pracę.

Po chwili ich woła:

– Możemy już zacząć kopać.

Łopaty wbijane w ziemię. Kopia gorączkowo, ale mimo wszystko ostrożnie.

Co tu znajdziemy? – myślą wszyscy troje. Zwłoki Nadji? Okaleczone, zbezczeszczone ciało dziewczyny? Jakieś inne ciało? Inną ofiarę zła, które szaleje tej wiosny? Ofiarę, o której jeszcze nie wiemy?

Kopią dalej.

Kolejne machnięcia łopat, w równym rytmie. Zaczynają się pocić. Słońce się z nich śmieje, ziemia tak samo.

Malin czuje stylisko w rękach, wie, że wkrótce pojawią się pęcherze. Skóra nie jest przyzwyczajona do takiej pracy.

Ale tam, w dole, coś jest. Jest tego pewna.

Dół jest już na metr głęboki, a drogą przejeżdża kolejny samochód. Granatowy passat. Wóz zwalnia i Malin usiłuje dostrzec pasażerów, ale pod słońce to niemożliwe, a po chwili samochód jedzie dalej.

Obok nich duże usypisko ziemi.

Teraz zaczyna się kurzyć, dokopali się do miejsca, gdzie ziemia jest zupełnie sucha.

Nie ma żadnych korzeni. Żadnych martwych larw.

I wtedy jej łopata natrafia na coś twardego.

Zeke i Karin to zauważają. Zatrzymują się w pół ruchu, spoglądają po sobie.

Kopią dalej. Odgarniają ziemię rękoma.

Czy to trumna?

Nie, za mała na trumnę. Zwłoki? Nie, za twarde na zwłoki.

Odslaniają znalezisko. To skrzynka, mała, pomalowana na biało skrzynka, w której zmieściłaby się lalka albo niemowlę. Wyjmują ją z dołu i niosą w suche miejsce pod dębem. Wiedzą, że powinni ją zostawić w ziemi, i Karin ogarniają wątpliwości.

– Powinniśmy ją otworzyć? Czy wezwać saperów? Niczego nie możemy być pewni.

Malin wbija paznokcie w kciuki.

Czy w tej skrzynce leży małe dziecko? Czy żyje? Nie, na pewno byłoby już martwe. Czy jest tam jakaś część Nadji?

– Otwieramy – decyduje Zeke.

– Wy dwoje odejdźcie – szepcze Malin. – Jeśli to wybuchnie, nie ma powodu, żebyśmy zginęli wszyscy troje.

Zeke i Karin słuchają jej bez sprzeciwów. Malin czeka, aż się spokojnie ukryją za samochodem Karin. Potem się pochyła, ostrożnie otwiera klamry z boku skrzynki.

Teraz wybuchnie?

Malin nasłuchuje, ale szum wiatru umilkł. Wokół panuje przytłaczająca cisza, jakby niewypowiedziane słowa miały moc, by zgasić nawet słońce.

Otwiera skrzynkę.

Malin, Karin i Zeke patrzą na zawartość skrzynki, na podłużną, szaroróżową masę, odcięty język. Spoglądają po sobie i wszyscy zadają sobie pytanie:

Co to jest?

Odsuwają się od skrzynki. Czują smród gnijącego mięsa.

– To ludzki język? – pyta Malin.

Karin znów zerka do skrzynki.

– Niewykluczone, może tak być.

Za ich plecami przejeżdża samochód i Malin się odwraca. To niebieska furgonetka z „Corren”. Wsiada z niej Daniel w towarzystwie młodej kobiety, która jest fotografem. Rusza w ich stronę i Malin ma ochotę go przepędzić, krzyknąć na niego, żeby spadał, ale najbardziej ze wszystkiego pragnie paść mu w ramiona, pozwolić, by ją zabrał gdzieś daleko od tego szaleństwa. Ale to szaleństwo jest wszędzie, więc nie da się przed nim uciec.

Malin to wie.

Tylko w odurzeniu alkoholem jest chwilowa ucieczka.

– Zostańcie na drodze – woła Zeke. – To miejsce przestępstwa!

Daniel i kobieta się zatrzymują. Jak tu trafili? Żadne z nich nie używało policyjnego radia. Posterunek przecieka jak sito. Malin odwraca się plecami do Daniela, znów patrzy na język – czy to język Nadji? – ale jak coś tak dużego miałoby się zmieścić w ustach człowieka? Zauważa, jak obficie się poci, i mówi:

– Musimy się uspokoić.

Gorączkowe kopanie.

E-mail. Skrzynka.

Zamordowany był członek Szwedzkich Demokratów, prawicowiec najgorszego typu, zaginiona lewicowa aktywistka, zakopany w ziemi język.

– Jestem spokojna – mówi Karin.

– Nie ogarniam tego – odzywa się Zeke, jakby czytał Malin w myślach. – Kompletnie tego nie ogarniam.

– Językiem steruje ośrodek Broki – mówi Karin. – To tam wstrzyknięto kwas. A teraz język.

– Jeśli motyw jest polityczny, to sprawcą jest ktoś, kto korzysta na tym, że uderza w obie strony. I w prawicę, i w lewicę – mówi Malin.

– Dlaczego ktoś miałby to robić? W Szwecji? W dzisiejszych czasach? – dziwi się Zeke. – To robota jakiegoś szaleńca.

Malin nie odpowiada. Zdaje sobie sprawę, że motyw polityczny jest absurdalny. Ale z drugiej strony, niewykluczone, że istnieje ktoś, kto może zyskać na chaosie. Ludzie, którzy mają różne cele, ale ich interesy mogą być zbieżne.

Dwa pnie dębu zdają się teraz obracać w przeciwne strony. Wysysać siłę z mięśni. Malin mówi:

– Ale jest tak, jak powiedziała Karin. Istnieje w tym jakiś dziwny związek. Mowy, milczenia.

– To nie jest ludzki język – stwierdza Karin. – Teraz to widzę. Jest za duży. Może to cielęcy język.

– Skąd można wziąć cielęcy język? – dziwi się Zeke.

Co za pytanie, myśli Malin. I odpowiada:

– Z pierwszego lepszego sklepu spożywczego. Biedni emeryci to gotują i jedzą.

Szum obiektywu kamery. Głos Daniela:

– Co macie w tej skrzynce?

– Gównno ci do tego! – woła Malin.

Dlaczego tak ostro?

Teraz jest dziennikarzem, nienawidzę takich.

Spadaj stąd.

Można kochać i nienawidzić równocześnie. I Malin ma ochotę go objąć, pocałować. Powiedzieć, że go kocha.

Pieprzony cielęcy język. Karin dłubie w nim pincetą.

– Przynajmniej wiemy, że to nie język Nadji – mówi Malin.

– Może jeszcze żyć – zauważa Zeke. – To masz na myśli?

Malin kiwa głową, ociera pot z czoła. I zdaje sobie sprawę, że rozstaje Stenkulla mają własny mikroklimat. Jest tu o wiele goręcej niż w mieście.

– Spójrzcie tutaj – mówi Karin.

Z otworu w języku wyciąga zakrwawioną kartkę. Kładzie ją na wieku skrzyni i ostrożnie rozkłada. Spoglądają na nich drwiące słowa napisane starannie czarnym tuszem.

*My ludzie otrzymaliśmy wolność słowa. Większość z nas.*

*Co robimy z tymi słowami?*



*Zaniedbujemy je i szargamy.*

*Krzyczymy i wrzeszczymy bez zastanowienia.*

*Ja znam cenę słów.*

*Będę palić i utrwaląc słowa.*

*Morderstwa to moja mowa.*

*Peder, Nadja i pozostali.*

*Zrobię z ludźmi porządek od nowa.*

*Jestem tym, który pali maski.*

*Nigdy mnie nie uciszycie.*

*Ale możecie się ze mną pobawić.*

Malin czyta tekst kilka razy, Karin i Zeke robią to samo.

– Mamy do czynienia z szaleńcem, to oczywiste – stwierdza Karin.

– Albo z inteligentnym szaleńcem, który chce, żebyśmy myśleli, że jest szalony – dodaje Malin i myśli: czy on próbuje powiedzieć, że Nadja nie żyje?

Zeke milczy. Oddycha, pociera dłonią głowę.

– Ale sukinsyn ma trochę racji – mówi. – Co robimy ze słowami? Wypisujemy bzdety o celebrytach, bełkoczemy bez sensu, gadamy, co nam ślina na język przyniesie.

To właśnie mnie przeraża, myśli Malin i spogląda w stronę Daniela i pani fotograf. Że tym razem zło zdaje się mieć jakąś rację, że coś kocha, ma pasję, z którą powinien sympatyzować każdy myślący człowiek.

Ciężar słów.

Zło, które kocha człowieka. Zło, które jest tak czarne, że staje się białą, a potem czerwienią? Po drugiej stronie tego białego światła, gdzie znalazła człowieka, który zniszczył życie Marii Murvall? Ta sprawa nie dawała jej spokoju przez wiele lat.

Malin odłącza się od pozostałych, idzie do Daniela.

Gdy podchodzi, Daniel chce ją o coś zapytać, ale wyraz jej twarzy nakazuje mu tego nie robić. Zamiast tego wyciąga do niej ramiona.

A ona pozwala sobie na to, by paść w jego objęcia.

*Nigdy mnie nie uciszycie.*

Göran Möller napisał te słowa na suchościeralnej tablicy w sali konferencyjnej.

Na zewnątrz słońce jest coraz niżej, sprawiając, że niebo na zachodzie pulsuje w odcieniach różu, płata figle zmęczonym oczom Malin.

Jakim jestem kolorem? Teraz różem, czerwienią, żółcią, a potem lodowatym błękitem i wkrótce czernią.

Malin widzi dezorientację na twarzach kolegów. Gdzie się to wszystko skończy?

I świadomość: może trzeba się śpieszyć.

Być może Nadja Lundin jeszcze oddycha. Choć wiadomość sugeruje, że została zamordowana.

*Możecie się ze mną pobawić.*

Bez względu na to, na kogo polują albo kto poluje na nich, to morderstwo i ewentualne porwanie wyglądają jak jakaś zabawa, jak gra.

Cielący język zakopany pod magicznym dębem. Zagadkowe, ale wcale nie aż takie zagadkowe przesłanie.

– Co mamy? – pyta Göran. Ubrany w cieką bawełnianą koszulę stoi przy tablicy. – Zamierzam całkowicie oddać wam głos. Bo nie mam pojęcia, od czego powinniśmy zacząć.

Z początku Malin jest poirytowana biernością Görana Möllera, słabością, którą odsłonił, ale potem z niechęcią zdaje sobie sprawę, że Möller ma rację, pokazuje im punkt wyjścia, daje do zrozumienia, że znaleźli się w oku cyklonu i że obowiązują tu zasady, których jeszcze nie znają. Muszą odpowiednio do tego reagować i działać.

– Sprawdziłem ojca Nadji – mówi Waldemar. – Nie ma w nim zupełnie nic podejrzanego. Jego firma sprawia wrażenie bardzo solidnej, i w ogóle nie znalazłem niczego dziwnego.

– Zajmuje się projektowaniem gier – mówi Börje. – I skontaktował się z nami ktoś, kto chce sobie z nami pogrywać.

– To tylko zbieg okoliczności – orzeka Göran Möller.

– A trop polityczny? – ciągnie Börje. – Czy to może być jakiś chory sposób, żeby zwrócić na siebie uwagę? Pozbyć się wrogów? Jakaś młoda zagubiona osoba z któregoś z obozów politycznych, która wpadła w dziki szal?

– To nie zostało zrobione w niepokohamowanej złości – mówi Malin. – Było dobrze zaplanowane.

Göran Möller poprawia kołnierzyk koszuli. Patrzy na Elin Sand, potem na pozostałych.

– Przesłuchaliśmy wiele osób powiązanych z tym tropem. I do tej pory nie ujawniliśmy żadnych faktów, które świadczyłyby o tym, że zamordowanie Pedera albo zaginięcie Nadji może być w jakikolwiek sposób związane z polityką. Wszyscy, z którymi rozmawiamy, są zdumieni i wystraszeni.

Z wyjątkiem Sulimana Hajifa, myśli Malin.

– Ale te przestępstwa są ze sobą powiązane – mówi Göran Moller. – Tyle jest jasne.

– Tylko czy wiemy to na sto procent? – odzywa się Malin. – Czy ten język i karteczka nie mają być sposobem na skierowanie naszej uwagi w niewłaściwą stronę? Czy nie mają sprawić, byśmy dostrzegali związki, których nie ma? Może odezwał się morderca Pedera Åkerlunda, a zaginięcie Nadji to zupełnie inna sprawa?

Malin słyszy swój głos, jego ton. Sama nie wierzy w swoje wątpliwości, ale chce wyrzucić je z siebie w tym pokoju, zobaczyć, dokąd prowadzi niepewność.

– Może tak być – ucina Göran Möller. – Ale to niezbyt prawdopodobne. – Milczy chwilę, po czym dodaje: – A w ogóle przeszukanie w mieszkaniu Maxa Frimana nic nie dało.

Może mimo wszystko niczego nie ukrywał, myśli Malin.

Waldemar kaszle.

A potem mówi:

– Miejmy nadzieję, że następnym razem to będzie jakiś czarnuch.

I Malin ma ochotę go rąbnąć w głowę. Pozostałym opadły szczęki, choć są przyzwyczajeni do głupawych tekstów Waldemara, a Göran Möller wybucha:

– Do diabła, Waldemar!

Potem na sali zapada cisza. Bo wyczuwają, że będzie następny raz, jeżeli im się nie uda.

– Rozmowy z osobami z otoczenia Nadji też nic nie dały – mówi Elin. – Nauczyciele to zwykli ludzie, a jej koleżanki to zwyczajne nastolatki.

– A ten mężczyzna w kapturze? Pod szkołą? – pyta Göran.

Elin kręci głową.

– Jest jak jakiś duch – mówi. – Znalazłam nasz raport, ale niewiele w nim było. Jeszcze nie zdążyliśmy porozmawiać z ludźmi mieszkającymi w okolicy szkoły i wypytać, czy ktoś zwrócił uwagę na taką osobę.

– Coś nowego od techników? – pyta Malin.

– Nie znaleźli nic godnego uwagi w komputerach ani w komórkach – odpowiada Johan. – Przed chwilą dzwonił do mnie Andersson. I nie zdążyliśmy jeszcze wydobyć materiałów z ewentualnych kamer na trasie Pedera Åkerlunda. Przykro mi, ale to wszystko toczy się cholernie szybko, a w urzędzie hrabstwa są, łagodnie mówiąc, opieszali.

Johan klnie.

Nigdy tego nie robi, myśli Malin, a potem mówi na głos:

– Słowa. On albo ona zdaje się mieć obsesję na punkcie słów. Co to oznacza?

– Są tacy, którzy twierdzą, że wszystko zaczyna się od słów – mówi Göran, a Malin widzi, że Börje i Waldemar przyglądają się podejrzliwie nowemu szefowi. – Albo od kolorów, odcieni – ciągnie Möller, i teraz patrzą na niego, jakby oszalał.

O co mu, kurwa, chodzi? – wydają się zastanawiać. Wygłupia się? Teraz?

– O co ci, kurwa, chodzi? – warczy Waldemar.

– Uważaj sobie – mówi Zeke.

– *Sorry.*

– Chodzi mi o to, że może dla tej osoby słowa są najważniejsze. Ich ostrożne używanie. Że to ważniejsze, niż się może wydawać. Że to dlatego on lub ona, albo może oni, dobierają się do ludzi, którzy wygłaszali jakieś zdecydowane poglądy. Może sprawcy nie interesuje treść tych poglądów, ale w jakiś sposób go złości, że w ogóle są wyrażane.

– I to całkiem mocno go złości – dodaje Elin.

– W tym rozumowaniu jest jakieś szaleństwo – stwierdza Malin. – Szaleństwo, które w dziwny sposób idealnie tu pasuje. To jest tak szalone, że może się zgadzać.

Po raz pierwszy Göran Möller jej zaimponował. Ten wrażliwy sposób, w jaki podchodzi do sprawy.

– Udało się wam dowiedzieć czegoś o tym e-mailu, który doprowadził nas na rozstaje w Stenkulla? – pyta Göran Möller.

– Technicy nad tym pracują – mówi Johan. – To strasznie skomplikowane. Nie radzę sobie z tym. Ale oni mają tam więcej możliwości, więc może im się uda.

Malin zauważa zmęczenie w głosie Johana. Świat staje się coraz bardziej wirtualny, a dla niego oznacza to coraz więcej pracy. Ale przedtem nigdy nie wydawał się zmęczony.

Za oknem powoli zapada zmrok.

Jeszcze niewidoczne gwiazdy zawładnęły niebem, uczyniły je swoim, a nieme głosy szepczą

nad ziemią.

Policjanci w sali konferencyjnej nie słyszą tego, co szepczą głosy.

Słyszą tylko własne milczenie.

I nowego szefa, który mówi:

– Teraz idźcie do domu i się wyśpijcie. Wszyscy. Jutro spróbujemy się temu na nowo przyjrzeć.

I Malin wie, że do końca jeszcze daleko. Że to się dopiero zaczyna.

Chcę opowiedzieć o mamie.

Tej, która została oblana wrzątkiem i która mnie chroniła.

Poszła w końcu na policję. Opowiedziała o biciu, o wrzątku, okrucieństwach, o tym, że anioł tego miasta jest potworem.

Policja jej nie uwierzyła. Poprosili ją, żeby sobie poszła.

Jakie miała dowody?

Nie była przypadkiem po prostu zazdrosna? Wszyscy słyszeli plotki o jego kochance w Sztokholmie.

Odeszła stamtąd. Wydawało jej się, że śmieją się za jej plecami.

Że sobie z nią pogrywają.

Potem, pewnego dnia, ojciec wraca do domu z partyjnego kongresu. Nie dostał miejsca w Komitecie, na które liczył.

A więc pije i bije, a matka krzyczy, żeby przestał.

Mam dziewięć lat.

Patrzę, jak wali jej głową o kaloryfer. Napętnia jej usta ziemią z doniczki.

Baby i gówniarze mają trzymać gęby na kłódkę, wrzasnął, zanim wyszedł.

Siedzę tam dniami i nocami.

Patrzę na mamę.

Ojca już nigdy więcej nie zobaczę.

Powiesił się w celi w areszcie.

Nie odzywam się ani słowem przez cztery lata.

Gdy Malin wchodzi do laboratorium, Karin stoi pochylona nad mikroskopem. Płynące spod sufitu światło jarzeniówki sprawia, że jej twarz jest blada, wydaje się starsza, niż jest w rzeczywistości. Gęsta, metaliczna woń w pomieszczeniu sprawia, że Malin robi się niedobrze.

Nie chciała tu przychodzić. Chciała pójść z Elin do siłowni, wyrwać się i biegać, albo wrócić do domu, do Daniela, ale przyszła tutaj.

Karin spogląda zza mikroskopu. Biały kitel dodaje jej autorytetu i Malin natychmiast ogarnia niepewność.

– Cześć, Malin.

Głos jest łagodny i niepewność znika.

– Jak ci idzie?

– Nie za dobrze. Zbadałam skrzynkę. Nie ma na niej nic oprócz ziemi. Ani żadnych odcisków palców na kartce. Próbuję dowiedzieć się czegoś, badając ten język, ale niestety, chyba nic z tego nie będzie. I przed chwilą dostałam odpowiedź w sprawie tych włosów ze Svartmåli. Żadnych trafień w rejestrze DNA.

– Zeke poszedł do domu – stwierdza Malin.

Karin kiwa głową.

– Dopiero co dzwonił. Zmienił opiekunkę Tess, żeby mogła wyjść.

Karin wydaje się zadowolona, że Malin przyszła. Malin spogląda na koleżankę, myśli o ich wspólnych tajemnicach, o bliskości, jaka się z tym wiąże.

– Całe to szaleństwo – mówi Malin.

– W każdym razie wygląda na to, że to jakaś systematyczna osoba – stwierdza Karin. – Ten kwas w mózgu. Karteczka w języku.

– Co myślisz o Nadji? Żyje?

Karin pochyla się nad mikroskopem, przygląda się czemuś przez chwilę, po czym znów patrzy na Malin.

– Mam nadzieję, że żyje, Malin. Mam nadzieję.

Na siłowni w piwnicy posterunku Elin Sand robi pompki.

Trzy razy po pięćdziesiąt. Czuje ciężar swoich piersi, pracę mięśni brzucha, żeby utrzymać ciało

w poziomie, drzenie rąk, gdy zbliża się do końca.

Dam radę?

Cisnie, cisnie i cisnie, a potem kończy, osuwa się na przepocony dywan.

Czy wszyscy powinni się bać? – myśli. Wszyscy mieszkańcy Linköpingu, którzy kiedyś wyrazili jakiś pogląd?

Opiera policzek o dywan. Rozkoszuje się chłodem. Tym, że przebywa w „teraz”, w którym „później” nie ma żadnego większego znaczenia.

Mogę tu być, myśli. W tej chwili czuję się całkiem w porządku właśnie tutaj.

Waldemar Ekenberg i Börje Svärd siedzą w kuchni Börjego po obu stronach stołu, milczą.

Przed nimi stoi butelka whisky i dwie szklanki wypełnione po brzegi alkoholem i lodem. Na piecu bulgocze garnek z boeuf Strogonow.

Zaczęli tak czasem robić po pracy.

Gotować razem prosty posiłek.

Upijać się.

Potem Waldemar nocuje w dawnym pokoju Anny.

Niewiele rozmawiają. Słowa nie są potrzebne, bo i co mieliby mówić? Rozmawiać o uczuciach? O pracy? Opowiadać bzdety o kolegach?

Żadna z tych rzeczy ich nie interesuje.

– Jak tam psy? – pyta Waldemar.

– Dobrze – mówi Börje. – Ale zastanawiałem się, czy się ich nie pozbyć.

– Dlaczego?

– Jestem gotów na coś nowego – mówi Börje. – A wtedy psy muszą zniknąć.

– Tak po prostu?

– Wielkie zmiany muszą dziać się nagle. Jak eksplozja.

Myśli o Kristinie Nederdahl, dyrektorze Folkungaskolan, o tej grze, w którą razem grali. Börje ma nadzieję, że ona zadzwoni. Myśli, że to zrobi.

– Będzie ci brakować psów – mówi Waldemar. – Tak jak mnie by brakowało starej, gdybym wyrzucił ją z domu.

– Nigdy jej nie wyrzucisz.

– To tylko kwestia czasu, kiedy kojec dla psów opustoszeje – mówi Waldemar. – Powiedziałeś to, i teraz tak będzie, prawda?

Börje Svärd szczyrzy zęby do przyjaciela, upija spory łyk whisky i mówi:



– Słowa. Wszystko się od nich zaczyna.

– Pieprzony pajac z niego – dodaje Waldemar.

Karim Akbar głaszcze po policzku swojego siedmiomiesięcznego synka Abla, dziecko śpi spokojnie w swoim łóżeczku w małym pokoju w willi w Lambohov. Nie było z nim żadnych problemów. Vivianne okazała się idealną matką, a jego własne ojcowskie talenty tym razem lepiej się sprawdzają.

Mama, tata, dziecko.

Zabawa i powaga, jakie się w tym kryją.

Powaga tak wielka, że nie da się jej pojąć, i dlatego Karim się bawi. Tyle ile tylko może i zdąży podczas urlopu rodzicielskiego. Wygłupia się z Ablem. Bawi się w akuku.

Jeśli nie udaje nam się dorosnąć, myśli Karim, bawimy się. I jeśli nigdy nie mogliśmy być dziećmi, też się bawimy.

Spogląda na swojego synka. Słyszy, jak Vivianne robi kolację w kuchni.

Pamięta swojego ojca wiszącego w łazience. Jak odebrano mu każde słowo. Jak odebrano mu dzieciństwo.

I ma ochotę obudzić Abla.

Bawić się z nim, bawić i bawić. Bawić się z nim do końca świata i jeszcze dłużej.

Johan Jakobsson wrócił do domu. Zrobił rodzinie kolację, a teraz siedzi w swojej pracowni w piwnicy, szuka w komputerze jakiegoś szaleńca, który mógłby pasować do sprzeczności w ich śledztwie.

Ale nikogo takiego nie znajduje.

Dzisiaj dla ludzi najważniejsze są poglądy same w sobie, myśli. Definiowanie się przez „JA SĄDZĘ”.

Nie przez „ja myślę”.

Czasem męczy go praca w policji. Ze swoimi umiejętnościami z łatwością mógłby znaleźć inną, znacznie lepiej płatną pracę. Mógłby nawet przeprowadzić się na Maltę i zarabiać sto tysięcy miesięcznie bez podatku w jakiejś firmie hakerskiej. Stella na pewno poczułaby się dobrze w ciepłym klimacie i tam też mają system ubezpieczeń.

Czasem ma na to ochotę. Ale zazwyczaj nie.

Nie wspomniał nic żonie o możliwościach, które naprawdę istnieją. Swobodniejsze, bogatsze życie. Gdy mieli planować urlop na lato, zdał sobie sprawę, że nie stać ich nawet na lot czarterowy.

Do diabła.

„Chyba nie było tak strasznie”.

Stella już śpi i Johan pragnie ją pocieszyć w snach. Powiedzieć, że teraz nie ma bólu.

Wchodzi na anonimową stronę jakiegoś prawicowego ekstremisty.

Wytepić Szwedzkich Czarnuchów.

Śmierć Żydom.

Boże, myśli Johan. Czym ja się zajmuję?

Musimy zadbać trochę o samych siebie.

Niektórych katalogów z komputera Pedera Åkerlunda wciąż nie udało się otworzyć. Johan wyjmuje z torby kopię starego dysku, którą dostał od informatyków. Wchodzi na nią.

Godzinami siedzi w ciemności i próbuje złamać hasła.

I w końcu katalogi się otwierają.

I to tam jest.

Teksty i zdjęcia do stron, których adresy dostali od Julianny Raad. Wszystko datowane po tak zwanym nawróceniu Pedera Åkerlunda. Johan otwiera dokument po dokumencie i nie ma żadnych wątpliwości. Za tymi stronami kryje się Peder Åkerlund i nikt inny.

Pozostał rasistą aż do śmierci.

Cała reszta to było tylko mydlenie oczu.

Göran Möller siedzi sam przed telewizorem w dwupokojowym mieszkaniu nad Stångån. Wykupił je, kiedy tylko się tu przeprowadził, chciał jak najszybciej tu osiąść, udowodnić samemu sobie, że zostaje tu na dobre.

Sprawa, którą teraz prowadzą, martwi go. Nie tyle sama przemoc, ile zabarwienie ideologiczne. Wyrachowanie, szaleństwo.

Ze strachu i złości człowiek potrafi mówić rzeczy, których tak właściwie nie myśli.

Ale z drugiej strony, w tych słowach kryje się struktura naszego myślenia, która dla nas jest niewidoczna.

Przełącza się z filmu na powtórkę jakiejś debaty.

O czym dyskutują?

O czymś zupełnie nieistotnym.

Przełącza się na kanał edukacyjny, na którym pokazują akurat film dokumentalny o artyście Gerhardzie Richterze. Göran widział go już wcześniej, ale z przyjemnością ogląda jeszcze raz. Ztraca się w skupionej, zmiennej błyskotliwości niemieckiego malarza. Płótna z mnóstwem

ociekającej farby. Takie się wydaje to śledztwo. Jakby ciągle przeciekało im przez palce, tak że nigdy nie pojawia się wyraźny obraz.

Wyłącza telewizor.

Siedzi sam w ciemności i myśli o Malin Fors. Słyszał o niej na długo przed tym, zanim zaczął pracę w Linköpingu. Kanciasta, złamana, ale niezwykle utalentowana policjantka. Sven Sjöman dał jej swobodę, choć równocześnie musiał ją krótko trzymać, ale była warta tego ryzyka i niepokoju z powodu wyników, jakie osiągała.

Teraz wydaje się spokojniejsza, niż mogłoby wynikać z tego, co o niej mówią.

Ale to pewnie dlatego, że nie pije.

Wydaje się bardzo zajęta własną nudą; trzeźwi alkoholicy często są tacy. A potem znów zaczynają pić. Tylko po to, by móc wytrzymać z samym sobą.

Malin leży w łóżku obok Daniela. Chciał się kochać, ale odsunęła go od siebie, chciała tylko czuć jego ciepłe ciało. Teraz Daniel śpi, obejmuje ją ramieniem. Oddycha ciężko i przyjemnie pachnie, i Malin mogłaby długo tak leżeć, ale nie na zawsze.

Znów próbowała dodzwonić się do Tove. Nie udało się. Wtedy zadzwoniła do organizacji wolontariackiej, ale tam włączyła się tylko automatyczna sekretarka z informacją o godzinach otwarcia.

W ciemnej sypialni czają się strach i potwory.

Tęsknota.

I milczenie Tove.

A co, jeśli leży gdzieś poraniona i krzyczy, ale nikt jej nie słyszy?

Malin uwalnia się z objęć Daniela. Idzie do kuchni. Otwiera szafkę pod zlewem i sięga aż pod samą ścianę. Odsuwa luźny kawałek drewna, wyciąga butelkę tequili, którą tam schowała.

Myśli o Tove.

Gdzie jesteś.

Odcięty język.

Krzyki, których nikt nie słyszy.

Malin odkręca butelkę. Przysuwa do ust.

I czuje w sobie rozgrzewający napój. Uczucie najpierw jest cudowne, potem staje się tępyim gwałtem na wszystkim, czym może i powinna być.

Suliman Hajif gasi światło w meczecie w Linköpingu, a potem zamyka drzwi na klucz i wychodzi. Jest wczesna noc.

Wysłał e-maile do swoich kontaktów w Syrii. Robi to przez program szyfrujący, który zainstalował na jednym z komputerów w meczecie. Stary imam nie zna się na takich rzeczach i z jakiegoś powodu mi ufa, myśli Suliman.

Dwóch chłopaków z Ryd. Mają po osiemnaście lat. Jutro jadą do Turcji. Do Stambułu. Potem ruszą dalej i jeśli wszystko będzie tak, jak powinno, zanim lato dobiegnie końca, wysadzą się w powietrze, zabijając przy tym kilkudziesięciu zwolenników Asada.

To aż takie proste.

Jest tyle zagubienia, tyle słabych umysłów, które można wykorzystać.

„Dlaczego marnujecie tu swoje życie, skoro możecie umrzeć męczeńską śmiercią w świętej wojnie?”

„Pójdziecie do nieba”.

„Będziecie mieć wszystkie kobiety, jakie zechcecie. Tak mówi Prorok”.

Chłoną moje słowa, myśli Hajif, ruszając w stronę lasu za meczetem. Pójdzie na skróty przez ten niewielki zagajnik, a potem wąskim pasażem dla pieszych za blokami w Ekholmen dotrze do domu w Berga.

W mieście grasuje szaleniec.

Suliman przed chwilą zaglądał na stronę „Corren”, „Aftonbladet” i „Expressen”.

Dziennikarze dostali świra na punkcie tej historii. I zdjęcia tej małej zaginionej kurwy są na wszystkich stronach, a na samej górze: *Gdzie jest Nadja?* Ma nadzieję, że ta dziwka nie żyje. Będzie o jedną mniej.

W lesie jest ciemno i zapala latarkę w komórce. Świeci w dół, żeby źle nie postawić stopy lub nie wpaść w jakąś dziurę.

Jego kaftan nie jest zbyt praktyczny, broda też nie. Potrafi okropnie swędzieć, tak jak skóra pod kaftanem, ale Suliman chce się ubierać odpowiednio do swojej pozycji, wie, jakie to ważne w oczach młodych ludzi.

Widzi już drogę.

Latarnię.

Czarną furgonetkę, która stoi zaparkowana tuż poza stożkiem światła.

Co tu robi ten samochód?

Teraz.

Znam go. Gdzie go widziałem wcześniej?

Żołądek ściska mu się ze strachu, a potem słyszy szelest, czuje coś zimnego przy nosie, ostrą, gryzącą woń, i nie może się bronić, bo już upada na gałęzie, mech i wilgotną ziemię.

Gubi komórkę.

Ale oczy widzą w ciemności.

Dostrzega korony drzew rysujące się na tle rozgwieżdżonego nieba, gdy jest wleczony przez las, a potem podciągany w górę, głowa się trzęsie, świat jest odcieniami czerni i szarości i słyszy, jak zatraskują się drzwi furgonetki. Niebo nad jego głową jest teraz czarne i niskie i próbuje krzyczeć, ale język odmawia mu posłuszeństwa.

Zupełnie jakby nigdy nie miał go w ustach.

# ***CZĘŚĆ 3***

## ***KONIEC TĘSKNOTY I POCZĄTEK WSZYSTKIEGO***

---

[NIEMY ŚWIAT]

Równina Östgöta porusza się nocą.

Bruzdy na polu splatają się ze sobą, stają się tak głębokie, że żadne światło gwiazd nie przenika do ziemi na ich dnie.

Uszy równiny są wypełnione ziemią.

Dlatego nie słychać noża przecinającego ciało.

Dlatego nie słychać krzyków z trumny.

Na sofie w mieście płaczą mężczyzna i kobieta. Ich rozpacz jest równie wieczna jak ruchy ziemi. Niespokojny ojciec przemierza mieszkanie w tę i z powrotem, jego żona zapadła w pozbawiony marzeń sen po wzięciu proszków nasennych.

Niedługo skończy się powietrze.

Woda skończyła się dawno temu.

Dziewczyna czuje to po skurczach.

Próbuje wypełnić płuca, drapać drewno, ale nie ma już paznokci, tylko otwarte piekące rany i ucucie, że już nigdy nie będzie mogła oddychać.

Oddech.

Jeszcze jeden oddech.

Chce uciec od samej siebie, stać się jednością z ziemią, która otacza skrzynię.

Ale to niemożliwe. Rzeczywistość jest tylko tutaj.

A więc bawi się w gry słowne. Wymyśla kolor, który staje się rzeczą, która staje się uczuciem, które musi stać się nicością.

Nicością, zanim zakradnie się śmierć.

ŚRODA, SIEDEMNASTY MAJA

Umyj zęby, umyj zęby, umyj zęby i bądź wesoła.

Malin zapaliła światło w łazience. Widzi w lustrze swoje zęby, to, jak pokrywa je coraz więcej piany z pasty.

Nie bądź smutna.

Maniakalnie porusza szczoteczką, chce się pozbyć smaku alkoholu z ust, smrodu, wstydu, że się poddała. Wypiła dwa łyki, potem wylała tequilę do zlewu, ostrożnie wyszła na klatkę schodową i wyrzuciła butelkę do zsypu.

Nie chcę, żeby Daniel się o tym dowiedział.

Alkohol w ustach był rozgrzewający, palił język jak otwartą ranę.

Poczuła, jak rozchodzi się po całym ciele, i musiała się przytrzymać chłodnego blatu przy zlewie, żeby się nie przewrócić. Nogi stały się miękkie jak z waty, zegar w S:t Larskyrkan wybił pierwszą i czuła się tak, jakby na kilka krótkich sekund jej ciało zniknęło i mogła być unoszącą się w powietrzu istotą, niezwiązaną już z ziemią.

I chciała dalej to czuć.

Ale wytrzymała.

Bo wie, że to może ją zabić. Ta myśl sprawia, że jeszcze bardziej gorączkowo myje zęby, dziąsła krwawią, posmak żelaza przenika pod język.

Tove.

Muszę odsunąć od siebie ten niepokój.

Wypluwa pianę. Przysuwa rękę do ust, robi mocny wydech i wciąga powietrze nosem. Nic nie czuć.

Zakręca kran, płucze usta i wraca do sypialni. Siada na brzegu łóżka i potrząsa Danielem.

Daniel budzi się powoli i otwiera oczy. Białka są jak małe lampki w ciemności, jego oddech jest ciężki i przyjemnie słodki.

– Już rano? – pyta zmęczonym głosem, ale bez złości.

Malin kręci głową.

– Środek nocy.



Oddycha tuż przy nim i Daniel się krzywi. Czuje alkohol? Co by wtedy powiedział? Odkąd są ze sobą, nie piła ani razu, więc jej problem był nieistniejącą kwestią, nie trzeba było o tym dyskutować i nigdy tego nie robili.

Bez słów jest lepiej.

Słowa mogą odkręcić butelkę.

– Myłaś zęby? – pyta Daniel.

– Tak, miałam obrzydliwy posmak w ustach.

– Spróbujemy zasnąć?

– Chcę porozmawiać – mówi Malin.

I Daniel siada na łóżku, bo Malin prawie nigdy nie chce rozmawiać, choć wie, że jej milczenie o tak wielu sprawach jest dla niego trudne.

– Chcę porozmawiać o śledztwie – mówi. – Jest mnóstwo rzeczy, których nie wypuściliśmy do mediów.

– Nie chcę wiedzieć.

– Ale muszę ci o tym powiedzieć. Inaczej oszaleję.

– W takim razie ja muszę o tym napisać. Ty masz swoje obowiązki, ja swoje.

– Musimy umieć rozmawiać o różnych rzeczach.

Daniel pochyla się, bierze ją w ramiona.

– Mów – zachęca. – Powiedz to, co musisz powiedzieć.

I Malin wie, że Daniel nie napisze o tym, o czym mu opowiada, wie, że może mu ufać, bo chyba przecież może?

– Dziękuję – mówi.

Odsuwa go ostrożnie od siebie.

– Czuję w sobie ciszę – zaczyna. – Jakby coś zniknęło, jakby czegoś mi brakowało.

Daniel milczy i czeka na dalszy ciąg.

– Czuję, że ta cisza jest związana ze sprawą, ale nie wiem, w jaki sposób.

Opowiada o Pederze Åkerlundzie.

O kwasie w ośrodku mowy w mózgu.

O języku.

O wiadomości, którą dostali.

Daniel dalej milczy, pozwala jej spokojnie opowiadać.

Gdy Malin kończy, stwierdza:

– Wygląda na to, że macie do czynienia z prawdziwym szaleńcem.

Malin kiwa głową.

– I jeszcze nie skończył.

– Macie jakichś podejrzanych?

– Nic nie mamy – mówi Malin. – Przesłuchiwalismy ludzi z otoczenia Nadji Lundin i Pedera Åkerlunda, ale to nie dało nic sensownego. Rodziny też są poza podejrzeniami.

Nie opowiada o esemesie, który dopiero co przysłał Johan. Że się dowiedział, jak dwulicową postacią był Åkerlund. Ale to chyba właściwie niczego nie zmienia? Wprawdzie jeden z jego oponentów mógł się o tym dowiedzieć albo domyślić się, tak jak Julianna, a wtedy być może rozwścieczyły go te kłamstwa i przekroczył granicę. Rodzice Pedera naprawdę nie muszą o tym wiedzieć.

A równocześnie w tej grze jest coś, co do tego pasuje. To, że wszystko ma wiele aspektów, jest zmienne i może stać się czymkolwiek. Jeśli to ten sam sprawca, to może chcieć natychmiast zabijać ofiary, a potem je pokazywać, albo najpierw je uprowadzić, a później zabić. W grze wszystko jest możliwe, a więc w tej sprawie również. Brak wyraźnego wzorca też może być jakimś przesłaniem.

– Czego chce morderca? – zastanawia się Daniel. – Jaki może mieć motyw?

– Myślę, że chce o czymś opowiedzieć – mówi Malin.

– O czym?

– Jeszcze nie wiem.

Potem siedzą obok siebie w ciemności i milczą.

– Nie napiszesz chyba o tym? – odzywa się po chwili Malin.

– Obiecuję. – Daniel głaszcze ją po policzku. – To jest ważniejsze.

A potem Malin mówi mu o Tove, o tym, że się martwi, bo nie może się z nią skontaktować.

– Mam znajomego, do którego mogę jutro zadzwonić – proponuje Daniel, a potem znów opada na łóżko, wyciąga rękę, a Malin się w nią wtula.

Zasypia po jakiejś minucie, a Daniel leży z otwartymi oczami, czuje ją obok siebie. Wydaje mu się, że niedawno wyczuł od niej słaby zapach tequili.

Nie chciał o tym wspominać.

Wie, kim jest Malin.

I kocha ją.

Bo tak to już jest z ludźmi, myśli, że nigdy nie możesz dostać jednej rzeczy bez drugiej.

Życie i śmierć zawsze zamieszkują to samo ciało. I musisz mieć odwagę, żeby kochać jedno i drugie.

Teraz umrzesz.

Suliman Hajif słyszy ten głos, jakby dobiegał z blaszanej puszki. Stłumiony, ani męski, ani kobiecy, właściwie pozbawiony emocji, mimo słów, które ciągle powtarza.

– Teraz umrzesz.

Mózg, myśli są zupełnie klarowne i równie wyraźny jest palący ból promieniujący w dolnej części ciała i w górę, do głowy. Zagłusza wszystko, z wyjątkiem strachu.

Dlaczego tu jestem, myśli Suliman Hajif i szarpie głową, próbuje się podnieść, ale nie może, bo w goleniach i przedramionach tkwią grube gwoździe.

Suliman Hajif nie słyszał dźwięku gwoździarki.

Krótkich, stłumionych dźwięków, gdy jego nieprzytomne ciało było przyszpilane do metalowych płyt podłogi. Czuje ból i chce krzyczeć, ale nie może, bo jego usta są wypełnione ziemią i strasznie chce mu się pić, mógłby wypić całe morze.

W wyobraźni widzi oczy.

Oczy umarłych.

Ludzi, którzy widzą zamachowców-samobójców – tych, których wysłał – na kilka sekund przed wybuchem bomby. Ludzi, do których dociera, że umrą, ale nie mają czasu krzyknąć, bo zostają rozdarci na kawałki; ludzi, którzy nigdy nie pożegnają się ze swoimi ukochanymi ani nie poczują kojącego dotyku swoich bliskich, zanim pójdą dalej.

Wpatrują się w niego wyzywająco.

Ale nie chcą go zabić.

Chcą patrzeć, jak mężczyzna stoi nad nim we wnętrzu samochodu, trzymając w ręce lśniący nóż. Mężczyzna zatacza coraz ciaśniejsze kręgi, jak drapieżnik, który zaraz rzuci się na zdobycz.

Suliman Hajif czuje, że mężczyzna delektuje się tą chwilą, władzą, jaką mu to daje. To nie jest zimne, pozbawione uczuć zabijanie, żeby przetrwać.

Zbliża się do Hajifa, dźga nożem jego nagie nogi, rani go powierzchownie w brzuch i przekrzywia gwoździe w rękach, patrzy na grymas bólu na jego twarzy.

– Krzycz, krzycz – mówi mężczyzna. – Wygarnij, co ci leży na sercu. Pokaż, kim naprawdę jesteś.

A potem Suliman Hajif czuje palce grzebiące w jego ustach, wypełniająca je ziemia wypada dużymi, wilgotnymi grudami i jego język znów może się poruszać, ale zamiast krzyku wydaje z siebie tylko gardłowy charkot, bo co miałyby powiedzieć?

Całe przekonanie gdzieś zniknęło.

Mężczyzna śmieje się teraz z niego i w oczach pod czarną maską widać uniesienie. Ściąga maskę i Suliman widzi twarz, uśmiech, i w tym uśmiechu jest chyba miłość.

To tak wygląda śmierć, myśli Suliman.

Widzieliście taki uśmiech?

Potem mężczyzna dociska jego głowę do podłogi i Suliman Hajif próbuje walczyć, ale jest zbyt zmęczony, zbyt słaby, nawet strach i adrenalina nie mogą mu teraz pomóc.

Mężczyzna otwiera mu usta.

Hajif czuje wdzierający się do nich nóż.

Widzi jego błysk w uśmiechających się oczach.

Ostrze wbija się w nasadę języka. Głowa eksploduje i Suliman charczy, wrzeszczy, to absurdałne uczucie, gdy tak wpatruje się we własny język, a krew spływa do płuc i do żołądka.

Woda, powietrze.

Nie ma wody, powietrza jest tylko trochę, jakbym oddychała przez słomkę.

Syczący dźwięk, gdy oddycham. Trzęsę się. Tak bardzo chce mi się pić, że wypiłabym własny mocz.

Już nie walczę. To nie ma żadnego sensu. Gdy próbuję to robić, tracę rozum.

Może nikt nigdy mnie nie znajdzie.

Przyszła mi do głowy pewna myśl. Czy przywiózł mnie tutaj ten człowiek w kapturze, który był pod szkołą?

Dlaczego?

Nie wiem, ale wyobrażam sobie, że leżę w trumnie, którą zakopano na równinie albo w jakimś ogrodzie. Widzę czerwony dom o białych narożach albo wielkie drzewo, albo gęsty zagajnik.

Może za dziesięć lat ktoś mnie znajdzie.

Zbutwiałe szczątki, rozłożone, z wyjątkiem szkieletu, czaszki z zębami, które będzie można zidentyfikować jako moje, Nadji Lundin.

Chcę wody.

Powietrza.

Inaczej umrę.

Słyszę coś teraz.

Kroki nade mną?

Cisza.

Potem znów kroki.

Przysuwam usta do wężyka, czuję wilgoć w ustach i krzyczę z radości. Wsysam w siebie wodę.

I powietrze.

Znów jest świeższe.

Oddycham i piję.

Jak długo?

Przez godzinę?

Wypijam wszystko.

Oddycham. Powietrze znów jest bardziej duszne.

TIK-TAK TIK-TAK.

Jeszcze żyję.

Słyszycie?

Żyję.

Malin idzie powoli przez Linköping. Jest za kwadrans siódma i o tej wczesnej porze miasto jest dziwnie opustoszałe. Idzie ulicą S:t Larsgatan do Trädgårdstorget, mija H&M, w witrynach widzi tabliczki o wyprzedaży. Tego roku pojawiły się wcześniej, sprzedaż letniej odzieży musiała iść opornie.

Mija sklep z trafiką, czyta nagłówki wczorajszych gazet:

„Expressen”: *Członek Szwedzkich Demokratów zamordowany, dziewczyna zaginęła.*

„Aftonbladet”: *Wszystko o morderstwie nad kanałem. Gdzie jest Nadja?*

Małe zdjęcie ładnej twarzyczki.

„Svenska Dagbladet”: *Morderstwo w Linköpingu.*

„Dagens Nyheter”: *Brutalne morderstwo w Linköpingu.*

Na przystanku zatrzymuje się czerwony autobus. Wsiada z niego kilka osób. Troje z nich jest w ludowych strojach. W rękach trzymają norweskie flagi. Malin próbuje coś wyczytać z twarzy ludzi. Czy w ich spojrzeniach jest przerażenie, niepokój?

Nie.

Dostrzega tylko zmęczenie, z wyjątkiem tych w strojach ludowych, oni są weseli. Heja, teraz będziemy żyć naszą kulturą!

Przejeżdża kilka samochodów. Kilku rowerzystów.

Malin zatrzymuje się przy sklepie z zabawkami, tuż za tytoniowym. Mnóstwo kolorowego plastiku. Gry, samochodziki, elektroniczne gadżety.

*Możecie się ze mną pobawić.*

Dobra, myśli Malin. Z łaski możemy zatańczyć, jak nam zagraasz.

To jest zabawa. Dostaniesz to, czego chcesz. Czym jest zabawa? Naśladowaniem świata, by uczynić go zrozumiałym, pojąć, jak działa i w jaki sposób poszczególne części do siebie pasują.

To właśnie robisz?

Czynisz świat bardziej zrozumiałym dla siebie, prostszym. Próbujesz tylko przetrwać, prawda?

Jako dziecko uwielbiała się bawić sama. Wycofać się ze swoimi zabawkami i wyczarowywać własne światy, sama w swoim pokoju w willi w Sturefors, sama ze wszystkimi przecuciami i aluzjami, z całym tym oszustwem.



Czasem chciała poobcinać głowy swoim wycinanym lalkom. Zamienić miejscami głowy chłopaków i dziewczyn. Zmienić świat.

Może ty też chcesz wszystko naprawić? Nie tylko przetrwać. Na twój własny, pokręcony sposób, chcesz zmienić swój świat w coś piękniejszego, pełniejszego miłości, w coś, co możesz całkowicie kontrolować.

To tak mam się do ciebie zbliżyć? – myśli Malin. Wychodząc z założenia, że chcesz piękniejszego świata. I że już ci się wydaje, że taki stworzyłeś.

Idzie dalej.

Mija McDonalda, gdzie kilku głodnych ludzi je paskudne śniadanie, skręca za róg w Drottninggatan i mija wejście do klatki schodowej Karin Johannison. Zastanawia się, czy Karin i Zeke kochają się teraz tam na górze, cicho, żeby nie usłyszała ich Tess. Pewnie nie, na pewno są bardzo zajęci porannymi obowiązkami.

Idzie spacerem przez Trädgårdsföreningen, próbuje się delektować zielenią poprzycinanych drzew i zapachami wiosny, ale żadne łagodne uczucia się nie pojawiają.

– Malin! – Wołanie dobiega zza jej pleców, odwraca się. Na dole, przy wejściu do parku od strony Linnégatan, widzi Elin Sand.

Elin ma na sobie niebieską sukienkę i czarną skórzaną kurtkę. Z daleka prezentuje się naprawdę wystrzałowo, jak z jakiegoś hollywoodzkiego filmu, i Malin przystaje, czeka na koleżankę. Tę, która zawsze wygląda tak młodo.

Gdy Elin podchodzi bliżej, złudzenie znika.

Wygląda na zmęczoną.

– Źle spałaś? – pyta Malin.

– Nie.

W milczeniu ruszają w stronę posterunku.

Malin zauważa, że Elin chciałaby, by spytała, dlaczego jest zmęczona, jak się czuje, coś w tym stylu, że chce, by poklepała ją po ramieniu. Ale Malin milczy.

Mijają dawne wejście Szpitala Uniwersyteckiego. Pod wystającym zielonym daszkiem nikt nie siedzi.

Z każdym krokiem milczenie staje się coraz bardziej wymowne, a powietrze między nimi gęstnieje. Coś zostaje wyciągnięte na zewnątrz, przewietrzone i pozostaje czysta samotność, samotność bycia razem, którą obie mogą zaakceptować.

Przechodzą przez duży parking, przez drogę i idą dalej ku budynkowi dawnych koszar, gdzie

mieści się posterunek. Dzień jest ciepły. Prawie jak latem. I wiedzą, że tego dnia wiele się wydarzy, i mogą czekać spokojnie, aż te wydarzenia staną się faktem.

Idą wąską asfaltową dróżką w cieniu brzoź i razem milczą.

Po chwili już przy wejściu. Gdy drzwi się rozsuwają, Malin mówi:

– Nie wydajesz się już taka zmęczona jak jeszcze przed chwilą w Trädgårdsföreningen.

Elin uśmiecha się do niej.

Nic nie mówi.

Malin włącza komputer. Dziesięć e-maili w skrzynce odbiorczej.

Zamiera, gdy widzi trzeci od dołu, wysłany godzinę temu z tego samego adresu co ten o rozstajach Stenkulla.

Linijka tematu jest pusta.

Krótką wiadomość:

Ona oddycha i krzyczy, potrafisz ją uratować?

Malin czyta to zdanie jeszcze raz i jeszcze raz. Nabiera powietrza, wypuszcza je.

Jeśli ta osoba mówi prawdę, to znaczy, że Nadja żyje.

Nadja.

Jeszcze możemy cię uratować.

*Do not reply to this mail*, brzmi informacja pod tekstem wiadomości.

Pozostali też przyszli wcześniej. Są już wszyscy i Malin chce ich zawołać, ale zmienia zdanie.

Potrafisz ją uratować?

Ten e-mail w żaden sposób nie posuwa ich do przodu. Wydaje mu się, że co zrobię, kiedy go dostanę?

To tak się zabawiasz?

I Malin ma ochotę rozwalić komputer.

Kurwa.

Woła Johana, pokazuje mu wiadomość, pyta, czy informatykom udało się wysledzić adres e-mailowy.

– Nie. Właściwie to niemożliwe – mówi Johan. – Poprzedni e-mail został wysłany z subserwera w Chinach i Bóg raczy wiedzieć, dokąd dalej prowadzi stamtąd ślad. Równie dobrze mógł zostać wysłany stąd, z posterunku, co ze szczytu jakiejś góry w Himalajach.

Johan milczy przez chwilę.

– Kamery monitoringu? – pyta Malin. – Chcę zobaczyć, czy ten człowiek naprawdę istnieje.

Johan kręci głową.

– Wciąż nic. Ale dostaliśmy listę kamer z urzędu hrabstwa i zaczynamy się domagać konkretnych materiałów.

Pozostali zdążyli już do nich podejść. Börje, Elin, Waldemar, Zeke. Wpatrują się w komputer Malin.

– Czyli dziewczyna żyje – mówi Waldemar.

– Dobra wiadomość – stwierdza Börje.

– Chyba że chce po prostu z nami pogrywać – mówi Zeke i pozostali milkną. Nie chcą o tym myśleć.

– Czego on teraz chce ode mnie, od nas? – pyta po chwili Malin.

– Nie wiemy, czy to on – stwierdza Elin.

– Nic, kurwa, nie wiemy – warczy Malin.

Podchodzi Göran Möller.

– Myślę, że dziewczyna żyje – mówi. – Ktoś ma jakieś przemyślenia? Wypoczęliśmy przez noc. – I dodaje: – Chcę was poinformować, że wycofałem patrole z psami. Nie było sensu tego ciągnąć. Przeszliśmy milę lasów wokół domu, więc teren poszukiwań zrobił się absurdalnie wielki. Nie wydaje mi się, żeby coś przeoczyli.

Grupa, która nagle zebrała się wokół komputera Malin, równie nagle się rozchodzi. Jakby brak porządnego tropu, konkretnych zadań wprawia detektywów w zażenowanie. Jakby się wstydzili, że nie wiedzą, co powiedzieć ani co zrobić.

Zamiast tego wszyscy wracają na swoje miejsca. Piją kawę. Udają, że są zajęci.

Czekają na to, że wydarzy się coś jeszcze.

Że ujawni się zło miłości.

Douglas Harrysson wstaje codziennie o szóstej rano, dojeżdża do magazynu Ica w Tornby, wsiada do ciężarówki, a potem rusza w trasę. Najpierw do Ljungsbro, potem do Vreta Kloster i dalej na równinę, zatacza łuk do małego sklepiku w Klockrikes i jedzie dalej do Malmslätt.

Dostawy do sklepów odbywają się codziennie i w każdym miejscu zatrzymuje się na dziesięć minut, najwyżej kwadrans. Zna właścicieli sklepów i ich personel, ale nie chce z nimi nawiązywać bliższych znajomości. Nigdy nie miał ochoty na bliższe związki z nikim z wyjątkiem matki.

Ma trzydzieści osiem lat i lubi być sam, żyje tak, odkąd umarła matka, jeździ ciężarówką pięć dni w tygodniu, wykonuje swoje kursy, a w weekendy ogląda telewizję albo bierze motocykl i wybiera się na trasę enduro po lasach.

Nie istnieje żaden człowiek, którego by potrzebował, i czasem czuje z tego powodu jakąś dziwną dumę, podobnie jak czuje się dumny z tego, że jest naprawdę dobry w dostarczaniu towarów do różnych sklepów sieci Ica.

W oczach ludzi jego praca nie ma znaczenia. Ale nie w jego oczach. Co by się stało, gdyby towarów zabrakło na półkach, gdyby skończyły się mleko i chleb?

Rozpętałoby się piekło.

Dobrze prowadzi, nigdy nie był nawet bliski spowodowania wypadku.

Teraz jedzie do Lambohov. Tamtejszy sklep jest zadbany i właściciel często spotyka się z nim osobiście, niestrudzenie próbuje z nim pogawędzić, ale Douglasa Harryssona to nie rusza.

Wybiera rzadko używaną drogę z Malmslätt, zamiast jechać autostradą przez Ryd. Zyskuje pięć minut, jadąc mało uczęszczaną leśną drogą biegnącą za dawną bazą lotniczą, w której gmina chce urządzić obóz dla uchodźców.

Lubi ten odcinek trasy.

Brzozy i sosny rosną tutaj w zgodzie, jakby nie musiały walczyć o miejsce, a po obu stronach drogi biegną starannie wykopane rowy, co świadczy o tym, że właściciel lasu naprawdę dba o swoje grunty.

Douglas nie spotyka żadnych innych samochodów. A droga jest wystarczająco szeroka dla jego ciężarówki, więc jak zawsze wciska pedał gazu, a korony drzew zmieniają się w różne odcienie zieleni, gdy wzrasta prędkość. Zupełnie jakby jechał tunelem zielonego światła.

Nigdy nie włącza radia.

Lubi ciszę.

Nie obchodzi go, co się dzieje na świecie ani w najbliższej okolicy. Niech ludzie zajmują się swoimi sprawami, a ja się będę zajmował swoimi.

Zwalnia. Coś sprawia, że chce jechać wolno. Rozgląda się pookoła, patrzy na drogę i musi przyznać, że o tej porze roku las jest piękny.

Wypatruje.

Coś jest nie tak. Od razu to wie.

Widzi coś, czego nie powinno tam być.

Nagie ciało leży w rowie, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden metr przed nim i Douglas wciska hamulec. Ciężarówka się zatrzymuje.

Jadę dalej, myśli.

Nie ma ochoty wysiadać. Nie chce, żeby to się działo. Nikt nie wie, że jeździ tą trasą, nikt się nie dowie, że widział to, co widział.

Ciało mężczyzny. Powykręcane ręce. Ale bez głowy.

Wie, że powinien się bać, ale serce nie bije szybciej, puls jest spokojny, i Douglas Harrysson zastanawia się, co z nim jest nie tak, dlaczego nic nie czuje? Z wyjątkiem tych chwil, gdy chodzi na grób matki i próbuje z nią rozmawiać.

Znów uruchamia silnik.

Odjeżdża kawałek. Ale zaraz się zatrzymuje i wysiada. Podchodzi do rowu, do miejsca, gdzie leży ciało.

Krew.

Wszędzie krew.

Głowa leży kawałek dalej w głąb lasu.

Douglas czuje, jak uginają się pod nim nogi, i musi przysiąc na bitej drodze.

Wpatrują się w niego martwe, czarne oczy.

Niezdarnie szuka komórki. Wybiera 112.

Sulimanowi Hajifowi odcięto głowę. Leży dobrze widoczna na cienkiej warstwie mchu, pięć metrów w głąb lasu od rowu, gdzie ciało lśni w słońcu, otoczone małymi brzęczącymi muchami.

Dość czyste cięcie, myśli Malin, oglądając szyję. Pewnie nie zrobił tego ekspert, ale odcięcie człowiekowi głowy nie jest trudne. Można znaleźć instrukcję w Internecie.

Próbuje zachować chłodne spojrzenie, nie inwestować żadnych uczuć w to, co widzi.

Jego twarz wydaje się bardziej pociągła niż wtedy, gdy widziała go żywego, nos jest ostrzejszy, policzki bardziej zapadnięte. Broda jeszcze bardziej zapuszczona, a jego ciemne oczy są rozszerzone ze zdumienia i przerażenia, które pozostanie w nich już na zawsze.

Usta są wypełnione ziemią, jakby po to, by nie wydostały się z nich żadne słowa.

Malin, Zeke, Elin i Karin Johannison są na miejscu. Trzy wozy policyjne. Mundurowi odgrodzili duży teren, żeby trzymać na dystans dziennikarzy i gapiów. Biało-niebieska taśma powiewa niepewnie na wietrze.

Karin bada trawę wokół zwłok.

Malin podchodzi, z bliska przygląda się skórze denata. Podrapana, pocięta, w wielu miejscach obdarta, ale nie wyryto w niej żadnych znaków. Dziury w goleniach, w przedramionach.

Nagie ciało. Oczywiście okaleczone.

Ten sam morderca.

To jest całkowicie pewne. Dwa tak podobne morderstwa nie wydarzają się niezależnie od siebie. Każdy może dojść do takiego wniosku.

Elin stoi tuż za nią i Malin słyszy, że jej oddech jest przyśpieszony.

Zeke chodzi w tę i z powrotem, zagłębiając się kawałek w las, i zerka w stronę głowy. Wydaje się zastanawiać, jakie czyny doprowadziły Sulimana Hajifa w to miejsce.

W jednym z wozów policyjnych Malin widzi tył głowy nieszczęśliwego Douglasa Harryssona. Gdy przyjechali, był spokojny, przeproszał za to, powiedział, że nie wie, dlaczego nie jest tak wzburzony, „jak powinien”.

Nie ma standardowych zachowań, myśli Malin. Potem przeskakuje przez rów i podchodzi do samochodu, otwiera tylne drzwi i siada obok Douglasa Harryssona.

Mężczyzna wygląda normalnie. Pod każdym względem. Normalny wzrost, normalna waga,

pospolita twarz. Nie ma w nim zupełnie nic dziwnego.

Prosi go, by opowiedział – powoli i spokojnie – o swoim dniu. O tym, jak pojechał na skróty, jak znalazł zwłoki i zadzwonił na policję. Mężczyzna opowiada o wczorajszym wieczorze i poprzednich wieczorach. Był sam w domu i oglądał piłkę nożną. Płatne transmisje. Mogą to sprawdzić.

Malin wie, że Douglas Harrysson nie ma nic wspólnego z tymi morderstwami. Bo gdyby było inaczej, po co miałyby do nich dzwonić? I nie wygląda na seryjnego mordercę, myśli Malin, ale zdaje sobie sprawę, że pewnie żaden człowiek nie wygląda na kogoś takiego. Pospolitość jest nawet w takich ludziach, jak Jeffrey Dahmer i Ted Bundy.

– Jeśli pan chce, może pan porozmawiać z psychologiem – proponuje Malin.

Douglas Harrysson kręci głową.

– Tak myślałam – mówi Malin. – Ja też nie lubię z nimi gadać.

– Mogę już jechać? W Lambohov potrzebują towarów.

– Już niedługo – zapewnia Malin. – Za chwilę.

Wraca do Karin Johannison, która kuca w rowie i wkłada do niewielkiego woreczka płatki skóry. Malin ma ochotę odwrócić wzrok, ale zmusza się, by patrzeć na denata. Na ofiarę, której ma dać sprawiedliwość i prawdę.

– Nie żyje najwyżej od czterech godzin. Ktokolwiek go torturował, robił to niedawno, dziś w nocy – mówi Karen.

– Tu, na miejscu?

– Nie. Wtedy rany byłyby o wiele bardziej zabrudzone. Są czyste, jakby to wszystko się działo w klinicznym otoczeniu. I jestem prawie pewna, że te ślady kół na poboczu są takie same, które widzieliśmy wcześniej.

– Coś jeszcze?

– Dopiero co przyjechałam, Malin.

W pierwszej chwili złości ją ostra odpowiedź Karin, ale zaraz odsuwa to od siebie. Karin jest pod równie silną presją jak ona i pozostali. Może nawet pod jeszcze silniejszą.

Zostawia Karin w spokoju. Staje kilka metrów od głowy Sulima Hajifa.

Próbuje się pogodzić z grymasem na tym, co było kiedyś jego twarzą, myśli, że może jednak jest w tym jakaś boska sprawiedliwość. Jeśli to prawda, że Hajif rekrutował zamachowców-samobójców, wielu ich ofiarom wybuchy musiały oderwać głowę. Przemoc podobna do innej przemocy, może w gruncie rzeczy taka sama.

Wiatr powoli porusza liśćmi. I Malin znów czuje w sobie jakąś pustkę, ciszę, której nie potrafi wyjaśnić. Stoi tutaj, patrzy na skutki skrajnej przemocy i czegoś jej brakuje.

Kawałek dalej widzi furgonetkę „Corren”.

Daniel.

Lokalne wiadomości TV4. „Aftonbladet”. „Expressen”. Wszyscy już tu są.

Czy ktoś taki jak Suliman Hajif miał rodzinę? – zastanawia się Malin. Rodzinę, rodziców, braci, siostry, kuzynów, przyjaciół, którzy zostaną poinformowani o jego śmierci i wszyscy będą go opłakiwać, ale Malin nie potrafi nie myśleć: widzę w tym sprawiedliwość.

Zeke podszedł bliżej.

– Najpierw skrajny prawicowiec, potem zaginiona lewicowa aktywistka, a teraz domniemany islamista. *What's next?*

Malin nie wie, skąd się biorą te słowa, ale po prostu płyną z jej ust.

– Może ktoś prowadzący program w telewizji? Albo jakiś producent z TV3? Jeżeli morderca chce uciszyć kogoś, kto wciska ludziom prawdziwe intelektualne gówno.

Zeke nie odpowiada, tylko patrzy na nią znacząco. Podchodzi do nich Elin Sand. Malin czuje jej dłoń na ramieniu. Ciepłą i łagodną. To przyjemne uczucie.

– Nie zrozumiemy tego, używając logicznego myślenia – mówi Elin.

– Masz rację. Jakie są reguły tej gry?

– Nie ma żadnych reguł oprócz tych, które sam wymyślasz – mówi Zeke. – Jestem tego całkowicie pewny.

– Tess?

– I wszystkie inne dzieciaki.

– Czyli chcecie przez to powiedzieć, że nie powinniśmy szukać prostych związków – mówi Malin. – Że musimy szukać tego, co niekonsekwentne, nieregularne?

– Nie szukać – mówi Elin. – Bo to przecież niemożliwe. Ale musimy być na to otwarci.

Malin odchodzi dalej wzdłuż drogi, w stronę barierek, ale nie tam, gdzie stoi Daniel, tylko w przeciwnym kierunku.

Daniel przygląda się całej scenie. Wie, że to okaleczone ciało Sulimana Hajifa leży kawałek dalej w lesie. Dowiedział się tego od jednego z mundurowych. Karin bada teraz coś, co znajduje się trochę dalej od drogi. Co to może być?

Högfeldt wie więcej niż wszyscy zgromadzeni tu dziennikarze. Ale nie może napisać tego, co wie, bo Malin byłaby wściekła, na pewno od razu by go rzuciła. No to co powinien zrobić?



Przywołuje napakowanego policjanta w mundurze. Tego, który podał mu nazwisko ofiary i użył słowa „okaleczony”.

– W jaki sposób jest okaleczony?

– Tego nie mogę powiedzieć. Wiesz to równie dobrze jak ja, Högfeldt.

– Daj spokój. Chyba możesz mi coś dać?

– Ma odciętą głowę. Usta są wypełnione ziemią. Więcej nie dostaniesz.

– Dzięki – mówi Daniel i myśli, że to pewnie głowa pochłania w tej chwili uwagę Karin.

Potem wraca do furgonetki, wyjmując laptop i zaczyna pisać artykuł, przyjmując za punkt wyjścia, że nową ofiarą jest Suliman Hajif. Pisze, że ktoś oddzielił głowę od ciała i napchał mu ziemi do ust. Pisze, nie wspominając o niczym, czego dowiedział się od Malin, jakby wnioski były wyłącznie jego własne. Że morderstwa najprawdopodobniej są ze sobą powiązane. Nagie zwłoki odnajdywane na łonie natury. To musi się ze sobą łączyć. Że być może ktoś chce uciszyć ludzi, którzy wyrażali swoje poglądy. Że ktoś chce uciszyć tych, którzy chcieli być widoczni. Że te morderstwa i zaginięcie są związane z wolnością słowa i być może z tym, co z nią robimy. Daniel spekuluje na podstawie tego, co wie, pisze dalej.

Dzieli tekst na dwie części. Artykuł informacyjny z niejasnymi spekulacjami i krótki przegląd wydarzeń, w którym potępia te morderstwa i przemoc, odwołując się do związków, które dostrzega.

Dwadzieścia minut.

Potem teksty są gotowe.

Szybko je szczytuje.

Nie ma tu nic, co mogłoby zdenerwować Malin. Mógł wyciągnąć te wnioski bez tego, co opowiedziała mu w nocy. Wysłała teksty do redakcji i już pięć minut później są zamieszczone na stronie.

Morderca zobaczy jego artykuły. Przeczyta przegląd wydarzeń, w którym został nazwany „wyrachowanym i chorym” i „wrogiem wolności słowa”.

Czy te teksty go zirytują? Rozwścieczą?

Daniel patrzy na drogę.

Malin.

Stoi jakieś trzydzieści metrów dalej.

Daniel widzi, jak Malin sięga po komórkę, odbiera rozmowę, na którą zdawała się czekać.

Organizacja wolontariacka. Wszystko naraz. Ale oddzwaniają.

Dlaczego nie dzwoni sama Tove?

Daniel jeszcze tam jest. Długo siedział w samochodzie, na pewno pisał jakiś artykuł. Później będzie mogła wejść na stronę i sprawdzić.

Przed chwilą Karin wołała ją do siebie. Wygrzebała ziemię z ust Sulimana Hajifa i znalazła w nich ziejącą pustką ranę. Odcięto mu język i do tej pory go nie znaleźli.

Göran Möller przyjechał na miejsce.

Douglas Harrysson odjechał. Chleb i mleko nie mogą czekać.

Malin odbiera połączenie.

– Tu Malin Fors.

Zwłoki w rowie są już przykryte żółtym plastikiem, przyjechała karetka i Malin poznała ratowników, dwóch przyjaciół Jannego. Kiwnęli jej głowami, gdy wyszli z wozu.

– Witam. Nazywam się Lisa Jansson. Dzwonię z organizacji wolontariackiej.

– Dostaliście moją wiadomość?

W słuchawce zapada cisza. Kobieta najwyraźniej nic nie wie o żadnej wiadomości i Malin czuje, że robi jej się niedobrze.

Potem Lisa Jansson zaczyna mówić i Malin chce zniknąć, nie musieć trwać w tej chwili, ale beczący głos nieubłaganie mówi dalej:

– Niestety, muszę panią poinformować, że Tove zaginęła. Wyjechała z transportem z Kigai do Bale i gdzieś po drodze straciliśmy kontakt z ich samochodem.

Słowa.

Wnikają w nią, ulatniają się i Malin nie chce dopuszczać ich do siebie. Ale wie, co zostało przed chwilą powiedziane.

– Co, kurwa, mówisz?

Powtarzane słowa.

– Co, kurwa?

Jestem zła, myśli Malin. Taka powinnam być?

Tove zaginęła w Kongu. I Malin widzi twarze gwałcicieli, węże, pająki, ameby wnikające do

ciała córki i sprawiające, że się rozkłada.

– Poinformowaliśmy Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

I Malin zdaje sobie sprawę, że w gazetach będą o tym dużo pisać. Z takimi zaginięciami zawsze tak jest.

Dlaczego o tym myślę?

Bo nie chcę myśleć o teraz.

– Zgłoszono zaginięcie pani córki – mówi Lisa Jansson. – Mogę panią zapewnić, że wykorzystaliśmy wszystkie środki, by zlokalizować ją i dwie dziewczyny, które jej towarzyszyły. Na pewno po prostu się popsuł samochód i utknęły w dżungli. Pojazdy często się psują w tak wilgotnym i gorącym klimacie.

– A ja? – krzyczy Malin. – Co ja mogę zrobić? Co mogę, kurwa, zrobić?

Daniel.

Przeszedł pod barierką i teraz biegnie w moją stronę.

– Nic pani nie może zrobić.

– Ty pieprzona idiotko! Po cholere je tam wysyłałicie?! – wrzeszczy Malin.

– Robią to z własnej woli – mówi Lisa Jansson. – I nie wydaje mi się, żeby pani ton...

Jeden z mundurowych ściga Daniela. Próbuje go zatrzymać, ale Daniel mu się wymyka, jest pięć metrów ode mnie.

– Znajdziecie ją?

Cisza w słuchawce.

– Znajdziecie ją?

– Mogę...

– Możesz iść w cholere! – krzyczy Malin, a potem czuje na sobie ręce Daniela, który wyjmuję komórkę z jej ręki, rozłącza rozmowę, podąża za nią, gdy Malin opada na szutrową drogę.

On rozumie, co się stało, myśli Malin. Zawsze wszystko rozumie.

– Zaginęła – szepcze. – Tove zaginęła.

A potem zaczyna płakać.

Usiedli na tylnym siedzeniu furgonetki „Corren”. Malin opiera się o Daniela i patrzy na leśną drogę. Liście chcą ją wciągnąć w swoją znikającą perspektywę i Malin ma ochotę otworzyć drzwi, rzucić się biegiem, przebiec całą pieprzoną drogę na Arlandę i wsiąść do pierwszego lepszego samolotu do Konga.

Jak się leci do Konga?

Tove leciała z Kigali do Nairobi, a potem dalej do Kinszasy.

A teraz zaginęła.

W kraju, gdzie gwałty, morderstwa i szalejące choroby są na porządku dziennym.

Kurwa nędza.

– Nie martw się – mówi Daniel. – Pewnie tylko samochód popsuł się gdzieś w dżungli. Na pewno wróci przed wieczorem.

– Nie martw się?! – krzyczy Malin. – Jesteś dumny, czy co?! Oczywiście, że się martwię.

– Co mam ci powiedzieć, Malin?

– Czasem lepiej jest się zamknąć.

– No to tak zrobię.

Siedzą w milczeniu obok siebie. Malin pozwala, by dotarła do niej wściekłość, panika ulatuje.

– Nie mogę przecież nic nie robić – mówi. – Muszę zadzwonić do Jannego.

– Możesz na nich naciskać – mówi Daniel. – Możecie to robić razem.

Malin kiwa głową.

– Ale ty nic o tym nie napiszesz, dobrze?

– Ktoś inny to zrobi. Jeżeli to w ogóle wyjdzie na jaw, jeżeli sprawa szybko się nie rozwiąże.

Malin oddycha głęboko, a Daniel całuje ją lekko w czoło. Jego usta są miękkie i ciepłe.

Dzwoni jej telefon.

Numer Jannego.

– Słyszałaś? – Jego głos jest słaby, słysząc w nim przerażenie.

– Przed chwilą do mnie dzwonili.

Potem następuje pełna paniki rozmowa, mówią jedno przez drugie i Malin chce obwiniąć Jannego, że zachęcał Tove do wyjazdu, ale tego nie robi, bo nikt nie potrafiłby powstrzymać ich

córki.

W końcu w słuchawce zapada cisza. Malin spogląda na Daniela, który patrzy przez okna i zachowuje się tak, jakby nie chciał im przeszkadzać.

– Lecę tam – mówi Janne.

– Nie bądź głupi.

Janne wzdycha ciężko po drugiej stronie.

– Zdzwonimy się, kiedy będziemy wiedzieć coś więcej – kończy rozmowę.

Daniel głaszcze ją po policzku i Malin ujmuje jego rękę.

Robota, myśli Malin. Wie, że to jedyna rzecz, której może się teraz chwycić.

Wysiada z samochodu. Daniel nie próbuje jej zatrzymać i gdy idzie w stronę pozostałych członków grupy, którzy stoją zebrani wokół przykrytego plastikiem ciała Sulimana Hajifa, niemal przytłacza ją wrażenie nierzeczywistości. Czuje się tak, jakby grała w filmie o swoim życiu, jakby drzewa i ziemia pod jej stopami w rzeczywistości były zręcznie wykonanymi dekoracjami, jakby ludzie stojący tam przed nią byli aktorami, a ona ma grać samą siebie, zamiast być sobą, bo jak, powiedzcie mi, jak mam być sobą w tej chwili?

Tłumi te uczucia.

Gdzie jesteś, Tove?

Nadju?

Gdzie są dziewczyny? Jeśli znajdę cię żywą, Nadju, Tove wróci. Tak właśnie jest, prawda? Muszę cię teraz znaleźć.

Zeke, Elin i Göran Möller stoją w zwartej grupce kilka metrów od Karin Johannison. Korony drzew poruszają się nad ich głowami, rzucają cienie na ich twarze. Drgają na nich plamki światła i Malin myśli, że wydają się przytłoczeni, że nie mają pojęcia, od którego końca zacząć.

– Przykro mi, Malin – mówi Elin.

– To prywatna sprawa – ucina Malin.

– Spokojnie – mówi Göran. – Jesteś w stanie pracować, Malin?

Patrzy na niego. Rzuca mu najmroczniejsze ze swoich spojrzeń.

– W porządku – mówi Göran. – Sama decydujesz.

– Co robimy dalej? – pyta Malin.

Kilka godzin później w Berga, w ciasnym mieszkanku na trzecim piętrze, matka i ojciec Sulimana Hajifa dowiadują się o śmierci syna.

Krzyczą w pachnącym miętą dużym pokoju. Nalegali, żeby policjanci napili się herbaty, zanim

ci powiedzieli im, z czym przyszli.

Gościnni, niezdający sobie z niczego sprawy.

Teraz, gdy się dowiedzieli, matka Sulimana wyje i Elin Sand wie, że to wycie będzie ją długo nawiedzać w snach.

Samo jądro rozpaczy.

Towarzyszy jej Waldemar Ekenberg, który marzy tylko o tym, by wyjść z tego nędznego mieszkania, zostawić tych obcych ludzi, których myśli i rozpaczy nie chce ani nie potrafi zrozumieć.

Ulega temu impulsowi, zostawia Elin Sand samą z rodzicami Hajifa, z krzykami i paniką, pytaniami, które muszą paść. Dziesięć minut później, gdy Elin wychodzi i zastaje go stojącego pod blokiem, podchodzi prosto do niego i mówi:

– Ty pieprzony tchórze.

– I co, teraz jesteś zadowolona?

– Tak.

Odchodzą stamtąd w majowy dzień do obowiązków związanych ze śledztwem, które dla wszystkich z grupy z wyjątkiem Johana Jakobssona oznaczają bezowocne przesłuchania bliskich Sulimana Hajifa, jego przyjaciół, rzekomych przeciwników. Jedna z tych ostatnich siedzi w celi w areszcie, w podziemiach dawnego budynku koszar, i zastanawia się:

Czy następnym razem przyjdzie kolej na mnie?

Strażnik opowiedział jej o kolejnym morderstwie i Julianna Raad nagle się cieszy, że siedzi tu na dole. Tu jestem bezpieczna, myśli, bo wie, że następnym razem może przyjść kolej na nią.

Siada na pryczy. Podciąga kolana pod brodę.

Suliman Hajif.

Wiedziałałam, czym się zajmował.

Że mówił jedno, a robił drugie.

Nienawidziłam go. Nienawidzę wszystkiego, co sobą reprezentował. A jednak reprezentował coś, co było prawdziwe. Jakkolwiek by się to wydawało głupie, dla niego to była poważna sprawa.

I niedługo go pochowają. Kiedy tylko rodzina dostanie zwłoki.

Nie chciałam, żeby tak skończył. Bez względu na to, co robił. Człowiek zasługuje na coś lepszego. Bo inaczej co nam pozostaje?

Malin opiera głowę o szybę samochodu. Widzi Linköping przesuwaną się za oknem.

Białoszarą falistą fasadę stadionu Folkungavallen, bloki ciągnące się w stronę Stångån, jeszcze bardziej szarą nieczynną szkołę S:t Lars i stacje benzynowe przy moście Braskens Bro.

Ona i Zeke wybierają się do meczetu. Muszą jeszcze raz porozmawiać z imamem. Przed chwilą do niego dzwoniła i powiedział, że około dziesiątej zostawił Sulimana w meczecie, że czasem to Suliman zamykał drzwi, a on mu ufał.

A więc imam może być ostatnim, który widział Hajifa żywego.

Może coś wiedzieć.

Ale co?

Przed chwilą zaglądała na konto Maxa Frimana na Twitterze. Johan wysłał jej esemesa. Na samej górze widniał nowy wpis: Hajif. Trudno byłoby powiedzieć, że świat stał się przez to uboższy.

Musimy znów z nim porozmawiać. Nie mówi nam wszystkiego, co wie. Wiedział, że Peder Åkerlund wcale nie zmienił poglądów? Pewnie tak.

Waldemar musi się tym zająć. Będą teraz potrzebować jego stylu pracy, jeśli chcą do czegoś dojść.

Mijają Johannelund.

Na placach zabaw biegają dzieci, huśtają się i bawią w piaskownicach, a na boiskach nad Stångån jest pełno ludzi, pewnie jakieś rozgrywki.

Życie toczy się dalej, trwa, mimo wszystko.

Malin próbuje nie myśleć o Tove, ale nie daje rady. Sięga po komórkę, chce zadzwonić do tej organizacji wolontariackiej, do tej całej Lisy Jansson, i zastanawia się, czy odezwą się do niej z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Jest aż tak źle?

Bo w takiej sytuacji musiałyby być źle.

Ale Ministerstwo Spraw Zagranicznych chyba jest bardzo opieszale? Wystarczy sobie przypomnieć Dawita Isaaka, gównu mogli dla niego zrobić. Teraz gnije w śmierdzącym więzieniu i na pewno przy Gustaf Adolf targ jest wielu urzędników, którzy uważają, że sam jest sobie winny, bo miał niewyparzoną gębę.

Dobrze, Malin.

Niech myśli krążą.

Malin wie, jak teraz muszą się czuć rodzice Nadji. Pewnie siedzą w domu, wystraszeni, zaniepokojeni, bezsilni. Malin chce do nich zadzwonić, ale co miałyby powiedzieć?

Zamiast tego dzwoni do Görana Möllera.

Möller odbiera.

– Widziałeś, co Max Friman napisał na Twitterze? – pyta.

– Widziałem.

– Może Waldemar powinien z nim pogadać?

– Już jest w drodze – mówi Göran Möller. – Może nawet już dotarł na miejsce.



Waldemar Ekenberg parkuje pod blokiem przy Ladugatan.

Jasnobeżowy tynk na fasadzie odpada na narożnikach.

Oby tylko Friman był w domu.

Może sobie wypisywać, co tylko chce o Sulimanie Hajifie, myśli Waldemar. Ma nawet rację w tym, co pisze. Ale nie o to chodzi. Co wie i jak możemy to z niego wydobyć?

Waldemar znów powrócił do przemocy. Znów go to ożywia. Jakiś rok temu czuł się zmęczony własną agresją, ale teraz już tak nie jest. I dziś nie jadł lunchu, więc stężenie glukozy w organizmie jest idealnie niskie przed takim zadaniem.

Mieszkanie jest położone na drugim piętrze. A więc to tutaj Peder Åkerlund spędził swój ostatni wieczór, pijąc piwo i wódkę. No i dobrze.

Waldemar dzwoni do drzwi. Słyszy kroki po drugiej stronie. Potem cisza. Krzyczy:

– Policja! Otwierać!

– Czego chcesz?

– Pogadać z tobą. Otwieraj. Inaczej wyważę drzwi.

Nastraszę pajaca, myśli Waldemar. Drzwi uchylają się lekko, a w szparze pojawia się twarz Maxa Frimana, wystraszone oczy.

Drzwi wciąż są zamknięte na łańcuch.

– Mogę zobaczyć legitymację?

Waldemar ją pokazuje.

Łańcuch zostaje zdjęty. Drzwi otwierają się na całą szerokość.

– Człowiek musi być ostrożny – mówi Max Friman, a Waldemar wchodzi i zamyka za sobą. Potem zaciska pięść, bierze zamach i słyszy trzask, gdy jego knykcie trafiają w nos Maxa.

Imam Samid Samudra siedzi po turecku na podłodze w dużej sali modlitw. Jest ubrany w biały kaftan i Malin myśli, że biała tkanina ładnie wygląda na tle wzorzystego dywanu na podłodze.

Malin i Zeke usiedli na taboretach, imam spogląda na nich, czeka na ich pytania, sam z siebie nie chce nic powiedzieć.

– Czy coś było inaczej, gdy pan wczoraj stąd wychodził? – pyta Malin.

– Absolutnie nic. Mówił, że jeszcze trochę zostanie. Zajrzy do Internetu.

- I poszedł pan prosto do domu?
- Mieszkam o tam. Nie widziałem nic dziwnego po drodze.
- Czy Suliman miał jakichś wrogów? O których by pan wiedział?
- Nie. Był tu bardzo lubiany. Miał dobry wpływ na młodszych chłopaków.
- Czy ktoś mu groził?

Imam rozkłada ręce.

- I tak by mi o tym nie powiedział.

Malin szuka smutku w oczach Samudry i wydaje jej się, że go dostrzega. To starszy człowiek, który próbował pomóc w życiu młodszemu. Bo chyba tak jest?

– Przychodzi panu do głowy coś, o czym powinniśmy wiedzieć? Coś, co może być ważne dla śledztwa?

- Nie.
- A te podróże, które podobno organizował dla terrorystów? – wtrąca Zeke.
- To były tylko fałszywe pogłoski.
- Rekrutacja bojowników i zamachowców-samobójców? Czy mogło w tym być ziarno prawdy?

– To kłamstwa. O ile wiem – mówi Samid Samudra i jego spojrzenie się zmienia. Staje się ofensywne, niemal agresywne. – A co to ma wspólnego ze sprawą?

Zeke, z irytacją:

- My o tym zadecydujemy.

Malin pochyla się, mówi:

– Zamordowano dwóch młodych mężczyzn. Jednym z nich jest Suliman. Zaginęła dziewczyna. Nie mamy jeszcze pojęcia, jak to się ze sobą łączy, ale próbujemy się tego dowiedzieć. Chcemy złapać człowieka, który zamordował Sulimana. Niech nam pan powie, co pan wie. To prawda, że rekrutował zamachowców-samobójców? Gazeta miała rację?

– Nie wiem – mówi imam. – Nawet jeśli to robił, to nigdy by mi o tym nie powiedzieli. Rozumieją, że muszę być neutralny w sprawach, które są niezgodne ze szwedzkim prawem.

- Oni? – pyta Malin. – Czyli on się tym zajmował i współpracował z innymi osobami?

Imam się uśmiecha. Usta wykrzywiają się w sztywnym grymasie.

- A pan dałby im na to swoje ciche błogosławieństwo?

- Nie mógłbym nic zrobić.
- Czyli to się zdarzyło? A wyjazdy terrorystów?

– Wiem, że Suliman był raz w Jemenie. W jakimś obozie szkoleniowym.

– Proszę nam o tym opowiedzieć – mówi Zeke.

– To wszystko, co wiem.

Malin rozgląda się po pomieszczeniu. Kiedyś musiał tu być magazyn firmy, która zajmowała ten lokal. Meczet jest zadbane, białe ściany wyglądają na świeżo pomalowane. Wie, że poruszają się po omacku, bo co właściwie miałyby mieć wspólnego podróże terrorystów z grą, w którą gra morderca? A może mordercy? Nie ma pojęcia, ale w jakiś sposób wszystko wiąże się ze wszystkim. Jeden związek może ich doprowadzić do kolejnego i muszą kopać w studniach najgłębszych uczuć. Tam zawsze kryje się prawda.

Imam drapie się po brodzie, Malin zmienia pozycję na taborecie.

– Pojechał sam? – pyta.

Imam milczy.

– Ktoś mu towarzyszył, prawda?

Imam wstaje, wychodzi z sali modlitw. Wraca po jakichś dwóch minutach. Daje Malin karteczkę.

– Nigdy tego nie dostaliście – mówi i zostawia ich samych.

Waldemar Ekenberg lubi być sam podczas takich wizyt.

Wtedy nie ma świadków.

A jego „ofiary” bardziej się boją, kiedy jest sam, gdy dociera do nich, że są sam na sam z człowiekiem, który kocha przemoc.

Zawłókł Maxa Frimana do dużego pokoju, dał temu mazgajowi ręcznik, żeby mógł zatamować krwawienie z nosa. Wybrał biały, żeby było dobrze widać krew. Cieniasy, takie jak Friman, kiepsko znoszą widok własnej krwi.

– Wiedziałeś, że Peder Åkerlund wcale nie zmienił poglądów?

– A jak myślisz?

– Wiedziałeś.

Max Friman kiwa głową.

Szczerzy zęby.

– To poważna sprawa! – krzyczy Waldemar. – Wydaje ci się, że kim jesteś? Co? Zamordowano człowieka, a ty piszesz o tym na Twitterze, jakby to było coś dobrego. Wiesz co? Teraz już jesteśmy pewni, że coś wiesz. Że wiesz, kto mógł go zabić.

Max Friman spogląda przekornie z sofy.

Może jednak wcale nie jest taki cienki.

– Dlaczego miałbym to wiedzieć? Suliman Hajif był jebanym dumnym islamistą. Nie mają czego szukać w naszym kraju i napisałem to. Wszyscy wiedzieli, że to nie jest żaden umiarkowany typ.

– Skąd to wiedziałeś?

Max Friman nie odpowiada.

– Piszesz, że świat nie stał się uboższy.

Max Friman patrzy w podłogę, jakby się zastanawiał, a potem spogląda na Waldemara.

– I dokładnie tak myślę.

Nienawiść w jego oczach.

Zdecydowanie nie jest takim mięczakiem, jak mi się wydawało, myśli Waldemar. Jest w nim coś więcej prócz strachu i tchórzostwa.

– Co robiłeś wczoraj w nocy?

– Była tu moja dziewczyna. Możecie ją zapytać. Ale uważaj. Po tym, co ci opowie, zwątpisz w swoją męskość.

Waldemar się śmieje. Co za mały skurwiel.

– Zapytam ją – mówi.

– Chyba nie myślisz, że mam coś wspólnego z tym morderstwem?

Waldemar ignoruje to pytanie.

Może zamordowałś Hajifa, ale nie masz nic wspólnego z innymi przestępstwami. Może wiedziałeś na tyle dużo, by wprowadzić nas w błąd. Ale nie, to mało prawdopodobne.

Waldemara złości własna niepewność.

Wyciągnę coś z ciebie, cokolwiek. Zobaczmy, jaki z ciebie chojrak.

W kilku krokach podchodzi do sofy i znów bierze zamach, a Friman instynktownie się cofa.

– Zgłoszę to, skurwysynu! – krzyczy.

Waldemar wciska palce w jego nozdrza, podnosi go, patrzy mu głęboko w oczy. Dmucha w niego oddechem, w którym jest woń kawy.

– Zrób to, a dołączysz do swojego kumpla Pedera w piekle.

– Jeśli mnie puścisz, powiem ci coś – jęczy Max Friman.

Waldemar pozwala mu opaść na sofę. Mężczyzna wciąga powietrze i zaczyna mówić.

Malin i Zeke stoją pod meczetem. Zeke niesie pod pachą laptop, który stamtąd zabrali. Niebo jest czyste, a promienie słońca odbijają się w oknach bloków za ich plecami.

Spoglądają po sobie.

Karteczka, którą dostali od Samida Samudry. Zabiorą się do tego, ale w tym momencie intuicja im podpowiada, że powinni jeszcze chwilę tutaj zostać.

– Jak myślisz, którędy poszedł, gdy wyszedł wczoraj z meczetu?

– Pewnie w dół do tych bloków, a potem dalej w stronę drogi.

– Albo poszedł przez zagajnik. I dalej. Tędy miał bliżej do domu.

– Musiało być ciemno.

– Mógł mieć latarkę w komórce. Przejdę się tam.

Wchodzi w niewielki zagajnik. Ziemia jest sucha i Malin przeszukuje ją wzrokiem. Nie widzi nic godnego uwagi i po stu metrach dociera do wąskiej asfaltowej ścieżki. Przymyka oczy. Próbuje coś usłyszeć, poczuć coś, cokolwiek. Ale nic się nie dzieje.

Wraca do Zekego. Zeke stara się okazać obojętność, ale nie potrafi ukryć niepewności.

– Jak to wszystko trzyma się kupy? – mówi.

Nazwisko na kartce. Adres w Ryd.

– Peder płacił Sulimanowi Hajifowi z partyjnych pieniędzy – szepcze Max Friman. – Opłacił wyjazd sześciu chłopakom z Ryd, którzy chcieli się dostać do Syrii. Uważał, że to dobry sposób, żeby pozbyć się paru tych świń. Uznał, że cel uświęca środki. Mówił, że gównu go obchodzi, kto tam kogo wysadza w powietrze. Teraz przynajmniej nie mamy ich tutaj.

– Jak to się odbywało? – pyta Waldemar, wyłamując sobie palce.

– Bardzo prosto. Przelewał pieniądze na konto w jakimś saudyjskim banku. Stamtąd opłacane były wyjazdy za pośrednictwem jakiegoś biura podróży w Niemczech.

Pragmatyczne. Wyrafinowane, myśli Waldemar. Jak jakaś jebana CIA.

– Czyli chcesz powiedzieć, że Suliman i Peder byli sojusznikami?

– Tak.

– Że razem wysyłali bojowników i zamachowców-samobójców?

– Tak.

Nagle mają mnóstwo nowych podejrzanych, których można powiązać z tymi dwoma morderstwami. Rodziny tych chłopaków z Linköpingu, którzy pojechali na wojnę i wysadzili się w powietrze. Rodziny ich syryjskich ofiar zamieszkałe w Szwecji.

Ale jak do tego pasuje Nadja Lundin?

Czy ona jest zasłoną dymną? Nie ma z tym zupełnie nic wspólnego? Czy ta skrzynka z językiem była tylko zabawą, żeby namieszać nam w głowach? I czy to znaczy, że to już koniec?

*Ale możecie się ze mną pobawić.*

– Czy ktoś prócz ciebie i Sulimana wiedział, że Peder jest w to zamieszany?

– Nie, nic mi o tym nie wiadomo.

– Przepraszam za nos – mówi Waldemar i odwraca się do drzwi. Otwiera je i dodaje: – Ale chyba się ze mną zgodzisz, że nie miałem wyjścia.

Żółte budynki z cegły zdają się ugiąć pod niewidzialnym błękitnym ciężarem nieba. Białe metalowe balustrady balkonów są poplamione od rdzy, a pranie tłoczy się wśród wszelkiego rodzaju gratów.

Malin otwiera wejście do klatki schodowej bloku przy Rydsvägen, słyszy oddech Zekego za swoimi plecami.

Imam dał im ten adres, podał im nazwisko: Mehmet Khoni.

Dzwonił Waldemar. Powiedział, co wyciągnął od Maxa Frimana.

Zdecydowanie musimy zapytać o to tego Khoniego, myśli Malin, idąc schodami na pierwsze piętro.

Dzwoni do drzwi.

Nikt nie otwiera.

Cisza po drugiej stronie.

Gdzie jesteś, Mehmet? Leżysz gdzieś z odciętym językiem?

– Nie ma go tu – mówi Zeke. – Wracamy na posterunek.

Zdążyło się zrobić wpół do dziewiątej wieczorem. Wszyscy zebrali się w sali konferencyjnej. Göran Möller wielkimi literami wypisał na tablicy nazwiska zamordowanych.

*Peder Åkerlund*

*Suliman Hajif*

*Wspólne interesy. Obaj zakłamanii.*

Trochę niżej nazwisko Nadji Lundin. Obok niego znak zapytania.

Göran siedzi u szczytu stołu. Spogląda na policjantów, którymi ma kierować. Waldemar Ekenberg wydaje się ożywiony, Börje Svärd marzy pewnie o tym, by stąd wyjść. Johan jest czujny, Elin Sand wygląda na zmęczoną, ziewa szeroko, a u Malin i Zekego Göran wyczuwa głęboką frustrację, jakby oboje mieli klapki na oczach, które próbują zerwać.

Malin. Göran nie wie, czy ktoś się do niej odzywał w sprawie Tove.

Ale nie może teraz o tym myśleć. Sama postanowiła, że chce pracować, choć musi odchodzić od zmysłów z niepokoju. Wydaje się skupiona. Patrzy na mnie, jakby chciała, żebym jej pomógł. Ale jak? Mogę być tylko jej szefem. Nikim innym. Cokolwiek znaczył dla niej Sven Sjöman, nie

mogę i nie chcę wcielać się w tę rolę.

Nagle dzwoni telefon Malin. Błyskawicznie go wyciąga, odbiera połączenie, wstaje szybko, mówi:

– W porządku, w porządku, mogę teraz rozmawiać – i wychodzi z pokoju.

Malin słyszy głos po drugiej stronie. Jakiś Kent Persson, urzędnik z Ministerstwa Spraw Zagranicznych przeprosza, że przeszkadza jej o tak późnej porze. Prosi, żeby posłuchała, co ma jej do powiedzenia.

Nie mogę nic innego zrobić, tylko cię słuchać, myśli Malin i patrzy na koniec pomalowanego na brązowo korytarza. Pyta:

– Wróciła?

– Nie – odpowiada Kent Persson. – Nie zlokalizowaliśmy jeszcze zaginionych obywateli.

– No to co robicie? Żeby ich zlokalizować?

– Wykorzystujemy nasze środki w jak najlepszy sposób.

– Co za środki?

– Niestety, nie mogę o tym mówić. Rozumiem pani niepokój, ale teraz najważniejsze jest, żeby to nie wyszło na jaw, by nie trafiło do mediów. Żebyśmy mogli spokojnie pracować.

– Wiecie, co się stało?

– Będę z panią całkowicie szczery – mówi Kent Persson. – Nie mamy pojęcia. Trzy godziny temu znaleziono ich opuszczoną ciężarówkę. Niestety, przy samochodzie nie było żadnych śladów naszych obywateli.

– I to wszystko, co pan ma?

W słuchawce zapada cisza. Kent Persson, sądząc po głosie, jakiś młodzieniec, nie potrafi odpowiedzieć.

Malin chce na niego nawrzeszczyć, ale wie, że w tej sytuacji złość tylko zaszkodzi. A Janne, ten kretyń, chce tam jechać. Pojechał? Ale nawet on nie zrobiłby czegoś takiego. Powinien jechać. Mam do niego zadzwonić?

– Proszę się ze mną skontaktować, jeśli coś się zmieni. – Malin kończy rozmowę.

Potem stoi bez ruchu na korytarzu pod salą konferencyjną. Nie ma siły zadzwonić do Jannego. Próbuje usłyszeć, co mówią tam w środku.

Nic nie słyszy.

Przysuwa ucho do drzwi, głosy kolegów dobiegają do niej jakby z oddali.

– Czy możemy uzyskać nazwiska ofiar ewentualnych zamachowców-samobójców.



– Nie wchodzi w rachubę. To by trwało miesiącami.  
– Co oznacza związek między Hajifem i Åkerlundem?  
– To przemawia przeciw temu, że te morderstwa były związane z jakimś konfliktem między nimi. Byli sobie przecież nawzajem potrzebni.

– Coś się mogło popsuć.

Johan:

– Musimy sprawdzić rodziców i krewnych tych, którzy wyjechali i wysadzili się w powietrze albo zginęli jako dżihadyści. Oni mieli wszelkie powody ku temu, by nienawidzić Hajifa i Åkerlunda, jeśli wiedzieli o ich współpracy.

– Wydobędę te nazwiska – mówi Göran Möller i Malin wie, dlaczego przed chwilą na niego patrzyła. Żeby zobaczyć to ojcowskie spojrzenie, takie jakie widziała u Svena, gdy sytuacja stawała się naprawdę kryzysowa. Göran Möller nigdy tak na nią nie spojrzy i to jest w porządku.

– A fakt, że obaj pokazywali się światu z jednej strony, ale myśleli i działali inaczej? Co to oznacza? – rzuca Göran Möller.

– Że morderca nie lubi fałszu – podsuwa Johan Jakobsson. – Pisał przecież o maskach.

Potem zapada cisza.

A kto lubi fałsz? – myśli Malin. Nikt.

– A co z Nadją Lundin? – pyta Göran.

Cisza.

W Malin jeszcze ciszej.

Chodzi o zemstę? – myśli.

Może tak być. Ale jakiego rodzaju zemstę? Zemstę, którą potrafię rozpoznać i pojąć czy inną?

Cielący język z wiadomością, odcięty język, kwas w ośrodku Broki. E-maile. Jeśli to jakiś krewny chce pomścić śmierć syna albo kogoś z rodziny, to po co cały ten szalony spektakl?

Zemsta i miłość są ze sobą powiązane. Kolorem obu jest czerwień.

Jeśli Tove się nie znajdzie, będę jej szukać do końca świata i wyrwę serce temu, kto ją skrzywdził.

Głosy. Te, które milczą, te, które ledwie słyhać:

– Filmy z monitoringu są w drodze.

– Bilingi Pedera Åkerlunda nic nie dały. Zdążyli już przejrzeć komputer Maxa Frimana. Tam też nic.

– Komórka Sulimana Hajifa? – zastanawia się Waldemar.

– Wczoraj w ogóle z niej nie dzwonił – mówi Göran Möller. – Tyle udało nam się dowiedzieć. Najwyraźniej nie miał własnego komputera. Ale informatycy przeszukają ten z meczetu, gdy tylko będą mieli na to czas.

– Gdzie może przebywać Mehmet Khoni? Co może wiedzieć?

– Chodzimy po domach w okolicy meczetu. W miejscu odnalezienia zwłok nie ma żadnych domów, do których można by zapukać.

– Ten mężczyzna w kapturze?

– Do diabła! Musimy ruszyć z miejsca. Nadja może jeszcze żyć.

Malin otwiera drzwi.

– Nie znaleźli Tove – mówi i siada na swoim miejscu. Patrzy na pusty plac zabaw przy przedszkolu, mały domek, w którym dzieci uwielbiają się chować, żeby po jakimś czasie z niego wyjść, udając zupełnie nowych ludzi.

Mehmet Khoni podciąga džinsy, przygląda T-shirt z Metallicą i wchodzi na posterunek policji. Kieruje się do recepcji i tam się zgłasza.

Dzwonił do niego Samudra. Mówił, że przyjdzie do niego policja, że będą chcieli z nim porozmawiać, opowiedział, co się stało z Sulimanem.

To jakieś szaleństwo, pomyślał wtedy. I dalej tak myśli. Miło jest wejść na posterunek, przez całą drogę oglądał się przez ramię, zastanawiał się, czy ktoś za nim podąża.

Najpierw zamierzał uciec z miasta do swoich krewnych w Malmö, ale potem dotarło do niego, że lepiej będzie pogadać z policją. Nie zrobił nic niezgodnego z prawem, a jeśli pomoże im złapać mordercę Sulimana, to dobrze.

Kobieta w recepcji uśmiecha się do niego.

– Już wołam Malin Fors.

Mehmet wie, kim ona jest. Czytał o niej w gazecie.

Odwraca się.

Patrzy na parking. Dziennikarze, którzy się tam kręcą, wyglądają na znudzonych. Karoserie samochodów połyskują w świetle latarni. Biel, czerwień, srebro i najmroczniejsza, roziskrzona czerń.

A więc przyszedł, myśli Malin, kierując się do wejścia. Wyczuwała to, miała nadzieję, że tak będzie. Wie, że teraz Mehmet Khoni musi się bać, jeżeli nie miał nic wspólnego z tymi morderstwami.

Spodziewa się, że zobaczy kopię Sulimana Hajifa w kaftanie, z długą brodą. Zamiast tego widzi przystojnego młodzieńca w zupełnie zwyczajnym ubraniu.

Uśmiecha się do mnie. Cholera, jaki ma uśmiech.

Wydaje się, że nie ma żadnej broni.

– Mehmet Khoni?

Mężczyzna kiwa głową.

– Malin Fors.

Malin wyciąga rękę na powitanie, a on ją ściska.

Powinnam go obszukać?

Nie.

– Chcieliście ze mną porozmawiać.

– Tak. Chodźmy gdzieś usiąść – mówi Malin i prowadzi go przez otwarte pomieszczenie biurowe do jednego z małych pokojów przesłuchań na tyłach lokalu.

Siadają i Malin opowiada, co wiedzą o powiązaniach między Hajifem a Åkerlundem, o wpłatach i wyjazdach. Mehmet Khoni odchyła się na krzesło.

– Brałem udział w tej rekrutacji – mówi. – Organizowałem wyjazdy, pilnowałem, żeby działała logistyka.

– Nie wiem nawet, czy to nie jest niezgodne z prawem – mówi Malin. – To, co robiłeś.

– Nie, to nie jest niezgodne z prawem. Ludzie mogą wyjeżdżać, dokąd chcą. Nie miałem nic wspólnego z tym, co mieli robić, gdy już dotrą na miejsce. Poza tym to, co tam robią, nie podlega szwedzkiemu prawu. Prawda?

– Dlaczego to robiłeś?

– Dla pieniędzy. Tylko i wyłącznie. Mam ciotkę w Libanie, która musi przejść kosztowną operację.

Wydaje mi się sympatyczny, myśli Malin. Nawet uroczy, i ten jego urok posyłał na śmierć młodych ludzi.

– Jak Hajif i Åkerlund nawiązali kontakt?

– Åkerlund dostał kilka listów z pogróżkami i pomyślał, że były od Sulimana, ale okazało się, że jest inaczej. Zaproponował, że moglibyśmy współpracować, zamiast się kłócić. Jeden i drugi chcieli wysłać tych chłopaków do Syrii. A on miał pieniądze.

Sprytne, myśli Malin. W jakiś pokrętny sposób kreatywne.

– Mogę dać wam listę – mówi Mehmet Khoni. – Tych, których wysłaliśmy. Nie wiem, co się z nimi stało, ale pewnie już nie wrócą. Może powinniście porozmawiać z ich rodzinami.

Malin podaje mu kartkę nad blatem.

Mehmet Khoni wypisuje sześć nazwisk.

Ile śmierci i spustoszenia mogli spowodować ci ludzie? To robota Mehmeta Khoniego? Sulimana? Chybiony wkład Pедера Åkerlunda?

I z drugiej strony: Hajif potwornie działał mi na nerwy, a Khoni mnie oczarowuje. Używa na mnie swoich sztuczek, wiem o tym, ale i tak nie potrafię się temu oprzeć.

Malin pyta go o alibi na noc, w które popełniono morderstwa, i chce wiedzieć, czy znał Nadję Lundin. Khoni ma alibi, mówi, że był w domu u stryja, podaje jej numer, zachęca ją, żeby to

sprawdziła. Nigdy nie słyszał o Nadji, dopóki nie przeczytał o niej w gazetach w ostatnich dniach.

– Czy Suliman dostawał jakieś pogrożki od krewnych ludzi, których wysłaliście?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Czy ktoś z nich wiedział o waszych związkach z Åkerlundem?

– Nie wydaje mi się, by wiedział o tym ktokolwiek oprócz nas i Pedera. Sama rozumiesz, jaka to delikatna sprawa.

– A Suliman?

Mehmet się uśmiecha, nie odpowiada.

– Co sądziłeś o tym, że na zewnątrz próbował udawać kogoś zupełnie innego?

– Był bystry. To wszystko. Właściwie to chyba uważał, że równie dobrze możemy się zintegrować tutaj. A potem zmienić społeczeństwo od wewnątrz, by stało się muzułmańskie.

– Coś jeszcze?

Mehmet się zastanawia.

– Wspominał, że widział jakąś czarną furgonetkę. Wydawało mu się, że go śledziła. Przypomniało mi się to, kiedy usłyszałem, że został zamordowany.

– Kiedy to było?

– Jakies pół roku temu. Potem już o tym nie wspominał.

– Jakiej marki był samochód?

– Nie mam pojęcia.

Ślady kół, które znalazła Karin, prawdopodobnie pozostawiła furgonetka. Powinniśmy znaleźć wszystkich w Linköpingu, którzy mają czarne furgonetki. Ale nie da się wyszukiwać po kolorze. Wtedy dostalibyśmy tysiące trafień.

– A co z tobą? Jakies groźby? Dziwne samochody?

Mehmet Khoni uśmiecha się krzywo i kręci głową.

Przejrzał mnie na wylot, myśli Malin. Khoni, jakby znał jej myśli, mówi:

– Nigdy nie byłem takim ortodoksem jak Suliman. Mam gdzieś, co się dzieje w Syrii. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to poniżanie kobiet i tym podobne gówna to czysty idiotyzm. Każdy przecież widzi, że tu jest lepiej niż w pieprzonych krajach arabskich.

Wstają, wychodzą z pokoju przesłuchań i Malin odprowadza Mehmeta Khoniego do recepcji. Porą, żeby wrócił do domu.

Gdy dociera do niego, co Malin zamierza, zatrzymuje się nagle.

– Chyba nie myślisz, że teraz stąd wyjdę? Tam przecież grasuje szaleniec. Zabrał Åkerlunda

i Sulimana, a teraz przyjdzie po mnie. Cholera, nie ma szans, żebym stąd wyszedł.

– Nie możesz tu zostać – mówi Malin. – To tak nie działa.

– A jak działa?

Malin patrzy na parking, poza jego granicami zapadły już nieprzeniknione ciemności.

– Nie mam innego bezpiecznego miejsca, w które mógłbym pójść.

– A twój stryj?

– Tam można mnie łatwo znaleźć.

– Dobra – mówi Malin. – Chodź ze mną.

Sprowadza go schodami do podziemnego przejścia, które prowadzi do aresztu. Wyjaśnia sytuację zmęczonemu strażnikowi, który mruczy coś w odpowiedzi, mówi coś o tym, że to wbrew przepisom, ale dobra, tylko na dzisiejszą noc.

Po chwili stoją przed celą. Strażnik grzebie przy kluczach, otwiera drzwi i odchodzi.

– Proszę bardzo – mówi Malin. – Zostaw drzwi uchylone, bo jeśli zamkniesz je od środka, tylko strażnik będzie mógł je otworzyć.

– Dzięki – odpowiada Mehmet Khoni.

Potem wchodzi do celi. Zamyka za sobą drzwi i Malin słyszy, jak zatraskuje się zamek.

Malin idzie powoli korytarzem, mijając pozostałe cele. Zdążyło się zrobić wpół do dwunastej i jest zmęczona, ale nie chce jeszcze iść do domu. Wciąż wydaje jej się, że coś jest niezrobione. Na jednej z cel widzi nazwisko Raad Julianna.

Zatrzymuje się. Odsuwa okienko, widzi młodą kobietę, która siedzi na pryczy, jest całkowicie rozbudzona i spogląda na nią z dumą.

– To ty – mówi Julianna Raad.

– Mogę wejść?

– Jasne. Jakbyś musiała prosić o pozwolenie.

Po chwili strażnik otwiera drzwi, Malin wchodzi do środka i obie siedzą teraz obok siebie w celi.

– Wiedziałaś, że Hajif robił interesy z Åkerlundem? O ich podwójnej grze?

Julianna kiwa głową.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś? Może Hajif by jeszcze żył.

Kobieta wzrusza ramionami.

– Może właśnie dlatego.

Dla ciebie to wojna, myśli Malin.

– Nie przypomniawo ci się nic, co mogłoby być ważne? – pyta. – Miałas tutaj czas, żeby się zastanowić.

Julianna Raad bierze głębowi oddech.

– Jest jedna rzecz – mówi. – Jesienią kilka razy widziałam faceta, który się na mnie gapił. Jakby mnie śledził.

– Pamiętasz, jak wyglądał?

– Był chyba koło czterdziestki, pospolity wygląd, brązowe włosy mniej więcej dotąd. – Julianna pokazuje na swoje ramiona. – Było w nim coś podejrzanego.

– Miał bluzę z kapturem?

– Nie.

– Gdzie to było?

– Nie pamiętam. Może w kawiarni Gyllenfiket albo w kawiarni w bibliotece? Wtedy się tam uczyłam. To mogło być w kawiarni w bibliotece.

– Jesteś tego pewna?

Julianna Raad pochyla się do przodu, odwraca głowę i patrzy Malin w oczy.

– Niczego nie jestem pewna. Może ten facet istnieje tylko w mojej wyobraźni. Może moja podświadomość wynajduje różne rzeczy, żeby się mogła stąd wyrwać.

– Próbujesz powiedzieć, że mówisz to, co według ciebie chcemy usłyszeć?

– Siedziałaś kiedyś w takiej celi? Przez kilka dni?

Malin nie odpowiada.

Przypomina jej się pokój w ośrodku odwykowym. Ten mały, ciasny pokój, gdzie przez pierwsze dni musiała siedzieć zupełnie sama, tylko ze swoimi myślami. Pamięta niepokój i złość. Mówiła wtedy do siebie, ale słowa nie miały znaczenia, bo nikt ich nie słyszał. Ten pokój pozostanie z nią na zawsze.

Co takiego mówisz, Julianno? – myśli Malin.

Co mówią głosy tego śledztwa?

Do jakich samotnych, ciemnych pokoi ono doprowadzi?

Svartmåla.

To stamtąd zniknęła Nadja.

Viveca Crafoord ma tam dom. Porozmawiam z nią.

Wysłucham, co ma do powiedzenia na temat człowieka, którego ścigam.

CZWARTEK, OSIEMNASTY MAJA

Światła samochodu padają na las. Pnie drzew i ciemność pomiędzy nimi, mech i zarośla, gleba, z której wyrastają.

Skrzynka z językiem.

Jesteś w jakiejś skrzyni, Nadju?

Skąd przyszedł mi do głowy ten obraz? – zastanawia się Malin i mocniej ściska kierownicę, usiłuje się rozbudzić, nie wolno jej zasnąć za kółkiem.

Chcę zobaczyć, jak wybiegasz z lasu, Nadju. Nie tak jak Maria Murvall, naga, zgwałcona i poraniona, tylko cała i zdrowa, w jednym kawałku – psychicznie i fizycznie. Obiecuj, że taka do mnie wyjdiesz.

Żyjesz.

Wiem to.

Ty też, Tove.

Przed chwilą dzwonił Janne. Ale nie odebrała. Wie, że jest w tym sama. I on też. Jeśli postanowił jechać do Konga, Malin nie może go powstrzymać i nie chce tego robić. Może uda mu się znaleźć Tove. Proszę bardzo, jedź.

Wpatruje się w leśną drogę.

Pół roku temu Suliman Hajif widział czarną furgonetkę.

Mniej więcej w tym samym czasie Julianna Raad zwróciła uwagę na dziwnego mężczyznę.

Człowiek w kapturze pod szkołą.

Czy to ta sama osoba? A jeśli tak, to kim on jest?

Malin dzwoniła do Viveki zaraz po powrocie z aresztu na posterunek.

– Gdzie jesteś?

– Na wsi.

– Mogę przyjechać?

Nie miały ze sobą kontaktu od kilku lat, od czasu, gdy błyskotliwa psycholog pomagała jej podczas śledztwa. Viveca musiała wyczuć powagę sytuacji w głosie Malin.

– Oczywiście, że możesz. Jestem tu sama. Mój mąż jest w mieście.



- Potrzebuję twojej pomocy.
- Czytam gazety, Malin. Rozumiem, o co chodzi.
- Będę za pół godziny.
- Pamiętasz, jak dojechać?
- Jak mogłabym o tym zapomnieć?

Wjeżdża do Svartmåli, mijają domek letniskowy rodziców Nadji, ten, z którego dziewczyna zniknęła. Jest ciemny i opustoszały, światła palą się tylko w dwóch domach w okolicy. Nikt niczego nie widział tej nocy, gdy zniknęła Nadja.

Jedzie trzysta metrów wzdłuż ciemnych ogrodów, niektóre są zarośnięte, inne zadbane, a potem znajduje się przed zaprojektowanym przez architekta drewniano-betonowym pudłem Viveki Crafoord.

Drzwi wejściowe się otwierają i w świetle reflektorów widzi Vivecę.

Zmarszczki na jej twarzy są trochę głębsze, sięgające do ramion włosy trochę bardziej siwe, ale wciąż bije od niej ta sama szlachetna siła.

– Masz coś przeciwko temu, że się napiję? – pyta Viveca. Nie czeka na odpowiedź i nalewa sobie whisky ze stojącej na stoliku karafki.

– Żaden problem – zapewnia Malin. – Dasz mi szklankę wody?

Viveca wychodzi do kuchni, wraca z espresso i szklanką zimnej wody mineralnej.

– Dobrze ci to zrobi. – Uśmiecha się i wskazuje głową na kawę.

Siadają na pięknych białych sofach i Malin zwraca uwagę, że dzieła sztuki na ścianach zmieniły się od jej ostatniej wizyty, teraz są bardziej współczesne, na pewno obłędnie drogie i kupione w eleganckich sztokholmskich galeriach.

Viveca pochyla się, upija łyk whisky.

– Jak mogę ci pomóc?

Potem Malin opowiada o sprawie, nad którą pracują, o morderstwach, zaginięciu, wiadomościach, przemocy, o powiązaniach z Syrią i wrażeniu, że błądzą po omacku, że nie wiedzą, od którego końca szukać, za którymi tropami podążyć, i że nic nie jest jasne ani dla niej, ani dla pozostałych detektywów.

– Jakiego człowieka szukamy? Kto jest zdolny do czegoś takiego? Rodzic, który chce pomścić swoje dziecko?

Z lasu rosnącego wokół domu dobiega jakiś trzask. Malin wydaje się, że słyszy kroki, ale wie, że to tylko złudzenie.

– Rodzice pewnie by się tak nie mścili – mówi Viveca. – W czymś takim kryje się o wiele prostsza wściekłość. Powiedziałabym, że gdy człowiek chce pomścić swoje dziecko, pragnie, żeby ten czyn był wyrazisty.

– To co sądzisz?

Malin czuje, jak bardzo jest zmęczona. Chce, żeby Viveca odsłoniła przed nią prawdę, tu i teraz, żeby podała jej nazwisko mordercy i powiedziała, gdzie znajdą Nadję Lundin.

– Myślę, że powinniście szukać kogoś, kto dużo wycierpiał jako dziecko – mówi Viveca. – Tego typu zabawa może być sposobem, by poczuć władzę, kontrolę. Ta przemoc zdaje się mieć wyraźny związek z tą ideą i możliwe, że jest sposobem szukania miłości, jakkolwiek dziwnie to brzmi. Możliwe, że ten człowiek inscenizuje coś, co spotkało jego samego. W pewnym sensie nie istnieje dla niego różnica między przemocą a miłością. I możliwe, że przemoc zaspokaja go też seksualnie.

– Szaleniec z jakąś obsesją seksualną?

Viveca wzrusza ramionami.

– Nie wydaje mi się to za bardzo prawdopodobne. Wtedy na zwłokach widniałyby pewnie ślady wykorzystania seksualnego. Inna myśl, która przychodzi mi do głowy, to że mógł być bity, żeby siedział cicho.

– I teraz chce zostać usłyszany.

– Coś w tym stylu. To tylko spekulacje, Malin. I pozostaje pytanie, co chce nam powiedzieć.

Nie mam pojęcia, w jaki sposób wybiera ofiary.

– Mówisz o mężczyźnie?

– Zaskoczyłoby mnie, gdyby to była kobieta.

– Jak myślisz, w jakim może być wieku?

– Między osiemnaście a czterdzieści pięć lat, ale oczywiście tylko zgaduję.

– Stan cywilny?

– Samotny. Niezdolny do stworzenia bliskiego związku z innym człowiekiem.

– Gdzie mamy szukać?

– Cofnijcie się w czasie. Szukajcie dawnych przypadków bitych dzieci. Skontaktujcie się z opieką społeczną.

– A Nadja?

– Poznałam ją – mówi Viveca. – Kiedyś przyszła tu do mnie na kawę. Bystra dziewczyna. Pełna życia, z mnóstwem poglądów na świat.

Malin się uśmiecha.

– Co o niej sądzisz?

– Myślę, że żyje. W każdym razie chcę w to wierzyć.

Malin wypija łyk espresso. Teraz, gdy pada z nóg, gorzki napój ma idealny smak.

– Zrobiła to ta sama osoba?

– Tak to wygląda.

– Dlaczego miałby utrzymywać ją przy życiu?

Viveca przymyka oczy, kiwa głową, jakby sama do siebie.

– Żeby zademonstrować swoją władzę. Nadać grze więcej wymiarów. Ale istnieje ryzyko, że ją zabije, gdy tylko mu się to znudzi. Może widział, jak sobie złośliwie z kimś pogrywała, i chce, żeby posmakowała tego sama.

– Czyli uważasz, że trzeba się śpieszyć?

– Wiesz, że trzeba.

– Dwie ofiary na zewnątrz kreowały jeden obraz siebie, ale w rzeczywistości robiły coś zupełnie odwrotnego. Co to znaczy?

– Jeśli morderca o tym wie, to może sam przeżył coś podobnego. Może został wprowadzony w błąd, w bolesny sposób zdradzony. I prawdopodobnie sam ma podwójną naturę, pod wieloma względami jest zupełnie zwyczajnym człowiekiem. Z seryjnymi mordercami często tak jest.

Whisky na stole. Bursztynowy, połyskujący napój. Malin chce wyciągnąć rękę, złapać szklankę i wypić ją do dna.

– Ciężko ci?

– Tak.

– Widzę.

– Codziennie.

I Malin jest bliska opowiedzenia o Tove, czuje, jak szarpie nią niepokój, ale nic nie mówi, chce, żeby ta rozmowa pozostała jasna i przejrzysta.

– Co mógł zrobić z Nadją? Zgwałcił ją? Zamknął gdzieś? Pogrzebał żywcem w lesie? Znaleźliśmy przecież zakopaną skrzynię z językiem.

Viveca zdaje się zastanawiać, ale Malin wie, że ma gotową odpowiedź od samego początku tej rozmowy.

– Tak jak mówiłam, myślę, że w jakiś sposób utrzymuje ją przy życiu. I delectuje się tym, że nikt nie słyszy jej wołania o pomoc.

Słyszę jej krzyki. Przynajmniej w sobie.

Bo inaczej jaki sens miałyby ta zabawa?

Jestem jedynym, który słyszy jej głos, całą tę bezsilność, którą w sobie niesie. Rozpoznaję samego siebie w tym uczuciu. Bardziej w tonie głosu niż w nic nieznaczących słowach.

I mogę wykorzystać to uczucie. Mogę wziąć je do ręki, cofnąć się w czasie do tamtego pokoju i tam wziąć za rękę samego siebie, powiedzieć:

Wszystko będzie dobrze.

Wszystko jest dobrze.

Próbowałem obudzić do życia mamę, ale się nie dało. Szeptalem jej do ucha, że może mówić, co chce, byleby tylko się obudziła.

Zrozumiałem, kim był ojciec. Jak nadużywał słów. Był uosobieniem fałszu.

Nadja Lundin.

Wcale nie taka dobra, jak wszyscy zdają się myśleć. Widziałem, jak się zgrywała, jak nabijała się z ludzi. I wtedy przyszedł mi do głowy ten pomysł. Że zabawię się z nią i z policją, tak jak policja pogrywała sobie z tobą, mamó.

Słyszę Nadję i wierzę w kłamstwa. Uciszam je, bawię się, piszę nową wiadomość. Niszczę zakłamanych.

W ten sposób mogę zwrócić ci słowa, mamó. I jeśli to zrobię, wszystkie słowa znów odzyskają swoje prawdziwe znaczenie.

Czytam to, co napisałem.

Słowa są jak robaki wychodzące z ziemi po ulewnym deszczu. Wydaje im się, że się uratowały, ale zostaną zmiażdżone pod butami chłopca.

Uwielbiam słyszeć jej krzyk.

Ciepła dłoń w mojej ręce.

Dłoń mamy, zanim ostygła.

Wypuść mnie. Nie chcę tutaj umierać. Chcę znów móc się poruszać, nie chcę leżeć we własnych odchodach i krzyczeć, a ty mnie słyszysz poprzez ziemię.

Teraz jest wilgotno. Padał deszcz? A może jestem w dżungli?

Ale muszę się wydostać. Inaczej umrę.

Umieram, mamó.

I Malin ma wrażenie, że słyszy te słowa dobiegające do niej jak szept w trzecim śnie, który przychodzi do niej tej nocy. Wydaje jej się, że to szepcze Tove, i Malin biegnie przez ciemną dżunglę, węże zatrząskują szczękami, sięgając do jej nóg, pijawki chcą wniknąć w otwory jej ciała, a jakieś obce drapieżniki z dawno zapomnianych epok wołają za nią:

Ona umiera, Malin.

Ona umiera i to twoja wina.

Malin wbiega na polanę.

Nie ma tu żadnych roślin, tylko ziemia, wilgotna ziemia, sucha ziemia, i pochyla się na środku polany i zaczyna kopać rękoma. Zdziera sobie paznokcie, krew z pokaleczonych palców wsiąka w ziemię, a ona kopie i kopie, a w końcu stoi w tym, co pewnego dnia będzie jej grobem. Wie to.

Próbuje się wydostać. Ale krawędzie są śliskie, bo nad dżunglą przeszedł deszcz. Nie znajduje żadnego oparcia, a teraz mokra ziemia osuwa się na nią i Malin krzyczy, spada na dno grobu, czuje ziemię wypełniającą jej usta i krzyczy, wszystko staje się czarne, a ona krzyczy i słyszy głos Daniela:

– Obudź się, Malin. Obudź się, do diabła.

Obejmująca ją ręka.

Pot. Mój czy jego? Mój.

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam.

Przytula mnie.

Przytula mnie i chcę, żeby to robił.

Nie poradziłabym sobie bez ciebie, Daniel. Nigdy nie może ci się przytrafić nic złego.

Dwa kilometry dalej ktoś dzwoni do drzwi willi Börjega Svärda.

Kristina Nederdahl zadzwoniła do niego w środku nocy, powiedziała, że nie może już czekać,

że chce do niego przyjść.

Börje otwiera drzwi.

Widzi jej uśmiechniętą twarz.

Cała jest piękna i pełna nadziei i Börje wpuszcza ją do środka, już w przedpokoju dotyka jej ramion, a Kristina Nederdahl się odwraca, ich usta się spotykają i Börje czuje, że coś w nim eksploduje, że coś w tej chwili jest właściwe, w taki sposób, jakiego nie czuł od śmierci Anny.

Stojąc przy blacie w kuchni, Malin czyta gazety w Internecie na swoim laptopie. Przed chwilą napisała e-maila do pozostałych o tym, co powiedziała jej Viveca na temat ewentualnego mordercy.

Pije kawę. Jest zmęczona. Zegar wskazuje parę minut po szóstej, przespała cztery godziny. To będzie musiało wystarczyć.

Czyta uaktualnioną wersję artykułu Daniela, wie, że napisał to na miejscu, tam gdzie znaleźli Sulimana Hajifa.

Daniel wyciąga daleko idące wnioski i Malin uważa, że to dziwne, że potrafił do nich dojść na podstawie informacji, które posiada. Czy on wie coś, czego nie powinien wiedzieć?

Ma ochotę iść do sypialni i go obudzić. Zawiódł jej zaufanie.

Potem jeszcze raz czyta artykuł. Uspokaja się. To ja jestem paranoiczką, myśli. Później czyta przegląd wydarzeń. Daniel jest odważny, ociera się nawet o niepotrzebne ryzyko. Co będzie, jeśli przeczyta to morderca? Jeśli wpadnie na pomysł, żeby go uciszyć? Ale artykuły takie jak ten przegląd wydarzeń są potrzebne. Nie możemy pozwolić się zastraszyć i po cichu przyzwalać na przemoc.

Zamyka laptop, dopija kawę.

Potem idzie do przedpokoju. Szuka kluczy w kurtce i wyczuwa pod palcami karteczkę, której tam wcześniej nie było.

Wyjmuje ją. Rozkłada.

Pismo Daniela.

*Jesteś najlepsza na świecie.*

Kurwa.

Teraz się rozplączę.

Ściska w ręce karteczkę, próbuje powstrzymać łzy, wychodzi z mieszkania i piętnaście minut później dociera na posterunek, po szybkim spacerze, podczas którego robiła wszystko, co mogła, żeby nie myśleć o Tove.

Próbowała się skupić na słonecznym, wiosennym poranku.

Nic nowego z organizacji wolontariackiej. Z Ministerstwa Spraw Zagranicznych też nic; Malin

próbowała udawać, że zaginięcie Tove jest snem, czymś nierzeczywistym, i gdy jej serce biło coraz szybciej, w miarę jak przyśpieszała kroku, wydawało jej się, że prawie jej się udało. Słyszała tylko ptaki. Ich prawdziwą pieśń.

Gdy dociera na miejsce, są tu tylko Zeke i Johan, i wtedy słyszy, jak piszczy jej komórka.

Przystaje w drodze na swoje miejsce, wyciąga telefon, otwiera wiadomość.

Czuje chłód ogarniający całe ciało.

Współrzędne geograficzne.

A pod spodem wiersz:

Może pod ziemi powłoką

coś wypatrzy wasze oko,

ale pośpiesz się,

zrób to, proszę cię.

Malin woła pozostałych.

– Przyszła nowa wiadomość.

Pokazuje im komórkę, esemesa wysłano z zastrzeżonego numeru.

– Namierz te współrzędne, Johan – mówi Zeke. – Natychmiast ruszamy tam z Malin.

Kątem oka Malin dostrzega Elin Sand wchodzącą na posterunek.

– Bierzemy ją ze sobą – decyduje Malin. – Może być dużo kopania. – Podnosi głos: – Jedziesz z nami, Elin. Pośpiesz się.

Johan stuka w klawiaturę i zaraz koordynaty pojawiają się na jego monitorze, przybierają postać obrazu.

– To miejsce na południe od Linköpingu.

– Borsucze Rozstaje, Grävlingsskorset, niedaleko Bankekind.

Czy o tym miejscu też są jakieś legendy, tak jak o rozstajach Stenkulla? Rośnie tam jakiś magiczny dąb? – myśli Malin. Nie zna żadnych historii na ten temat, pozostali najwyraźniej też nie.

Gra toczy się dalej.

Ten człowiek może zrobić cokolwiek, być wszędzie.

– No, dalej! Spadamy – woła Malin.

Może uda im się uratować Nadję?

– Johan – mówi spokojnie Malin – chcę, żebyś zaczął sprawdzać dawne sprawy pobicia dzieci, zgłaszane przez opiekę społeczną. Szukaj takich, gdzie obrażenia mogły wskazywać, że ktoś



próbował uciszyć dziecko. Dziecko miałoby teraz między osiemnaście a czterdzieści pięć lat.

– Chodzi ci o to, że ktoś zamykał dziecko w szafie albo coś w tym stylu?

– Mniej więcej. Inne rzeczy też. Uderzenia w usta, kneble, tego typu sprawy.

– Dobra.

– I zobacz, czy uda ci się ustalić, skąd wysłano tego esemesa.

Zeke i Elin stoją na swoich miejscach, zbierają rzeczy, zakładają służbową broń.

– Pośpieszcie się.

Kilka minut później cała trójka siedzi w policyjnym wozie i Malin dzwoni do Karin, mówi jej, by spotkali się przy Grävlingsskorset.

Po kolejnych kilku minutach udaje im się ustalić, gdzie grunt został niedawno wzruszony. To metr kwadratowy gołej ziemi w cieniu dużej brzozy, miejsce ukryte za zagajnikiem, blisko trzech dróg, które zbiegają się w Grävlingsskorset.

Potem mija pół godziny, nim udaje im się wykopać metrowy dół, pocą się w słońcu i w upale, przeklinają kurz wzbijający się z wyschniętej gleby. Ale kopią.

Bo wiedzą, że coś tu jest.

Nadja.

Może odpowiedź na nasze pytania kryje się tu, w ziemi.

Może tu jesteś.

Łopata Zekego natrafia na coś twardego.

Czy powinniśmy być ostrożni? – zastanawia się Malin, ocierając pot z czoła. Może podłożył tu bombę. Zastawił jakąś inną pułapkę. Kto może wiedzieć, co takiemu wpadnie do głowy?

– To skrzynka – mówi Karin. – Taka sama jak poprzednio.

Ostrożnie odgarniają z niej ziemię. Karin sama dokańcza pracę. Pędzlem usuwa ostatnią warstewkę ziemi, a potem w lateksowych rękawiczkach wyjmuję skrzynkę z dołu.

– Otworzę ją od razu. Odejdźcie kawałek dalej. Co najmniej dwadzieścia metrów.

– Jesteś szalona – mówi Malin. – Ja to zrobię.

– Teraz moja kolej, żeby ryzykować życie – oświadcza Karin.

– Nie ma mowy.

– Pozwól jej – mówi Elin, a Zeke chyba chce zaprotestować, ale się powstrzymuje.

– Dobra.

Wszyscy troje przechodzą na drugą stronę drogi, chronią się za kamiennym murkiem.

– Schylcie się! – krzyczy do nich Karin. – I tak zostacie.

Malin siedzi skulona obok Zekego, który przesuwa ręką po ogolonej głowie. Zaciska zęby. Ale w jego spojrzeniu nie widać strachu.

Nie ma w nim niepokoju.

Trzeba to zrobić.

– Możecie już wyjść! – woła po chwili Karin. – Bądźcie ostrożni. Spróbujcie nie zdeptać ziemi dookoła jeszcze bardziej niż do tej pory.

Podchodzą do niej. Karin wskazuje na otwartą skrzynkę stojącą pod brzozą.

Sinoszare mięso.

Teraz, za drugim razem, łatwiej znieść ten widok.

– To ludzki język – stwierdza Karin. – Obstawiam, że Sulimana Hajifa. Powierzchnia cięcia zdaje się pasować.

I jakby to była najnormalniejsza sytuacja na świecie, Malin pyta:

– Jest jakaś wiadomość?

– W skrzynce nie, ale może jest w języku – odpowiada Karin, a Elin mówi:

– Nie chcę się do tego przyzwyczajać.

– Nie musisz – stwierdza Zeke. – Musimy zakończyć to szaleństwo.

Karin pochyla się nad skrzynką, dłubie pincetą w języku.

Potem z różowego etui, którego Malin jeszcze nie widziała, wyjmuje skalpel i ostrożnie nacina sinoszary język w miejscu, gdzie chyba jest już jakiś otwór.

Odkłada skalpel do etui. Znów sięga po pincetę i wyciąga zakrwawiony, wilgotny zwitek papieru. Kładzie go na wieku skrzyni i rozwija wprawnym ruchem pincety, jakby nigdy nie robiła nic innego. Jakby urodziła się do tego zadania.

*Czy człowiek jest bardziej samotny z ludźmi, którzy powinni go kochać, czy gdy jest pogrzebany żywcem?*

Za ich plecami przejeżdża jakiś samochód. Czarna furgonetka, myśli Malin, odwracając się.

Ale to biała mazda. Jakaś kobieta za kierownicą. Malin zapamiętuje numery rejestracyjne.

Jeszcze raz czyta wiadomość.

A więc pogrzebałeś ją żywcem.

W takim razie żyjesz, Nadju. Żyjesz i jesteś najsamotniejszym z ludzi.

Tysiące rzeczy do wyszukania, sprawdzenia, przejrzenia.

Co jest najpilniejsze?

Johan Jakobsson nie wie, co nim kieruje, ale odkłada na bok wszystkie pozostałe sprawy i zaczyna wyszukiwanie w starych aktach, które w ostatnich latach zarchiwizowano w formie elektronicznej. Pograża się w pracy, nie dostrzega innych policjantów w pomieszczeniu biurowym.

Wyszukuje słowa: dziecko, pobicie, opieka społeczna, szafa, knebel. Wszystkie słowa naraz, ale nie ma żadnych trafień.

Usuwa szafę, knebel.

Teraz ma setki trafień.

Dodaje wybite zęby.

Pięć trafień.

Otwiera akta, czyta je. Pierwsza sprawa dotyczy pięcioletniej dziewczynki, którą dwadzieścia lat temu w Ljungsbro pobił ojciec. Dostała od babci flet, a gdy tata się upił, znudziły mu się hałasy i kilka razy uderzył córeczkę fletem w usta.

Uwagę Johana pochłania teraz sprawa sprzed ponad trzydziestu lat. Siedmioletni chłopiec, którego rodzice uważali, że za dużo mówił.

„Nigdy nie był cicho”.

W końcu zaczęli go bić za każdym razem, gdy odzywał się bez pozwolenia. Najpierw po całym ciele, potem również po twarzy. Gdy szkoła zgłosiła to do opieki społecznej, przeprowadzono badanie lekarskie i stwierdzono na ciele chłopca ponad siedemdziesiąt siniaków. Miał też kilka wybitych zębów. Trafił potem do rodziny zastępczej.

Uderzenie za słowo, słowo za uderzenie.

Johan chowa twarz w dłoniach, czuje ciepło własnych policzków, myśli o swoich dzieciach, że nigdy nie spotkało ich nic gorszego niż kilka ostrych słów i że miał wtedy straszne wyrzuty sumienia. Myśli o swojej córce, to ona mogła zaginać, i jest wdzięczny, że mają do czynienia tylko z chorobą, wprawdzie paskudną, ale taką, z którą można sobie poradzić.

Pokażę te akta Göranowi, myśli Johan. Może sprawdzimy tego chłopca. To strasznie

naciągane, ale może warto. I to by się zgadzało ze spekulacjami tej psycholog.

Göran Möller prostuje się na krześle, które kiedyś należało do Svena Sjömana. W oknie za jego plecami widać białą fasadę szpitala, ludzi na parkingu.

Johan siada na krześle dla gości i wpatruje się w dziwnie miłą twarz Görana. Naprawdę udaje mu się roztaczać wokół siebie aurę spokoju, mimo chaosu, który zapanował, i Johan zdaje sobie sprawę, że mieli szczęście z nowym szefem, że to, co zmusiło Möllera do odejścia z Helsingborga, to był wypadek przy pracy.

Göran Möller nie jest rasistą. Jest kompetentnym policjantem.

– Może warto się temu przyjrzeć – stwierdza. – Ale zrób to ostrożnie. Ten chłopiec pewnie prowadzi dziś zupełnie normalne życie.

– Będę ostrożny – zapewnia Johan.

– Dzwoniła Malin. Znaleźli coś, co wygląda na język Hajifa – mówi Göran.

– Kolejna wiadomość?

Göran kiwa głową, mówi, co było napisane na karteczce.

– Przecież to nam zupełnie nic nie daje – stwierdza Johan.

– Malin jest pewna, że pogrzebał Nadję żywcem.

Johan Jakobsson milczy przez kilka sekund. Myśl o dziewczynie, która leży gdzieś zamknięta w trumnie, jest nie do zniesienia, włącza się w nim instynkt samozachowawczy i obrazy z jakiejś czarnej próżni znikają, zanim zdążą się zagnieździć w jego głowie.

Co mam powiedzieć?

Johan patrzy na szefa. Jest porządnym człowiekiem.

– Zdążyłeś się już wybrać do Muzeum Hrabstwa? – pyta go.

– Nie.

– Mają tam słynny obraz Böcklina. *Wyspę umarłych*.

– Chciałbym go zobaczyć. Można by pomyśleć, że sami znajdujemy się teraz na takiej wyspie.

Johan się uśmiecha.

– Dobrze ci tu? – pyta po chwili.

– Mam dobry zespół – odpowiada Göran Möller i odwzajemnia uśmiech.

Göran Möller rozgląda się po swoim pokoju.

Ma na ścianach reprodukcje Goi. Nic ciężkiego, tylko *Maję nagą* i *Maję ubraną*. Był w Madrycie, delektował się kobiecym aktem. Doskonałymi pociągnięciami pędzla. Doskonalszymi na akcie. Dwa obrazy przedstawiające ten sam motyw, podobne, a jednak różne.

Co jest lepsze?

Samotność czy bycie pogrzebanym żywcem?

Malin była zdenerwowana, kiedy dzwoniła. Wiadomość nic im nie dała, i na czym właściwie mogą się oprzeć?

Miała rację.

Kazał jej i Zekemu pojechać do rodziców mężczyzn, których nazwiska podał im Mehmet Khoni. Może to pomoże im w jakiś sposób ruszyć z miejsca.

Malin była sceptyczna. Powoływała się na to, co mówiła jej zaprzyjaźniona psycholog.

Ale psychologowie często się mylą.

Göran Möller zamyka oczy. Czuje, że nie potrafi dotrzeć do czegoś, co kryje się w jego pamięci.

Wstaje, wychodzi z posterunku.

Malin patrzy, jak Zeke rozmawia z kobietą ubraną w czarną spódnicę i bluzkę w czerwone kwiaty. Widzi ich, jak stoją w schludnym pokoju w jakimś mieszkaniu na parterze w Ryd.

Słyszy, co mówią, ale słowa do niej nie docierają. Jej uwagę całkowicie pochłaniają ciemne kręgi pod oczami kobiety, która może mieć jakieś czterdzieści pięć lat. Rozpacz w jej spojrzeniu, gdy przed chwilą otwierała im drzwi. Wydaje się, że cała zniknęła, opuściła swoje ciało albo raczej skondensowała się do jednego potwornego uczucia.

Niech to nie będę ja, myśli Malin.

Oczywiście kobieta nie wie nic, co mogłoby im pomóc w śledztwie. Nie miała nawet pojęcia, że jej syn wybierał się do Syrii. Nie wie nic o Sulimanie Hajifie. Malin to widzi.

Czy ktoś nienawidził tych, którzy zrekrutowali tych chłopaków?

Rozpacz.

Nikt nie ma sił na nic innego prócz oplakiwania zmarłych. Ten chłopak zginął za nic. Tam na południu nie ma nic dobrego. Tylko różne strony zła.

Zeke wciąż rozmawia z kobietą.

Nie możemy tu tracić więcej czasu, myśli Malin. Musimy odnaleźć Nadję, a jej tu nie ma. I Malin czuje się jak kukiełka na sznurku, która nie potrafi kontrolować własnych ruchów.

Przed jej oczami pojawia się matka Pedera Åkerlunda siedząca na wózku inwalidzkim. Jej sparaliżowane nogi. Jest przykuta do ciała, z którego nie może uciec.

Wszędzie okaleczone ciała.

Malin wychodzi z mieszkania, staje w słońcu i robi wszystko, co może, żeby nie oszaleć.

Göran Möller poszedł do muzeum i teraz stoi na drugim piętrze żółtego budynku z cegły. Wpatruje się w obraz przed sobą. Niesamowite, że jest teraz akurat tutaj: obraz Böcklina z białą postacią zbliżającą się do podzielonej na dwie części wyspy.

Nie wie, dlaczego tu przyszedł. Nagle zatęsknił za tym, by zobaczyć to arcydzieło, wypożyczone na wystawę poświęconą symbolizmowi.

Długo stoi przed obrazem. Czuje, że kolana domagają się, by zmienił pozycję, ale stoi dalej.

*Wyspa umarłych* jest dziwnie pusta.

Nie ma na niej żadnych umarłych. Tylko ich niewidzialne dusze.

A może to śmierć przybywa na wyspę?

Wyobraża sobie mordercę jako kogoś, kto odbija od brzegów wyspy, żeby powrócić do życia. Może jego czyny są próbą, by znów stać się żywym człowiekiem. A jeśli tak, to pewnie próbował od dawna?

Göran Möller idzie dalej. W jednym z pomieszczeń wiszą stare obrazy ze scenami łowieckimi. Zwierzyna ścigana przez psy z pianą na pyskach i wywieszonymi jęzorami.

I wtedy Göran Möller natychmiast przypomina sobie to, co mu umykało, rozmowę z kolegą, która się odbyła dawno temu, co najmniej z dziesięć lat. Kolega opowiadał mu o śledztwie, które prowadził, i o tym, że znaleźli torturowane psy. To był Kenneth Johansson z Karlstadu. Siedzieli obok siebie podczas jednej z kolacji organizowanych przez związek zawodowy policjantów i Kenneth był wstrząśnięty tymi psami.

Czy jednemu z nich ktoś nie obciął języka?

Göran Möller wraca do *Wyspy umarłych*.

Wie, że seryjni mordercy często zaczynają od zwierząt, by potem przetrząsnąć się na ludzi.

Byłeś na wyspie? – myśli Göran. Zaczynałeś tam z psami, a teraz przeprawiłeś się przez wodę i zabijasz ludzi.

Kenneth Johansson na pewno przeszedł już na emeryturę. Ale może warto się z nim skontaktować.

Tę linię śledztwa mogli już sobie odpuścić. Po wizycie u ostatnich rodziców Malin prosi Zekego, by podrzucił ją pod bibliotekę.

Rozmowy były zupełnie bezowocne. Malin walczyła ze sobą, żeby zachować przytomność umysłu.

Siada pod jednym z gigantycznych okien wychodzących na park zamkowy i zapada się w brązowy fotel typu Ägget. Wie, że Tove uwielbia siedzieć na tych fotelach.

Niedaleko stąd do Folkungaskolan. Tylko jakieś sto metrów. Może ten mężczyzna w kapturze tędy przechodził, gdy wybierał się pod szkołę, by obserwować Nadję. Malin myśli, że wiele wątków w tej sprawie krąży wokół biblioteki, że Nadja często tu bywała. I była dziewczyna Pedera Åkerlunda. I ten mężczyzna, którego może widziała Julianna. Blisko stąd do Folkungaskolan.

Zbiegi okoliczności.

Malin obraca fotel.

Spogląda na rzędy książek.

Wyczuwa tu obecność Tove, chce ją mieć przy sobie. Ale to niemożliwe.

Wstaje, podchodzi do informacji. Za lśniącem drewnianym biurkiem siedzi rudowłosa kobieta w jej wieku. Malin się przedstawia, a kobieta patrzy na nią z zaciekawieniem.

– Muszę o coś zapytać – mówi Malin. – Zwróciła pani uwagę na jakichś dziwnych czytelników w ciągu ostatnich sześciu miesięcy?

Kobieta uśmiecha się.

– Mamy tu sporo dziwaków, jak we wszystkich bibliotekach.

– Konkretnie chodzi mi o mężczyznę, który często ubiera się w czarną bluzę z kapturem.

Około czterdziestki.

– Niestety. Nie zwróciłam uwagi na nikogo, kto pasowałby do tego rysopisu – odpowiada kobieta.

– W kawiarni też nie?

– Nie.

Kobieta milczy przez chwilę.

– Pani córka często tu bywała ubiegłego lata – mówi. – Dyskutowaliśmy o Jane Austen. Miała niesamowicie ciekawe poglądy na temat tych książek. Co u niej słyhać?

I wtedy w Malin coś pęka.

Stanowczym krokiem wychodzi z biblioteki i kieruje się w zupełnie niewłaściwe miejsce.



Malin stoi przed lustrem w toalecie restauracji Hamlet. Czuje piwo i tequilę krążące w ciele.

Nienawidzi swojej słabości. Ale jeśli nie ulegnie jej teraz, kiedy będzie mogła to zrobić?

Nigdy.

To jedyna odpowiedź.

Z niepokojem, strachem nie da się zrobić nic sensownego. Nic nie można zyskać na wyrzuceniu z siebie rozpaczy czy radości.

Lepiej to wszystko odsunąć od siebie.

Mam obowiązek to odsuwać.

A nie chlać.

I Malin poprawia ubranie, a potem kilka razy kopie w drzwi toalety tak mocno, że okleina pęka, a w końcu robi się dziura na wylot.

Kurwa.

Żeby tylko nikt nie stał po drugiej stronie.

Otwiera drzwi, ale w szatni obok toalety jest pusto.

Wraca na salę z boksami. Spogląda w stronę baru. Upijała się tu setki razy. Spadła ze stołka na podłogę, zrobiła z siebie pośmiewisko i gdyby miała tam teraz podejść, byłoby jej wstyd. Wie, że wstyd jest jednym z tych uczuć, które trzymają ją z dala od alkoholu.

Że sama ma dwie strony.

Co najmniej.

Dobra policjantka. Słaba alkoholiczka.

Kochająca matka.

Matka, która za nic nie bierze odpowiedzialności.

W głębi serca Tove musiała mnie nienawidzić. Za wszystko, co zrobiłam i czego nie zrobiłam, kiedy dorastała.

Malin siada w półmroku swojego drewnianego boksu. Stoi przed nią nowe piwo i kolejna tequila.

Nie. Uda mi się powstrzymać.

Nie mogę tak postępować. Skończyłam ze wstydem. Jeżeli można z nim kiedykolwiek

skończyć.

Ale nie zniosę samej siebie, tej nudnej osoby, jaką się stałam.

Wtedy dzwoni telefon. Numer Daniela na wyświetlaczu.

– Będę za dziesięć minut – zapewnia i siedem minut później wsuwa się do boksu i siada naprzeciw niej. Wskazuje na kufel i kieliszek.

– To pierwsze?

W jego głosie nie ma wyrzutu ani niepokoju, to po prostu zwykłe pytanie.

– Nie.

– Ile wypiałś?

– Jedno piwo i tequilę, zanim przyszedłeś. I mam cholerną ochotę to też wypić, ale tego nie zrobię.

– To dobrze.

– Od tego nic nie będzie lepiej.

Daniel się uśmiecha i w przyćmionym świetle jego twarz jest niemal idealna. Rysy nabierają ostrości, której nie widać w świetle dnia.

Wszystko staje się lepsze, gdy zapada ciemność, myśli Malin. I chce powiedzieć, że go kocha, ale nie potrafi wydobyć z siebie tych słów.

Podchodzi do nich kelnerka.

– Nie smakuje państwu?

– Smakuje – mówi Daniel i upija łyk piwa.

Zamawiają sobie fatányéros i jedzą w milczeniu, Malin łąpczywie popija wodę. Boi się, że Daniel zapyta o Tove, a on o tym wie. I milczy, bo gdy człowiek czuje się bezradny, słowa pocieszenia są najczęściej zbędne. Nie wypytuje jej też o śledztwo, zdaje się rozumieć, że Malin potrzebuje tego milczenia, i najwyraźniej on sam go też potrzebuje.

Gdy kelnerka zabiera ich talerze, Malin mówi:

– Napisałeś świetny przegląd wydarzeń.

– Dzięki.

– Zręcznie obszedłeś informacje, które ode mnie dostałeś.

– Czyli uważasz, że było w porządku?

– Nie mogę cię przecież zakneblować.

– Do pewnego stopnia możesz.

Płacą rachunek, wychodzą na S:t Larsgatan, idą spacerem do Hamngatan; przy Stora Torget

ogródki lokali są pełne ludzi, którzy korzystają z ciepłego majowego wieczoru.

Nie tak dawno siedziałam tam z Tove, myśli Malin. Musisz wrócić, bo inaczej już zawsze będę żyła w świecie duchów, wyprowadzę się stąd, ale mój świat już zawsze będzie się składał z twojego ducha.

Czy będę słyszeć twój głos? Wyczuwać go?

Czuje na plecach ramię Daniela, przyciąga go bliżej do siebie, a Daniel mówi:

– Ona się znajdzie. Czuję to.

Rozstają się przy Hamngatan. Daniel zaczyna zmianę w gazecie o czwartej rano i chce spać sam, a Malin też ma ochotę być sama.

Waha się przed wejściem do Pull&Bear. Chce wejść do pubu i upić się w sztok.

Zamiast tego idzie na parking. Wsiada do swojego starego, białego golfa. Alkohol wyparował już z ciała, myśli, i sięga po telefon.

Dzwoni do Jannego, który natychmiast odbiera.

– Słyszałaś coś?

– Nie.

– To okropne – mówi Janne.

– Wiem. Jedziesz tam?

– Nie. Jeszcze nie.

– Mogę ci pomóc zorganizować bilet.

– To do ciebie podobne – mówi Janne.

– Odbija mi od tego. Oszaleję z rozterki.

– Chcesz się spotkać?

Malin słyszy głos Jannego po drugiej stronie. Pyta z troski o nią, ale właściwie wcale nie chce się spotykać. I ona też nie. Bo co mieliby robić? Siedzieć i trzymać się za ręce? Patrzeć na swoje odbicie w niepokoju tego drugiego?

Nie ma mowy.

– Zdzwonimy się, jak coś będzie wiadomo – mówi Malin i kończy połączenie.

Uruchamia silnik, przejeżdża przez miasto i dociera na równinę. W świetle księżyca na wodach Roxen są tygrysy prążki, a stado jakichś ptaków przelatuje nisko nad podmokłymi polami. Światła w gospodarstwach są pogaszone i Malin zastanawia się, dokąd jedzie.

Wjeżdża w las w okolicy Stjärnorp.

Myśli o całym złu, które tu istniało, o całej tej przemocy i że to się nigdy nie skończy. Zło

zmienia tylko odcień, kolor albo zapach i my, ludzie, możemy na to poradzić, tylko sprzeciwiając mu się czynem i słowem.

To znaczy, jeżeli je dostrzegamy.

Zło jest najczęściej tam, gdzie go nawet nie przeczuwamy. Czasem przebrane za miłość, do złudzenia je przypominające. Wieloaspektowe, nieuchwytnie i pełne sprzeczności.

Nienawidzisz, myśli Malin. Bo chcesz kochać. Chciałeś być kochany.

Czy Nadja ci coś zrobiła?

Nie jest tylko dobra i miła, jak sugerowała jej przyjaciółka i matka?

Weszła ci jakoś w drogę?

Malin wjeżdża głęboko w las wąską, bitą drogą. To gdzieś tutaj musiała się błąkać Maria Murvall z pokaleczonym ciałem i poranionymi genitaliami.

Zatrzymuje samochód. Wyłącza silnik i światła, a poświata księżycyca tu nie dociera.

Wszędzie jest ciemno.

Przeskakuje przez rów i wchodzi w las, który jest mroczniejszy niż kiedykolwiek będzie jej dusza, jej życie.

Czuje obce dłonie na swoim ciele.

Chcą w nią wtargnąć. Rozerwać ją na strzępy. Posiąść na własność.

Odebrać jej życie.

Krzyczy:

– TOVE TOVE TOVE. NADJA NADJA NADJA. – Szepcze: – Już idę, już idę.

PIĄTEK, DZIEWIĘTNASTY MAJA

Wczesnie rano Göran Möller zadzwonił ze swojego mieszkania na policję w Karlstadsie. Mimo wszystko pomysł był dość naciągany i Möller trochę się wahał.

Dowiedział się, że Kenneth Johansson, który prowadził tę sprawę z psami, wyjechał na urlop.

Podali mu numer komórkowy Kennetha, ale wstrzymał się z dzwonieniem aż do teraz. W tej chwili jest ósma rano, Göran siedzi w swoim służbowym pokoju i spogląda na szpital po drugiej stronie ulicy.

Pięć sygnałów, a potem Kenneth Johansson odbiera. Ewidentnie jeszcze się do końca nie obudził. Jego głos jest ochrypły, taki, jaki może się stać tylko od mocnych alkoholi i dymu tytoniowego.

– Tu Kenneth.

– Pamiętasz mnie? – pyta Göran Möller i się przedstawia.

– Pamiętam tamtą kolację. Szmata czasu.

Powoli i starannie Göran Möller wyjaśnia, z czym dzwoni. Słyszy westchnienie kolegi po drugiej stronie i zastanawia się, gdzie może być. Na Majorce? W Egipcie? W Bułgarii? Na pewno w jakimś tanim miejscu. A może w domu, w Karlstad? Ale Göran Möller go o to nie pyta, tylko uważnie słucha.

– Do niczego nie doszliśmy z tymi psami. To była cholernie paskudna sprawa... To były charty, a one nefajnie wyglądają, kiedy są pocięte, uwierz mi. Musiały żyć, kiedy to robił, biegały po polanie w lesie. Wszędzie była krew, a ich sierść była bardziej czerwona niż biała. Nie pytaj mnie, jak to zrobił.

– Pamiętam, że wspominałeś coś o odciętym języku.

– Zgadza się. Jeden z psów nie miał języka.

– Czy to miejsce było jakieś szczególne?

– Co masz na myśli?

– Czy miało jakieś znaczenie w lokalnej historii, były jakieś legendy na jego temat?

– Teraz, gdy to mówisz... Faktycznie dzwoniła jedna osoba z miejscowego towarzystwa krajoznawczego. Podobno w siedemnastym wieku spalono na tej polanie jakąś czarownicę. Ale

co miałem począć z taką informacją?

Göran Möller wygląda przez okno na wartki strumień ludzi wchodzących o tej porze do szpitala.

– Mieliście jakichś podejrzanych?

– Nie. Ale zgłaszali się inni właściciele chartów. Wydawało im się, że śledził ich jakiś mężczyzna. Nie potrafili podać żadnego konkretnego rysopisu i mówili, że to było kilka miesięcy wcześniej.

Göran Möller bierze głęboki oddech. Kolejne pytanie jest strasznie naciągane, jeśli wziąć pod uwagę czas.

– A jakaś czarna furgonetka? Pojawiła się w śledztwie?

– Nie.

– Słyszałem, że jesteś na urlopie. Gdzie siedzisz?

– Na Wyspach Kanaryjskich. Playa del Inglés. Moja stara lubi to miejsce. Szlag by to trafił. Ale to mój ostatni urlop przed emeryturą. A więc co tam.

– Ale pozwala ci chociaż wypić jakiegoś drinka?

Jego kolega się śmieje.

– Niejednego.

Malin siedzi na swoim miejscu w otwartym pomieszczeniu biurowym. Patrzy na beżową nogawkę swoich spodni.

Ta godzina w lesie wydaje się nierzeczywista, jakby nigdy się nie wydarzyła, ale czerwone zadrapania w okolicy kostek świadczą o jej szalonych pomysłach.

Malin zmusza się, by myśleć w ten sposób o swoich dziwnych zachowaniach.

To jest jak chwilowe szaleństwo. Impulsy, którym musi ulegać, by nie ulec tym naprawdę niebezpiecznym i nie oszaleć naprawdę.

Dzwoni telefon na biurku.

To Göran Möller. Chce, żeby do niego przyszła, i chwilę później Malin otwiera drzwi i widzi go, siedzącego plecami do słońca, które świeci przez okno.

– Usiądź – mówi Göran.

Malin siada.

Möller zaczyna opowiadać jej o sprawie, o której słyszał. O psach w Karlstad i o tym, czego dowiedział się od Kennetha Johanssona.

– To może mieć jakiś związek – mówi. – A teraz ten człowiek z jakiegoś powodu przekroczył

granicę i zamiast zwierząt zaczął zabijać ludzi.

– Albo to tylko zbieg okoliczności – stwierdza Malin, kiwając głową. I dodaje: – Ale wciąż nie mamy żadnego nazwiska, nic.

– Masz jakiś pomysł?

Malin się zastanawia. Podoba jej się, że Göran zadaje jej to pytanie, jakby rozmawiali jak równy z równym. To nie jest relacja ojca z córką ani szefa z podwładną. Tylko dwoje policjantów, którzy próbują do czegoś dojść w śledztwie.

– Możemy rozesłać zapytanie do wszystkich dystryktów w kraju i sprawdzić, czy mieli jakieś podobne przypadki znęcania się nad zwierzętami. Jeśli tak, to może uda nam się znaleźć w tym jakiś wzorzec. Linię czasu. Może to jedna i ta sama osoba, która przeprowadzała się z miejsca w miejsce.

Göran Möller gwizdże cicho.

– Chcesz powiedzieć, że jeśli się przeprowadzał, to może uda nam się go wyśledzić przez ewidencję ludności? Ustalić nazwiska osób, które mniej więcej w tym samym czasie przeprowadzały się z miasta do miasta.

– Tak – mówi Malin.

– Da się w ogóle przeprowadzić takie wyszukiwanie?

– Johan na pewno będzie wiedział – stwierdza Malin, a potem Göran opowiada jej w skrócie o dawnej sprawie, którą znalazł Johan. Że to sprawdził i wygląda na to, że chłopcu dobrze ułożyło się w życiu. Jest inżynierem w Uppsali, ma żonę i troje dzieci.

– Wyślę zapytanie do dystryktów – mówi Malin. – Od tego zaczniemy.

– A przesłuchania rodzin chłopaków, którzy wyjechali do Syrii? Dały coś w ogóle? – pyta Göran.

– Nic.

– A Nadja?

– Robimy, co możemy – mówi Malin. – Tu jesteśmy zdani na mordercę. Dziewczyna może być gdziekolwiek, a my nie mamy żadnych śladów. Ale on się znów odezwie, nie sądzisz?

– Na pewno – odpowiada Göran Möller, jakby przede wszystkim próbował przekonać samego siebie.

---

**T**ak strasznie chce mi się pić. Kurczę się. Moje mięśnie chcą wody.

To jest mój grób.

Umrę tutaj, rozłożę się w ziemi, zjedzą mnie robaki.

Nie mam już nadziei.

Poddaję się. Za bardzo mnie wszystko boli.

Przestaję oddychać.

Niech was wszystkich szlag.

Obyście zdechli.

Wszyscy razem.

Nie ma mnie już w waszym świecie.

Ale zegar tyka i wyobrażam sobie, że widzę bombę kawałek dalej w ziemi, poza trumną.

Nie chcę wylecieć w powietrze.

A więc pośpieszcie się.



Malin pisze e-maila, którego rozsyła do wszystkich dystryktów policyjnych w kraju.

Pyta o sprawy torturowanych, poranionych zwierząt, psów. Może w którejś pojawił się obcięty język. Powinna móc to wyszukać we wspólnych rejestrach, ale elektroniczne dane są niekompletne. Mogą istnieć sprawy, gdzie nie wszystkie szczegóły zostały ujęte w raporcie, i przypadki, o których policjanci wiedzą, ale nigdy nie było formalnego zgłoszenia.

Wie, że e-mail zostanie rozesłany dalej do wszystkich policjantów w poszczególnych dystryktach.

Cały kraj przygląda się tej sprawie i ci, którzy mogą pomóc, na pewno to zrobią.

Malin odchyła się na krzesło.

Odpowiedzi mogą nadejść zaraz albo po jakimś czasie. Albo nie przyjść wcale.

Przez pierwsze dziesięć minut nic się nie dzieje.

Malin wstaje. Przynosi sobie kawę.

Potem spogląda w stronę wejścia. Twarz Karima. Od ostatniego razu zapuścił sobie brodę, ma teraz idealnie hipsterską długość. Popycha przed sobą dziecięcy wózek, a detektywi tłoczą się wokół niego, zaglądają do środka.

Tym razem wózek jest od Burberry. Na pewno autentyczny, myśli Malin i mimo woli uśmiecha się pod nosem. Przypomina sobie wózek Tove. Kiepski używany Brio.

Tove.

Nie.

Karim. To ty.

Nieskazitelnie ubrany, jak zawsze. Brązowy nakrapiany krawat, na którym pewnie nie raz były ślady po jedzeniu dla dziecka.

Malin podchodzi do pozostałych. Zagląda do wózka, widzi śpiące dziecko i czuje, jak niewidzialne dłonie chwytają ją za serce, oczy stają się wilgotne. Nie potrafi nie rozpaczać nad tym, czego nigdy nie było i nigdy nie będzie. Ale panuje nad tym.

– Jest śliczny – mówi do Karima. – Podobny do ciebie, bez tej brody.

Karim się śmieje.

– Na szczęście jest podobny do mamy.

I Malin uświadamia sobie, że tęskniła za Karimem. Zawsze pomagał im w trudnych śledztwach i bez jego elegancji posterunek wydaje się uboższy. Komendanta policji zastępuje jakiś bezbarwny prokurator, który prawie nigdy się nie pokazuje.

– Kiedy wracasz? – pyta go.

– Za dwa miesiące.

– Tęsknisz za pracą?

Kiwa głową, zagląda do wózka i mówi:

– Jest cudowny. Fajnie móc się z nim bawić.

Malin wraca do swojego komputera. Widzi, że dostała dwa nowe e-maile.

Jeden z Umeå, drugi z Örebro.

W Örebro mieli przypadek dwóch kotów znalezionych w parku. Koty zostały pocięte nożem, policjant, który o tym pisze, jest tego pewny. Nie wszczęto jednak śledztwa, bo szef uznał, że koty same mogły się tak poranić pazurami.

„Ale to były ewidentnie rany od noża. I jeden z kotów miał odcięty język”.

Sprawa z Umeå jest zaledwie sprzed roku. Nad rzeką znaleziono żywego charta. Z początku wyglądało na to, że z psem jest wszystko w porządku. Potem weterynarz ze schroniska, w którym policja zostawiła psa, oddzwonił do nich i poinformował, że ktoś wyciął mu struny głosowe.

Również w tej sprawie nie wszczęto śledztwa. Bądź co bądź chodziło tylko o psa.

Malin wysyła kolegom e-maile z podziękowaniem. Myśli o tym, że te wydarzenia się nie nakładają. Te przypadki zdarzyły się w różnych miejscach i w różnym czasie i tworzą długą linię czasu, obejmującą ponad dziesięć lat.

Podchodzi do Johana. Ma nadzieję, że będzie potrafił coś zrobić z tymi informacjami.

– Powinno dać się przeprowadzić jakieś wyszukiwanie – stwierdza Johan, nie odrywając wzroku od monitora.

Wydaje się dziś bardziej ożywiony, od dawna taki nie był. Musiał się naprawdę dobrze wyspać. Może jego córkę nic nie bolało? A może dziś w nocy żona jakoś szczególnie uprzyjemniła mu życie? W każdym razie wygląda, jakby z serca spadł mu jakiś ciężar.

Malin przysuwa sobie krzesło. Zakłada nogę na nogę i pochyla się w stronę Johana.

– To nie będzie jakieś szczególnie dokładne wyszukiwanie. Ale jeśli wprowadzę pewne parametry, powinienem uzyskać przybliżoną listę osób, które mieszkają teraz w Linköpingu, a w ciągu ostatnich dziesięciu lat mieszkały w Karlstadzie, Umeå i Örebro.

– Tych, którzy mieszkali we wszystkich tych miastach? – pyta Malin.

– Co najmniej w jednym – odpowiada Johan. – Czasem w dwóch albo w trzech.  
– To będzie mnóstwo nazwisk. Ludzie ciągle sprowadzają się do Linköpingu. Na studia.  
– I za pracą – dodaje Johan. – Jest tu sporo firm, które są dla ludzi pośrednim etapem w karierze.

– To przeprowadź to wyszukiwanie – prosi Malin. – Ile ci to zajmie?

– Daj mi jakąś godzinę – mówi Johan.

– Nie możesz szybciej?

Johan odrywa wzrok od monitora. Patrzy na nią, jakby była idiotką.

– Przecież wiesz, Malin, że poczytuję sobie za punkt honoru, żeby pracować jak najwolniej.

Tysiąc nazwisk. Coś koło tego.

Tysiąc mężczyzn w wieku od osiemnastu do sześćdziesięciu pięciu lat. Któryś z nich może być tym, którego szukają. Johan wydrukował listę, która rozwija się niczym wąż na stole w sali konferencyjnej.

Dzieci bawią się na przedszkolnym podwórku.

Malin podchodzi i otwiera okno. Wpuszcza do środka ich śmiech, okrzyki i wszystkie uczucia, jakie niosą w sobie ich głosy, wszystkie ich oczekiwania.

Johan wiesza listy na ścianie, a Malin, Zeke, Elin i Göran zajmują swoje miejsca. Tak wiele nazwisk, tak mało czasu.

– Nie możesz tak tego ustawić, żeby dostać listę tych w wieku od trzydziestu do czterdziestu pięciu lat? – pyta Göran Möller. – To znaczy w przypuszczalnym wieku mordercy.

Johan kręci głową.

– Bardziej już tego nie uściślę. Mam przedział od pełnoletności do wieku emerytalnego. Resztę musimy zrobić ręcznie.

Wstają, idą po długopisy, potem dzielą się nazwiskami, wykreślają wszystkie osoby w niewłaściwym wieku, niemieszczące się w przedziale podanym przez Vivecę.

Zostaje im czterysta nazwisk.

– Za dużo – mówi Malin. – Możemy ich jeszcze jakoś podzielić?

– Według stanu cywilnego? Viveca Crafoord mówiła ci chyba, że najprawdopodobniej jest samotny? – podsuwa Zeke.

– Zróbmy tak – decyduje Göran Möller.

Po półgodzinie udaje im się wyodrębnić z listy wszystkich samotnych.

Zostaje im ponad sto pięćdziesiąt nazwisk.

– Wyciągniemy ich zdjęcia paszportowe – mówi Göran Möller. – Pokażemy je Mehmetowi Khoniemu, Juliannie Raad i innym, którzy mogli widzieć mężczyznę w kapturze albo mogą sobie coś przypomnieć, gdy zobaczą zdjęcie. Wrzucie ich też do rejestru pojazdów. Może tam coś znajdziemy. Dowiemy się, którzy z tych mężczyzn mają furgonetkę.

Johan wstaje i wychodzi z sali. Malin i reszta wciąż siedzą.

– Wreszcie mamy z czym pracować – mówi Malin.

– Jeśli zdjęcia ani sprawdzenie w rejestrze pojazdów nic nie da, musimy zacząć ich sprawdzać jednego po drugim. Pod kątem aktywności w Internecie albo jakimkolwiek innym, który ma coś wspólnego ze sprawą – stwierdza Elin.

– Możemy ich też wyszukać w rejestrze karnym – mówi Göran. – Sprawdzić, czy figurują w jakiejś starej sprawie znęcania się nad dzieckiem.

Ktoś puka do drzwi.

Ebba z recepcji wchodzi, nie czekając na odpowiedź. Trzyma w ręce kasetę wideo.

– Właśnie to dostałam od techników. Przysłali im to wczoraj z urzędu hrabstwa. Chcą, żebyście natychmiast to obejrżeli. Oznaczyli czas.

Trzydziesta piąta minuta i czterdziesta sekunda filmu. Czarna furgonetka zatrzymuje się w ciemnej ulicy. Zegar w dolnym rogu pokazuje 01.53. Data: piętnasty maja.

Nie da się odczytać numerów rejestracyjnych pojazdu. Przednia szyba jest przyciemniana i ledwie mogą rozróżnić zarysy sylwetki.

Kierowca wyłącza silnik, gasi światła i sylwetka znika z miejsca za kierownicą. Potem nic.

I nic.

O godzinie 02.02 otwierają się drzwi furgonetki, a sekundę później w kadr wtacza się jakiś młody mężczyzna, ewidentnie pijany. Podchodzi do otwartych drzwi samochodu. Zagląda do środka, jakby zaciekawiony, wchodzi do wozu, a po chwili drzwi się zatraskują i Malin dostrzega, że furgonetka lekko drży. Trzydzieści sekund później włącza się silnik i samochód odjeżdża.

– To volkswagen transporter – stwierdza sucho Zeke.

Serce Malin bije szybciej.

Czy Peder Åkerlund został zamordowany tam, o 2.02, czy umarł później, w jakimś innym miejscu? Czy wstrzyknięto mu kwas solny do mózgu już w samochodzie?

Bo ten mężczyzna na filmie to był – jest – Peder Åkerlund.

Znów oglądają wycinek zapisu.

I jeszcze raz.

– Nieczęsto widuje się takie rzeczy – stwierdza Göran Möller.

– I całe szczęście – dodaje Elin.

Drzwi sali znów się otwierają.

– Przeprowadziłem wyszukiwanie w rejestrze pojazdów – mówi Johan. – Jedenaście osób

z naszej listy ma furgonetkę.

– A ilu ma volkswagena transportera? – pyta Malin.

– Jak to?

Pokazują Johanowi film, a Malin przegląda w tym czasie jedenaście nazwisk z listy.

– Pięciu – stwierdza i wstaje.

– A niech mnie! – mówi Johan.

Najpierw dzieje się wszystko naraz, potem nic. A potem znów wszystko naraz.

Malin podchodzi do tablicy, wypisuje nazwiska mężczyzn.

*Johan Skogdahl*

*Jonas Ahl*

*Wilmer Gregory*

*Gustav Friberg*

*Stefan Ingvarsson*

Znów pukanie do drzwi.

Młoda dziewczyna w mundurze podaje im stertę wydrukowanych zdjęć paszportowych.

– Żaden nie figuruje w rejestrze karnym – mówi.

– Mamy jedenastu mężczyzn, którzy posiadają furgonetki – stwierdza Johan i dziękuje dziewczynie.

Odnajduje zdjęcia pięciu właścicieli volkswagenów, rozkłada je na stole.

– Nigdy żadnego z nich nie widziałam – oświadcza Malin, choć w brodatym mężczyźnie o nazwisku Jonas Ahl dostrzega coś znajomego.

– Ja też nie – dodaje Elin Sand, a Göran Möller i Zeke kręcą głowami.

– Ale jeden z nich może być naszym człowiekiem – mówi Göran i Malin cieszy się, że przejął dowodzenie, choć najprawdopodobniej ten trop donikąd nie prowadzi. Malin próbuje odsunąć od siebie wątpliwości.

– Co o nich wiemy? – pyta.

– Nic – odpowiada Johan. – Nic oprócz tego, że nie figurują w rejestrze karnym.

Malin zbiera zdjęcia i mówi:

– Ja i Zeke pokażemy je Juliannie. I Mehmetowi Khoniemu. Jest tu jeszcze?

Pozostali patrzą na nią ze zdziwieniem.

– Siedział w areszcie. To długa historia.

– Będziesz musiała sama sprawdzić – mówi Möller.

– A ty pogrzeb w ich danych – Malin zwraca się do Johana. – Elin, pomóż mu. – I widzi, że Göran Möller się uśmiecha.

– Tak zrobimy, Malin.

Gdy wychodzi z sali, dzwoni jej komórka. To ta organizacja, która wysłała Tove do piekła. Niech ich szlag.

Malin odbiera i rozmawia z Lisą Jansson, schodząc z Zekem na dół do aresztu.

Ta cholerna baba opowiada, że Tove i pozostałe dziewczyny mogą przebywać w innej, jeszcze bardziej odległej górskiej wiosce, gdzie zabrali ich jacyś ludzie po tym, jak zepsuł im się samochód.

– Mamy taką nadzieję – ciągnie Lisa Jansson. – Próbujemy zorganizować helikopter, żeby jak najszybciej się tam dostać.

– Dobra.

Malin kończy rozmowę. Dobre wieści. Bo chyba należy to uznać za dobre wieści?

Są już pod drzwiami aresztu i strażnik wpuszcza ich do środka. Drzwi celi Mehmeta Khoniego są otwarte.

Mehmet Khoni marszczy brwi, mówi:

– Nigdy nie widziałem żadnego z tych mężczyzn.

Czuć od niego woń potu, a jego oddech wydaje się dobiegać z głębi trzewi.

Nie mogli ci dać szczoteczki do zębów? – myśli Malin. I zdaje sobie sprawę, że jeszcze chwilę temu tylko ona i strażnicy wiedzieli, że mężczyzna tutaj jest.

– No dobra – mówi Zeke. – Jak długo zamierzasz tu zostać?

– Dopóki nie złapiecie tego wariata albo dopóki ktoś mnie nie wyrzuci. Donikąd mi się nie śpieszy. Chyba lepiej tu siedzieć, niż być martwym.

– Zapytaj o to jakiegoś martwego – mówi Malin.

Mehmet się uśmiecha, a Zeke chichocze za jej plecami. Dowcip przypadł im do gustu.

Zostawiają Mehmeta, idą do celi Julianny Raad.

Strażnik przekręca klucz w zamku i Julianna zrywa się z pryczy, pewnie spała, a oni obudzili ją z jakiegoś pięknego snu.

Ostro.

Ale nie brutalnie.

Malin rozkłada zdjęcia na podłodze celi.

Julianna znów siada na pryczy i przygląda im się uważnie.

Kręci głową.

– Nie poznaję żadnego z nich.

– Jesteś pewna? – pyta Malin.

Julianna pochyla się, przeciera oczy.

– Jestem jeszcze strasznie zaspana.

– Czyli nigdy żadnego z nich nie widziałaś? – pyta Zeke.

– A jeśli widziałam, to co mogę z tego mieć? Możecie mnie stąd wyciągnąć?

– W Szwecji to tak nie działa i świetnie o tym wiesz – mówi Malin. – Co się stało, to się nie odstanie. Ale na pewno mogę skłonić prokuratora, żeby wnioskował o lżejszy wymiar kary, jeśli nam pomożesz.

– Obiecujesz?



– Obiecuję, że zrobię, co będę mogła. – I Malin czuje łaskotanie w żołądku, które szybko przeradza się w złość.

Dwa brutalne morderstwa, a ona tu siedzi i się z nami targuje. W dodatku po tym, jak do mnie strzelała. Powinna się cieszyć, że nie spuszczy jej lania.

– Znaleźliście Nadję? – pyta Julianna.

Malin kręci głową.

– Zrób, jak chcesz z tym prokuratorem – mówi Julianna. – Ale poznaję tego tutaj.

Wskazuje na mężczyznę na środkowym zdjęciu. Pospolity wygląd, prosty nos, broda, ciemnobrązowe włosy. Można by w ten sposób opisać setki tysięcy Szwedów.

– Kto to? – pyta Zeke.

– Nie wiem, jak się nazywa.

Ale my wiemy, myśli Malin.

– To chyba on się na mnie gapił. W kawiarni w bibliotece. Teraz sobie przypominam. To był on.

Malin patrzy na zdjęcie.

*Jonas Ahl.*

To ty jesteś naszym człowiekiem?

Nadja często przesiadywała w bibliotece. Zobaczyłeś ją tam?

I do Malin dociera, kim jest ten mężczyzna. To na niego przypadkiem się natknęła, to on popychał wózek z książkami na dolnym poziomie biblioteki. Przez chwilę rozmawiali. Pracował tam. Miał zupełnie inną fryzurę i nie nosił już brody. Ale to na pewno ten sam człowiek.

I przypomina sobie wiadomość, którą znaleźli w cielecym języku:

*Będę utrwalac słowa.*

Nawiązuje do swojej pracy konserwatora?

– Dzięki – mówi Malin. – Zobaczymy, dokąd nas to doprowadzi.

Biegna do otwartego pomieszczenia biurowego, pędzą do Johana Jakobssona, a Elin do nich dołącza, gdy widzi, jak bardzo im się śpieszy.

Krótko relacjonują, co się stało.

– Jonas Ahl. Jeszcze do niego nie dotarłem – mówi Johan.

– Ja też nie – dodaje Elin, a potem Johan gorączkowo stuka w klawiaturę, pozostali stoją tuż za jego plecami.

– Co to za jeden? – pyta Malin. – I roześlijcie informację o poszukiwaniu jego furgonetki.

– Już się robi – rzuca Elin.

– Mieszka przy Piongatan 16 – mówi Johan. – W centrum miasta. Pracuje jako konserwator w głównej bibliotece.

Johan stuka dalej.

– Studiował w Göteborgu, mieszkał w Malmö, w Karlstadsie i Örebro.

Chwila milczenia.

– I w Umeå.

Znów chwila ciszy.

– Wprowadził się do gminy ponad pół roku temu.

– I dopiero wtedy się uaktywnił – stwierdza Malin.

– Okres w Karlstadsie zbiega się w czasie z tą sprawą znęcania się nad zwierzętami. W Umeå też.

Malin znów przygląda się zdjęciu.

Co powinni teraz zrobić?

Zgarnąć go i przycisnąć, żeby powiedział, gdzie jest Nadja? Czy spróbować go śledzić, zobaczyć, z czym się zdradzi?

Pobawić się z nim trochę?

Ale nie ma czasu na zabawy. Malin to czuje.

Jeśli kiedykolwiek pośpiech był konieczny, to właśnie teraz.

Równocześnie ma wrażenie, że nią, nimi wszystkimi, wciąż steruje ktoś inny. Jonas Ahl, jeżeli to jego ścigają, musiał się domyślać, że prędzej czy później do niego dotrą. Może wie więcej o tym, co robimy, niż nam się wydaje?

Ale o tym nie może wiedzieć.

I jeśli teraz go nie powstrzymamy, wydarzy się coś jeszcze.

– Tak jak mówiłem, nie figuruje w rejestrze karnym. Urodził się w Växjö. Mogę sprawdzić, czy tamtejsza opieka społeczna ma coś na jego temat, ale to może chwilę potrwać.

– Coś jeszcze? – pyta Zeke.

Równocześnie dzwoni telefon Malin.

Nieznany numer.

Coś nowego o Tove?

Malin odbiera połączenie, nim jej myśli zdążyły powędrować do córki.

Jakaś kobieta się przedstawia.

Petra Stålek.

– Rozmawialiśmy wczoraj w bibliotece. Wypytywała mnie pani o pewnego mężczyznę, czy widziałam tu kogoś w czarnym kapturze, ale wtedy nikt nie przychodził mi do głowy. Teraz skojarzyłam, że nasz konserwator, Jonas Ahl, faktycznie nosi czasem czarną bluzę z kapturem. Nawet kiedy na dworze jest zimno, potrafi przychodzić tylko w tej bluzie.

– Dziękuję – mówi Malin. – Jeśli Jonas tam jest, proszę spróbować go zatrzymać, póki nie przyjedziemy.

– A to dlaczego?

– Musimy z nim porozmawiać. Proszę nie wspominać o policji. Ludzie zaczynają się wtedy denerwować. Niech pani tylko spróbuje zatrzymać go na miejscu.

– Chyba w ogóle go nie ma.

– Już jedziemy – mówi Malin.

Jako konserwator Jonas Ahl ma dostęp do chemikaliów, myśli Malin, wchodząc z Zekeem do biblioteki.

W wielkim pomieszczeniu jest gorąco. Słońce praży przez okna sięgające od kamiennej posadzki do sufitu, dziesięć metrów wyżej.

Na pewno mógł łatwiej niż inni zdobyć chemikalia.

Kwas solny.

Substancje, którymi można odurzyć człowieka.

Idą prosto do recepcji. Spogląda na nich niska, chuda kobieta z mysimi włosami obciętymi na pazia.

– Szukamy Jonasa Ahla – mówi Malin. – Przed chwilą rozmawiałam z Petrą Stålek.

– Jonas ma dziś wolne. Chodzi o coś ważnego? Ale ja przecież panią znam! Jesteście z policji.

– Powinniśmy o tym wspomnieć – mówi Zeke. – Przepraszamy.

Petra Stålek wynurza się z głównej sali. Jest ubrana w zielony sztruksowy kostium, który pasuje do jej rudych włosów.

Podają sobie ręce.

– Nie ma go tu – informuje kobieta. – Wygląda na to, że w tym tygodniu wziął sobie parę dni wolnego.

Malin kiwa głową.

– Jest pani szef? To znaczy, dyrektor biblioteki?

– Zaraz do niej zadzwonię.

Pięć minut później Malin i Zeke stoją pod wściekle różowymi drzwiami w części administracyjnej. Pukają i z pokoju dobiega szorstki kobiecy głos.

– Proszę wejść.

Wchodzą.

Za klinicznie czystym biurkiem siedzi kobieta w wieku około czterdziestu pięciu lat, ubrana w szary kostium. W jej twarzy najbardziej rzuca się w oczy spiczasty nos, a ciemne włosy są upięte w prosty kok.

Wygląda jak dyrektorka banku, myśli Malin. Kobieta przedstawia im się jako Sigrid Trulsson

i prosi, żeby usiedli.

– Chcieliście państwo porozmawiać o Jonasie – zaczyna i wyłącza telefon. – Jest w coś zamieszany?

Nie wiemy, myśli Malin.

– Nie możemy tak powiedzieć – odpowiada Zeke.

– Czego chcecie się państwo o nim dowiedzieć?

– Kiedy zaczął tu pracować? – pyta Malin.

– Pół roku temu. Wcześniej pracował w Muzeum Hrabstwa w Örebro, a potem w muzeum Västerbotten. Z obu tych miejsc miał dobre referencje. Co takiego zrobił? Trudno mi sobie wyobrazić, żeby wplątał się w coś głupiego. To nie ten typ.

– Może nic nie zrobił – odpowiada Malin. – A jaki typ ma pani na myśli?

– Małomówny i silny – śmieje się Sigrid Trulsson. – Ale żarty na bok, nie znam go aż tak dobrze. W każdym razie jest świetnym konserwatorem. Posiadamy w naszych zbiorach bezcenne starodruki, a on zajmuje się nimi, jakby były jego dziećmi. I nie waha się też pomagać przy innej pracy, jeśli znajdzie taka potrzeba. Książki są ciężkie, więc czasem pomaga je nosić. Jest silny. A coś takiego naprawdę przydaje się w bibliotece.

– Sprawiał jakieś problemy? – pyta Malin.

Sigrid Trulsson patrzy na nią ze zdziwieniem.

– Jakiego rodzaju?

– Jakiegokolwiek – mówi Zeke.

– Absolutnie żadnych, zapewniam.

– Nigdy nikomu nie groził? Nie był agresywny?

– Agresywny? Nie, uchowaj Boże.

– Może ma jakieś skrajne poglądy polityczne? – dopytuje Zeke.

– Nie, nic z tych rzeczy. Kiedy się nad tym zastanawiam, wydaje mi się, że chyba jest samotnikiem. Najlepiej czuje się sam ze sobą.

Malin wie, że ta rozmowa donikąd nie prowadzi.

– Ma tu jakąś pracownię? – pyta.

Sigrid Trulsson kiwa głową.

– Możemy się tam rozejrzeć?

– Oczywiście.

Przypominający laboratorium pokój znajduje się w piwnicy i nie ma w nim żadnych okien. Na

kilku sztalugach stoją stare manuskrypty. Obok, na niskim stoliku leżą szczoteczki. W białej przeszklonej szafce buteleczki z chemikaliami. Symbole chemiczne nic Malin nie mówią, ale rozpoznaje jeden z wzorów.

Kwas solny.

– Czy Jonas może kupować służbowo wszystkie chemikalia, jakich potrzebuje?

– Tak, ma na to moją zgodę. Sam przygotowuje potrzebne mieszanki. Ma ogromną wiedzę.

– Możemy obejrzyć jego listy zakupów?

– Tak, ale to trochę potrwa.

– Im szybciej, tym lepiej.

– Ma jakiś komputer? – pyta Zeke.

– Ma, ale zabiera go do domu, kiedy ma wolne.

– Tak, mówiono nam w recepcji, że dziś ma urlop. Wie pani może, gdzie jest?

– Nie mam pojęcia.

Malin przemierza pomieszczenie. Przerzuca papiery na biurku, przegląda segregatory na regale, szuka jakiegoś znaku, że Jonas Ahl jest tym, którego szukają, ale nie znajduje nic godnego uwagi. Na stoliku leży otwarta książka. *Zapomniane miejsca Szwecji*.

– Dziękujemy, że poświęciła nam pani czas – mówi Malin. Wychodzą z podziemi na majowe słońce. – Pora jechać do niego do domu – decyduje i widzi, że ma nieodebrane połączenia od Görana Möllera.

Elin Sand stoi i czeka, podczas gdy Börje Svärd manipuluje wytrychem przy drzwiach mieszkania Jonasa Ahla na Piongatan.

Przysłał ich tu Göran Möller. Upominał ich, żeby byli ostrożni, i teraz stoją na okazałej klatce schodowej z bronią w rękach.

Nikt nie otworzył, gdy przed chwilą dzwoniли do drzwi.

Z mieszkania nie dobiegały żadne dźwięki.

Börje pracuje z wytrychem w jednej ręce i pistoletem w drugiej. Klnie i Elin widzi, że jest spocony.

Po drodze, w samochodzie, był zadowolony i podekscytowany. Wygląda na to, że dyrektorka Folkungaskolan zadzwoniła do niego i że się spotkali. Börje wyraźnie sugerował, że spędziła z nim noc. Był dumny ze swojego ostatniego podboju jak jakiś nastolatek i Elin to rozbawiło.

Ale w jego radości nie ma nic z głupiego macho, już prędzej ciekawość. Wygląda na to, że kobiety nigdy nie przestaną go interesować.

I może rzeczywiście coś czuje do tej dyrektorki?

Elin nie wie dlaczego, ale zmienia pozycję, staje obok Börjega, zamiast za jego plecami. Czuje, że jej serce zaczyna bić szybciej. Strach i zdenerwowanie pompują do ciała adrenalinę.

Dwa szybkie kliknięcia zamka.

– I już – mówi Börje.

Wsuwa wytrych do kieszeni marynarki i Elin widzi, jak naciska klamkę, drzwi otwierają się na zewnątrz, a potem dociera do niej tylko potężny rozbłysk światła i ma wrażenie, że świat się kurczy, że coś napiera na błony bębenkowe, a oczy wciskają się aż do mózgu.

I gorąco.

Gorąco, które niszczy wszystko na swojej drodze.

– Wysłałem Elin i Börjega do jego mieszkania – mówi Göran Möller, gdy Zeke i Malin mijają salę koncertowo-kongresową. – Nie chciałem czekać.

Zeke za kierownicą, Malin na miejscu pasażera.

– Co znaleźli? – pyta Malin. Chciała pojechać tam pierwsza i Möller o tym wie.

– Pewnie dopiero dojeżdżają na miejsce.

– Dobra. Jedziemy tam.

– Nie chciałem czekać po tym, czego Johan dowiedział się od opieki społecznej w Växjö.

Jonas Ahl tam dorastał.

– Mieli go w swojej bazie?

– Zrobiło mi się niedobrze od tego, co usłyszałem – mówi Göran Möller.

– No to mów już, do diabła.

Malin włącza zestaw głośnomówiący w swojej komórce i słowa Görana wypełniają kabinę, spływają jak żółtobrazowa ropa po ścianach, ściekają kroplami z sufitu.

– Wygląda na to, że ojciec Jonasa zabił jego matkę, gdy chłopak miał dziewięć lat. Nasypał jej ziemi do ust i zostawił syna w mieszkaniu, samego z jej zwłokami. Rodzina znalazła ich po czterech dniach. Jonas Ahl siedział przy ciele matki i grzebał w ziemi w jej ustach. Potem przez wiele lat nie odzywał się ani słowem. Mieszkał u różnych rodzin zastępczych, ale chyba nikt nie mógł znieść jego milczenia.

Czy dziecko może być bardziej samotne?

Najbardziej samotne na świecie.

– Jego ojciec był wtedy lubianym politykiem w regionie. Socjaldemokrata, zajmował się aktywnie kwestiami sprawiedliwości społecznej. Działał na samym szczycie na rzecz

niepełnosprawnych. Matka Jonasa pisała pamiętnik, z którego wynika, że bił ją i chłopca. Był bardzo brutalny i despotyczny. Równocześnie, jako lokalny polityk, propagował złagodzenie zasad życia społecznego.

– A w swoich czterech ścianach był diabłem.

– Tak, taki typ w stylu Kapitana Sukienki.

– Wszystko pasuje.

Suliman i Peder. Ich afiszowanie się z dobrocią, która miała ukryć obrzydliwe poglądy i czyny.

Zabijasz ojca, prawda, Jonasie?

Ale Nadja? Dlaczego ona? Musiała zrobić coś, co sprawiło, że również u niej dostrzegłeś podwójną naturę.

– Czekać! – krzyczy nagle Göran Möller. – Kurwa, czekać! Mam zgłoszenie. Wybuch przy Piongatan. Cholera.

– Już tam jedziemy – mówi Malin.

– Kurwa, mówiłem im, żeby byli ostrożni.

Elin.

Börje.

Malin kończy rozmowę. Czuje, jak Zeke wciska pedał gazu, i w tej samej chwili piszczy jej komórka.

Esemes.

Potrafisz uratować to, czego ja nie potrafię?

Ty świnió, myśli Malin. Ale Nadja żyje, chyba to próbujesz powiedzieć?

A może chodzi ci o coś innego?



Daniel Högfeldt jest zmęczony po długiej zmianie w gazecie. Szybko pokonuje pięćset metrów dzielące redakcję od jego mieszkania, chce jak najszybciej położyć się do łóżka.

Przed chwilą słyszał w oddali wybuch i założył, że te dźwięki dobiegają z fabryki Saaba, pewnie przeprowadzali test jakiegoś systemu uzbrojenia.

Wsuwa klucz w zamek. Kiepsko spał w nocy, chciał czuć obok siebie Malin, ale nie było jej i łóżko wydawało się o wiele mil kwadratowych za wielkie, zimne i samotne. Nigdy do tej pory nie czuł czegoś takiego.

Chciałby do niej zadzwonić, ale wie, że jest zajęta.

Zsuwa spodnie, bluzę.

Opuszcza żaluzje, rolety i w pomalowanym na biało pokoju robi się ciemno. Daniel zastanawia się, czy próbować znaleźć opaskę na oczy; kupił ją sobie przed podróżą do Nowego Jorku, z której nic nie wyszło. Ale nie potrzebuje opaski. Jest tak zmęczony, że zaśnie bez niej.

Wpełza do łóżka. Podciąga kołdrę pod samą brodę i czuje w pościeli tylko własny zapach. Malin nie spała tu, odkąd zmieniał pościel.

Zamyka oczy. Oddycha, próbuje o niczym nie myśleć, ale świadomość wędruje do komentarzy pod jego przeglądem wydarzeń. Zwłaszcza do jednego, który redaktor usunął.

Jakiś człowiek z nickiem „Mandela” dawał upust nienawiści za to, że Daniel pozwolił sobie na własne zdanie o tych morderstwach. Powinien trzymać gębę na kłódkę, bo inaczej spotka go to samo co Hajifa i Åkerlunda.

Szaleńcy.

Roi się od nich w sieci.

Zdecydowanie zbyt łatwo jest kliknąć „wyślij”.

I ludzie chętnie to robią.

Innych komentarzy nie pamiętał i przed jego oczami pojawiają się obrazy Malin i Tove. Widzi ją w Kongu, gdzieś w dżungli, całą i zdrową, i z tym obrazem pod zamkniętymi powiekami Daniel Högfeldt zasypia.

Nie słyszy, że pięć minut później drzwi mieszkania się otwierają, że do łóżka podkrada się mężczyzna z wilgotną szmatką w ręce i przyciska mu ją do nosa.

Sen się zmienia, staje się głębszy niż kiedykolwiek dotąd. Obrazy znikają.

Jasna ciemność o czerwonych krawędziach.

I Daniel Högfeltd nie czuje, że mężczyzna upycha jego ciało w ogromnej torbie i opuszcza mieszkanie. Nie wie, że torba ląduje w bagażniku samochodu. Uruchamia się silnik i samochód odjeżdża w nieznanym kierunku.

Co się dzieje? Malin wypada z samochodu, biegnie do karetki, która stoi na ulicy pod kamienicą w kolorze ochry.

Kogo właśnie niosą na noszach do karetki?

Kogo?

To Börje. Pod maską tlenową widzi jego osmaloną, czerwoną twarz.

Zna jednego z ratowników.

Co z nim? – pyta go spojrzeniem.

Mężczyzna kręci głową i Malin spogląda na wejście do budynku i wozy strażackie, widzi strażaków wbiegających na klatkę i innych, w mundurach, którzy próbują trzymać gapiów na dystans.

Udaje jej się chwycić dłoń Börjego, ścisnąć ją, a potem drzwi karetki się zatraskują i samochód odjeżdża.

Malin się odwraca.

Na trawie pod domem siedzi Elin owinięta w żółty koc. Jej twarz jest czarna od sadzy, ale wydaje się, że jest cała. Malin podchodzi do niej, przykłada, kładzie rękę na jej ramieniu.

– Nic ci nie jest?

Elin patrzy na nią, pokazuje na uszy.

– Nic nie słyszę.

Malin wyraźnie porusza ustami.

– Nic ci nie jest?

Elin kiwa głową.

– Mieliśmy wejść do mieszkania, Börje otworzył drzwi wytrychem i wtedy huknęło.

– Był tam Jonas Ahl?

– Z tego, co wiem, mieszkanie jest puste.

Malin głaszcząc Elin po policzku, wstaje. Widzi Görana Möllera, Zekego i Waldemara. Stoją pod drzewem, oglądają coś na komórkach.

Może czytają wiadomość? Przesłała ją do wszystkich.

Potrafisz uratować to, czego ja nie potrafię?

W oczach Gorana i Zekego jest strach, strach płynący ze świadomości, że nad niczym nie mają kontroli. Że życie zmieniło się w błotną lawinę.

Próbują zrozumieć, co się dzieje, ale nie potrafią i Malin ma wrażenie, że Linköping i okolice, do niedawna tak spokojne, są rozdzierane i niszczone. Że jeden mężczyzna – jego wściekłość i zagubienie, nienawiść i miłość – może sprawić, że zawali się całe miasto.

Znowu piszczy jej komórka.

Dwie precyzyjne współrzędne, z dokładnością co do dziesięciu centymetrów.

Malin biegnie do Zekego, Görana i Waldemara, równocześnie dzwoniąc do Johana. Podaje mu współrzędne. Sama mogłaby to zrobić na telefonie, tylko jak to się, kurwa, robi?

– Dostałam nową wiadomość. Same współrzędne.

– Mógł zastawić kolejną pułapkę – mówi Göran Möller. – Od teraz musimy być jeszcze ostrożniejsi.

– Mamy na to czas?

– Musimy mieć.

– Nie wydaje mi się – odkasłuje Waldemar.

– Dziewczyna żyje – mówi Malin.

Widzi w wyobraźni helikopter nad gęstą dżunglą. Tove stoi na kamieniu na jakiejś polanie i macha ręką.

Dzwoni telefon.

Johan.

– To opuszczona działka w Ljungsbro, w dawnej dzielnicy willowej. Jeśli współrzędne się zgadzają, to studnia na tyłach domu.

Podaje jej adres i Malin szarpie Zekego za rękę.

– Jedziemy.

– A wy gdzie się, do diabła, wybieracie?! – Göran wygląda, jakby chciał ich powstrzymać.

– Tam, gdzie on chce. A jak myślałeś?

– Nigdzie się nie ruszycie bez saperów.

– Są zbyt wolni – mówi Malin. – Wtedy może być za późno.

Patrzy w stronę grupki dziennikarzy, którzy pojawili się na miejscu. Nie ma wśród nich Daniela. Jest w domu i śpi, myśli szybko Malin.

Komórka znowu piszczy.

Śpiesz się, śpiesz, zegar tyka.

– Nie powstrzymasz mnie – mówi Malin, odwraca się i biegnie do samochodu. Zastanawia się, czy Zeke ruszył za nią, i gdy otwiera drzwi od strony kierowcy, słyszy jego głos tuż za plecami.

– To moje miejsce.

Obiega samochód, siada na miejsce pasażera, spogląda na Görana Möllera i Waldemara, którzy im machają, mówi bezgłośnie:

– JEDŹ, jedź, jedź.

Betonowe pudła programu „milion mieszkań” w Skäggetorps, jeszcze bardziej przytłaczający budynek Ikea, żyzna równina i pola w odcieniach brązu. Niebo jest zamglone i wody Roxen wydają się matowe, a czerwone żołnierskie gospodarstwa, teraz przerobione na skromne domki letniskowe, zdają się nikać w wieczornym powietrzu, jakby połykane przez niewidzialnego olbrzyma.

Wieża klasztoru Vreta.

Mijają miejsce, gdzie znaleziono pierwsze zwłoki, z drogi widać wysokie drzewa przy śluzach.

Wypalony mózg Pedera Åkerlunda.

Odcięty język Sulimana Hajifa.

Wypełnione ziemią usta matki Jonasa Ahla.

Przejeżdżają pod wiaduktem w Ljungsbro, mijają tereny dawnych sadów i są w Källhemmet. Potem skręcają w Bohagsvägen, zatrzymują się pod numerem pięćdziesiąt siedem.

Stary, otynkowany dom chyli się ku upadkowi.

Zarośnięty ogród.

Wysiadają z wozu.

Wylecimy zaraz w powietrze? – myśli Malin. Jest tu kolejna bomba?

Spogląda na Zekego. W jego oczach widzi determinację. I nic poza tym. Właśnie w takich sytuacjach ujawnia się jego prawdziwe ja. Nie cofnie się nawet o milimetr.

Przechodzą na tyły domu. Ogród jest otoczony wysokim, zwartym żywopłotem. Tu Jonasowi Ahlowi nikt nie przeszkadzał.

Kamienie studni porasta szarozielony mech.

Studnia, myśli Malin. Sięga głęboko w ziemię. Skrzynki też były zakopane głęboko.

Spoglądają w jej ciemność i Malin się zastanawia:

Jesteś tam na dole, Nadja?

Wrzuca do studni kamyk. Nie słychać plusku, tylko głuchy odgłos. Trzy sekundy. Jakies dziesięć metrów do dna.

Na pewno tutaj chciał nas przyprowadzić.

– Mamy linę w samochodzie?

– Mamy – odpowiada Zeke i biegnie po nią.

Malin stoi sama przy studni. Woła w nią.

– Nadjo, Nadjo, idziemy po ciebie! Nie poddawaj się.

Zejdę tam, myśli Malin. Zejdę w ten mrok i cię wyciągnę. Może razem wylecimy w powietrze?

Zeke wraca z liną. Przywiązują ją do jabłoni o szorstkim pniu. Zeke chwyta linę i mówi:

– Ja to zrobię.

– Nigdy w życiu – protestuje Malin. – Ty masz Tess, ona jest jeszcze mała. Tove jest starsza.

Poradzi sobie.

Malin nie waha się dłużej. Wrywa Zekemu linę, podchodzi do studni, przerzuca nogi przez jej krawędź i zaczyna się opuszczać w dół po suchych, murowanych ścianach. Zeke przyświeca jej latarką.

Widzisz nas już?

Malin słyszy syreny. Zjeżdżają się wozy policyjne. Koledzy, którzy nie mogą jej pomóc. Musi to zrobić sama. Ściany studni ściskają ją jak mięśnie węża boa, i chce do góry, ale wie, że musi opuszczać się w dół.

Cholera, jak tu głęboko.

Światło latarki Zekego tu nie dociera.

Opuszcza się w ciemności, czuje pajęczyny przyklejające się do włosów, jakieś odnóża poruszające się po policzku.

Czy kiedykolwiek się stąd wydostanę.

Czuje, że jej stopy dotykają gruntu.

Już.

Jest tu zupełnie ciemno. Ale ściany poszerzają się, tworząc coś na kształt pieczary. Malin wyjmuje komórkę, włącza latarkę i spogląda w górę. Niebo jest jak jasny krąg, jakby w innym świecie; i Malin przyświeca sobie, kręci się w kółko, w kółko, w kółko.

Co widzę?

Tam. Coś wystaje zza kamienia.

Jakiś biały narożnik, i Malin opada na kolana, podczołguje się do kamienia, odsuwa go na bok.

Mała skrzynia.

Ale zmieściłyby się w niej szczątki człowieka.

I tykanie.

Na wieku karteczka:

Odważysz się to otworzyć? Wtedy może ją uratujesz.

Tove, Nadja.

Uratuję je, myśli Malin. Tylko do tego się nadaję. To właśnie robię. A jednak drżą jej ręce, gdy zbliża je do skrzyni, z której dobiega tykanie. Próbuje nad nimi zapanować, ale odmawiają posłuszeństwa i Malin klnie, przeklina tę ciemną jamę, wytrząsa z włosów pająka, czuje, że kilka innych pełza jej po nogach, i nienawidzi tych stworzeń równie mocno, jak nienawidzi tej chwili, a nienawiść sprawia, że ręce przestają drżeć, zbliża je do skrzyni i wie, że musi ją otworzyć, nawet jeśli to ma oznaczać śmierć.

Chwyta wieko, waha się jeszcze przez sekundę, słyszy głos Zekego:

– Jak ci idzie tam na dole?

Krzyczy tylko:

– Odsuń się! – i wtedy szarpie wieko, słyszy swój ciężki oddech, czuje zalewający ją pot. Ma wrażenie, że znalazła się we własnym grobie.

Wieko w jej ręce.

Lekkie jak pisklę.

Nic nie wybuchło.

Malin zagląda do skrzyni. Tykający stoper starszego typu. Odlicza czas. Zostało dwadzieścia dziewięć minut.

Co się wtedy stanie?

Za dwadzieścia dziewięć minut?

Obok stopera karteczka.

Nowe współrzędne.

Krótką wiadomość:

Ha, ha! Pudło.

Ty sadysto.

Ale jak wołasz, tak echo ci odpowiada.

Malin zgarnia karteczkę i stoper, wciska je razem z komórką do kieszeni kurtki. Po omacku szuka liny, obwiązuje się nią w pasie i chwyta ją mocno w obie ręce.

Woła w górę:

– Wyciągnijcie mnie.

Unosi się w stronę światła.

Powoli, powoli.

Szybciej, do diabła.

Światło. Jest już blisko.

I Malin widzi twarze.

Zekego, Nadji i Tove.

Wszyscy tam są.

Daniel.

Wyleciałam w powietrze?

Jest już na górze.

Przerzuca nogi przez krawędź. Światło ją zwiódło, bo czuła się, jakby zmierzała ku niemu w ostatnią drogę.

Jest tu Zeke. Kilku umięśnionych policjantów w mundurach. Nie ma nikogo z tych, których kocha najbardziej.

I nie ma Nadji.

Ale już jedziemy, zdążymy.

Stoper odlicza czas.

Dwadzieścia sześć minut i dwadzieścia sekund.



Uratujcie mnie. Nie mogę już oddychać.

Powietrze się skończyło, oddech jest jak setna część oddechu i próbuję go wstrzymywać, odliczać czas. Powoli, powoli, wolniej niż mijają sekundy.

Sto dziewięćdziesiąt dziewięć, dwieście, dwieście jeden...

Tykanie milknie i słyszę jakiś pisk, wściekły pisk, od którego całe ciało drży, trzęsę się i kulę, na óslep tłukę w drewno, a to dalej piszczy i piszczy, a potem cichnie.

Zamieram.

Znów słyszeć tykanie.

Głośniej, głośniej, coraz GŁOŚNIEJ.

Już za późno.

Nie uratujecie mnie.

Mamo, tato, wy wszyscy.

Nie zdążycie.

Znów biegną do samochodu.

Zeke włącza silnik, patrzy na Malin.

– Dokąd?

– Jedź na równinę, to powinno być gdzieś tam. – I po chwili mkną z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę przez senną dzielnicę willową.

Ryzyko dla nich samych.

Zagrożenie dla innych.

Malin dzwoni do Johana, podaje mu nowe współrzędne i tym razem czeka przy telefonie, słyszy gorączkowe stukanie w klawiaturę.

– To pośrodku równiny. Gdzieś w pobliżu Klockrike. Kilka kilometrów od rozstajów Stenkulla.

Johan mówi spokojnie i Malin wie, że nie chce jej stresować.

Gra toczy się dalej, myśli Malin i kończy rozmowę.

Tu jest, gdzie jesteśmy.

Tam jest, gdzie nas nie ma.

Pewnie zabiłeś ją dawno temu.

Malin wyjmuje stoper.

Zostało osiemnaście minut.

Przychodzi ememes. Johan wysłał zdjęcie satelitarne miejsca, opis dojazdu.

Malin czyta to Zekemu.

– Jedź najszybciej, jak możesz.

– Zdążymy?

– Zdążymy. W każdym razie dotrzemy tam na czas. Co będzie na miejscu, to już inna sprawa.

Malin zamyka oczy, czuje, jak samochód przyśpiesza, słyszy radosny ryk silnika pracującego z pełną mocą. Gdyby teraz zjechali z drogi albo zderzyli się z innym pojazdem, oznaczałoby to pewną śmierć.

Malin odlicza sekundy, minuty, irytuje się za każdym razem, gdy Zeke musi zwolnić na zakręcie albo jakimś skrzyżowaniu. Ale nikt nie prowadzi lepiej od niego.

Malin znów otwiera oczy.

Żółte pola rzepaku, a Zeke skręca w bitą drogę między polami i po minucie dojeżdżają do jakiegoś ugoru. Po zeszłorocznych zbiorach pozostało tylko ściernisko.

Zeke zatrzymuje wóz.

– To tutaj – mówi. – Pośrodku tego pola.

Malin otwiera drzwi, wypada z samochodu. Biegnie prosto na pole, szuka wzrokiem czegoś, co dobiega od reszty. Odmiennego koloru ziemi. W oddali widzi coś niebieskiego. Rurka, plastikowa rurka, to musi być tam.

Zeke biegnie teraz obok niej, dopadają do tej rurki. Ziemię rozkopano na powierzchni na tyle dużej, że można tu było pochować ciało człowieka. Grób, myśli Malin.

Pochylają się.

Malin wyjmuje stoper, kładzie go obok siebie.

Zostało niecałe dziesięć minut.

– Łopaty! – krzyczy.

Zeke pędzi do wozu, Malin zaczyna kopać. Szarpie ziemię palcami, czuje, jak zrywa sobie paznokcie, z opuszek sączy się krew.

Nie czuje bólu.

Jak głęboko leżysz, Nadju?

Tuż pod powierzchnią ziemi natrafiają na duży pojemnik z kroplami wody na dnie. Inna rurka prowadzi dalej w głąb.

Żyjesz, Nadju?

Jesteście już, prawda? Kopiecie. Mamo i tato, kopiecie.

Pośpieszcie się.

Pośpieszcie.

A może to borsuk kopie?

Ktoś, kto chce umrzeć razem ze mną.

Malin odrzuca łopatą ziemię za siebie, Zeke robi to samo.

Cała jest zlana potem i ma wrażenie, że kwas mlekowy zwycięży nad adrenaliną. Ale teraz wola życia jest najsilniejsza, więc kopią dalej, a zegar tyka.

Podążają za rurkami w głąb ziemi.

Zostały trzy minuty.

Dwie minuty i pięćdziesiąt sekund.

Szybciej, Malin.

Jej łopata uderza o coś twardego. Nie mamy szans, żeby zdążyć. Odsłaniają część tego, co znaleźli.

To trumna, wężyki przechodzą na wylot przez wieko i Malin słyszy tykanie, tykanie dwóch zegarków. Wałą łopatami w wieko. Wiedzą, że nie uda im się odkopać na czas całej trumny.

Uderzają, tłuką, wałą i Malin krzyczy:

– Idziemy po ciebie, Nadju! Idziemy!

Za skrzyżowaniem w bitą drogę wiodącą między polami rzepaku Göran Möller wciska pedał gazu. Słyszy za plecami syreny radiowozu.

Odpowiadam za nich, myśli. Powinienem był ich zatrzymać. To zbyt niebezpieczne.

Ale świat bywa czasem niebezpieczny.

A my stoimy na pierwszej linii.

Zdążą? – zastanawia się, a samochodem zarzuca.

Zostały już tylko sekundy.

Drewno ustępuje. Najpierw mała dziurka, a potem coraz większa.

Zostało pięćdziesiąt pięć sekund.

Twarz.

Wytrzeszczone oczy w ciemności.

Usta otwierają się, układają do krzyku, ale nie wydają żadnego dźwięku. Słyszą tylko wściekłe tykanie i przekleństwa Zekego, gdy drzazgi wbijają mu się w palce. Usiłuje na tyle poszerzyć otwór, by mogli wyciągnąć dziewczynę z trumny.

Twarz.

To ty, Nadju, idziemy po ciebie, i Malin czuje smród odchodów i moczu, ale widzi też życie w oczach Nadji Lundin. Widzi nadzieję.

Trzydzieści sekund.

Malin sięga do dziury.

Wtedy tykanie milknie i rozlega się wysoki, piszczący dźwięk, który wdziera się w uszy, a Malin szarpie drewno, wyciąga ręce do Nadji Lundin, wsuwa dłonie pod jej pachy i ciągnie.

Nigdy w życiu nie ciągnęła tak mocno.

Wyłaź.

Na górę.

Zeke dalej próbuje wyłamywać deski.

Ciało Nadji się porusza. Teraz próbuje im pomagać. Kopie nogami. Malin to czuje, wyciągnęła ją już do ramion.

Skóra jak brudny, podarty materiał.

Piętnaście sekund.

Dwanaście.

Pisk przechodzi w dzwonienie.

Wszędzie kurz.

Do pasa.

W górę, w górę.

Zeke przestaje szarpać deski, chwytą Nadję i też ciągnie.

Dziewczyna patrzy na nich.

Coście za jedni?

Kim jestem? Gdzie jestem?

Już całe ciało wyszło.

Dziewczyna próbuje stanąć, ale nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Więc Zeke bierze ją na rękę, Malin mu pomaga, i szybko, szybko wydostają się z płytkiego grobu.

Trzy sekundy.

Dzwonienie milknie.

I zapada całkowita cisza. Z wyjątkiem syren gdzieś w oddali.

Göran Möller dociera na miejsce dokładnie w chwili, gdy powietrze przecina eksplozja. Przednia szyba samochodu drży.

Jakieś sto metrów dalej, na polu, widzi wznoszącą się ku niebu chmurę kurzu, a na dach wozu spadają drobne ziarenka ziemi.

Wali pięścią w kierownicę.

Nie zdążyli.

Teraz jest już za późno na wszystko.

Ręce Daniela Högfelda są rozciągnięte, a w jego nadgarstkach tkwią gwoździe.

Mężczyzna użył też gwoździarki, by przybić mu łydki do podłogi.

Daniel jest odurzony, czuje ból jak przez mgłę, znośny w tym co nie do zniesienia.

Pomieszczenie jest ciemne i wilgotne. Widzi wodę ściekającą po zimnych kamiennych ścianach, a jakaś czerwona lampa świeci mu prosto w twarz.

Ubrany na czarno mężczyzna porusza się po obrzeżach pomieszczenia, niemal stapia się ze skalną ścianą.

W obliczu tego, że wszystko może się zdarzyć, człowiek potrafi zareagować obojętnością, myśli Daniel.

Ogarnia go strach i chce krzyknąć. Ale usta są pełne ziemi, a może to piasek, i strasznie chce mu się pić.

Mam jeszcze język?

Jest.

Wciąż go mam.

Równie dobrze mogę uznać, że już nie żyję, myśli Daniel. Ale nie chce, by ogarnął go spokój, bo gdy tylko przestanie działać adrenalina, będzie krzyczał z bólu.

Czy mogę uznać, że już jestem martwy?

Spogląda w dół.

Jego tors jest nagi.

Zupełnie odsłonięty.

Bezradny.

Jak zwłoki, które patrzą na własną obdukcję i poznają przyczynę własnej śmierci.

Kurz unosi się w powietrzu, a Göran Möller biegnie przez pole.

Mgła.

Kurz jest jak mgła, a on mknie przez rdzawoczerwoną, ziemistą zasłonę.

To nie może się zdarzyć po raz drugi.

Gdzie oni są? Niech tutaj będą.

Widzi Zekego, który wstaje. Jest brudny od ziemi, kaszle, zataczając się, rusza w jego stronę.

Unosi rękę. Wyciągnięty do góry kciuk. Potem wskazuje za siebie.

Göran Möller przebiega obok Zekego w coraz bardziej niewyraźny świat.

Malin.

Tam jest. Klęczy obok ciała, które wydaje się nagie i ubrane równocześnie. Macha ręką przed twarzą. To dziewczyna tam leży i gdy Göran Möller podchodzi bliżej, widzi, że jej pierś porusza się w górę i w dół, w górę i w dół.

Żyje.

I Malin żyje.

Odwraca w jego stronę brudną od ziemi twarz, uśmiecha się. Jej spojrzenie mówi: daliśmy radę, daliśmy radę.

Ale czy na pewno? To jeszcze nie koniec. Jeszcze go nie złapaliśmy. Gra wciąż się toczy.

Göran kuca obok Malin, pyta:

– Jesteś cała?

Malin kiwa głową.

– Zdążyliśmy kawalek odbiec. Wybuch nastąpił z kilkusekundowym opóźnieniem.

Göran patrzy na pięciometrowy krater kawalek dalej. Nie widzi stąd, jak jest głęboki, ale eksplozja była potężna.

– A co z nią?

– Wyjdzie z tego – kaszle Malin. – Ale musimy sprowadzić karetkę.

Czekając na przyjazd ambulansu, próbują nawiązać kontakt z Nadją Lundin, ale dziewczyna wpatruje się tylko w niebo, wydaje się ich nie słyszeć i nie chce pić wody, którą próbują jej podawać. Göran Möller dzwoni do jej rodziców, wyjaśnia, że ich córka żyje, że dojdzie do siebie,

ale nie może w tej chwili rozmawiać.

Po piętnastu minutach przyjeżdża karetka. Ratownicy wnoszą dziewczynę do środka, jeden z nich siada obok niej.

Dzwonienie w uszach. A potem Malin znów normalnie słyszy. Wygląda na to, że Zeke też jest cały, zamroczony, ale nie ma żadnych obrażeń.

Karetka odjeżdża i Malin myśli:

Udało nam się.

Potem myśli o Tove.

Czemu jeszcze nikt do mnie nie dzwoni?

Czy helikopter się rozbił? A może nigdy nie było żadnej wioski, a już tym bardziej helikoptera?

Żołądek jest jak granit i jak zepsuta woda równocześnie.

– Co z Börjem? – pyta.

– Jest na intensywnej terapii. Krwotok wewnętrzny i oparzenia.

– Wyjdzie z tego? – pyta Zeke.

Göran zwleka z odpowiedzią.

– Nie przeżyje? – pyta Malin.

– *Fifty-fifty.*

Ty świnió, myśli Malin. Co teraz wymyślisz?

– Gdzie on może być? – zastanawia się Möller.

Nie chcą wypowiadać jego imienia, nie chcą, by stał się dla nich człowiekiem, lepiej, żeby pozostał bezimienną istotą.

– W swoim samochodzie? – podsuwa Zeke.

– Całkiem możliwe. Furgonetki na razie nie znaleziono – odpowiada Göran Möller.

– Musimy się umyć – mówi Zeke. – I przebrać.

– Jedźcie na posterunek.

Mundurowi kręcą się wokół nich, wyglądają, jakby nie wiedzieli, co ze sobą począć. Z jednego z wozów słychać muzykę, hit tej wiosny, ale Malin nie ma pojęcia, kto to śpiewa.

Jej komórka znowu piszczy.

Kolejna wiadomość.

Może udało ci się ją uratować, ale czy potrafisz ocalić swoją miłość?

Zanim ma czas, by pokazać to pozostałym, przychodzi następny esemes.



To link z YouTube.

Malin klika link, a Göran i Zeke pochylają się nad nią. W milczeniu oglądają razem film.

Daniel nagi, przybity gwoździami do sklejk w jakimś pomieszczeniu o kamiennych ścianach.

Pomieszczenie jest skąpane w czerwonym świetle.

Daniel.

Nie poradzę sobie bez ciebie.

Daniel jęczy. Ma taśmę na ustach.

W jego oczach czysty strach.

Mężczyzna w kapturze pojawia się w kadrze. Jego twarz to rozmyte kontury i nie sposób stwierdzić, czy to Jonas Ahl.

Mówi głosem tak zimnym, jakby był wykuty z jakiegoś nieznanego metalu.

– Uciszę go. Zabawa się skończyła. Uciszę wszystkich, żebyście się nauczyli szanować słowa. Żebyście pokazali swoją prawdziwą twarz.

Mężczyzna oddala się od kamery. Przy lewej krawędzi obrazu widać, że robi coś na stole. W tle Daniel chyba zemdłał, głowa opadła mu na bok.

Mężczyzna w kapturze znów pojawia się w kadrze.

Białka oczu w pozbawionej konturów czerni.

A potem długi, dźwięczny śmiech.

– Potrafisz uratować ukochanego?

Film się kończy.

Malin ciska telefon na ziemię, wybiega na pole i krzyczy ile ma sił w płucach, słyszy krzyk niosący się nad równiną, milknący powoli i opadający na ziemię.

Krzyczy jeszcze raz.

Rozumie, że z jej płuc wydobywa się śmierć, że krzyk rozplywa się w nicość, a potem czuje dłoń Zekego na ramieniu.

– Chodź, Malin.

Rusza za nim przez pole, w stronę samochodu, A Göran Möller podsuwa jej komórkę.

– Odbierz tę rozmowę.

Malin chwyta telefon.

– Mamo? To ty? To ja, Tove.

Ciężarówka się zepsuła. Pomogli im ludzie z górskiego plemienia. Przez dwie doby szły do ich wioski, gdzie było radio. Potem przyleciał helikopter.

– Wszyscy byli tacy życzliwi, mamó. Chcieli od nas dziesięć dolarów za skorzystanie z radia, ale zrozumieli, że nie mamy pieniędzy. Organizacja wysłała im gotówkę helikopterem.

Malin czuje, że telefon trzęsie się jej w ręce. Łzy spływają po policzkach.

– Gdzie teraz jesteś?

– W Kinszasie. Przyleciałyśmy prosto tutaj.

– Wrócisz teraz do domu?

– Co masz na myśli?

– Nie rozumiesz, jak strasznie się martwiłam?

– To nie było przecież nic takiego.

Malin czuje, jak ogania ją złość: NIC TAKIEGO? Ale tłumi to w sobie.

– Kocham cię – mówi. – Przecież wiesz o tym.

– Ja też cię kocham, mamó. Ale robię tu ważne rzeczy.

– Wracaj do domu.

– To jest teraz mój dom. U ciebie wszystko dobrze?

– Wszystko dobrze – mówi Malin. – Wszystko w porządku.

– Dobrze. Chcą, żebym się już rozłączyła. Połączenie satelitarne strasznie dużo kosztuje.

– Cześć.

– Cześć, mamó. Pozdrów Daniela.

Postanawiają zaimprovizować krótkie spotkanie przy samochodzie.

Pytania rzucające przez Malin, Zekego i Görana Möllera.

– Gdzie on może być?

– Czy Johan zdobył więcej danych?

– Gdzie nakręcił film? Da się wyśledzić, skąd wrzucił go do sieci?

Pytania pozostają bez odpowiedzi i narasta w nich frustracja.

– Kurwa! – wrzeszczy w końcu Malin. – Jebana kurwa nędza!

Tyle się wydarzyło, a oni wciąż prawie nic nie wiedzą.

Zeke próbuje ją uspokoić.

Jeden z mundurowych, napakowany typ, który wygląda na jakieś dwadzieścia pięć lat, zbliża się w ich stronę. Malin wie, że nazywa się Andreas Gran. Unosi swój telefon.

– Widziałem film.

Nie przeszkadzaj nam teraz, myśli Malin.

– Spadaj – mówi Zeke. – Jesteśmy zajęci.

– Dajcie spokój. Musicie posłuchać.

Nic nie musimy, myśli Malin.

– Słyszałeś Zekego – odzywa się Göran Möller. – Wybrałeś sobie kiepską porę.

– Ale...

– Zjeżdżaj – warczy Malin.

Andreas wydaje się zrezygnowany, niemal zrozpaczony, ale potem ogarnia go złość.

– Wiem, gdzie nakręcono ten film. Słyszycie?! Jestem całkowicie pewien.

Powstrzymują się, nieruchomieją. Czują, jak słowa, które mieli wypowiedzieć, więzną im w gardłach.

Göran Möller pierwszy odnajduje się w sytuacji.

Andreas uruchamia film, zatrzymuje go w miejscu, gdzie najlepiej widać pomieszczenie.

– Skalne ściany – mówi. – Rury wentylacyjne pod sufitem. I widzicie tę ścianę, te haki. Że są takie dziwne, podwójne? Zostały zaprojektowane specjalnie dla tego miejsca. Poznają, bo projektował je mój dziadek. To wielki schron przeciwlotniczy w Kvarn. Wiecie, gdzie jest zamknięty poligon w lesie pod Tjällmo? On tam jest.

Malin widzi w tle Daniela.

Jego ciało zwisa bezwładnie.

Cała jest jedną wielką sprzecznością. Ulga i złość, niepokój i zmęczenie.

– Jesteś całkowicie pewien?

– Na bank – mówi Andreas. – Na tych hakach można odwiesić hełm i plecak równocześnie. Są tylko tam na dole. Byłem tam kiedyś jako dziecko, było superbombowo.

– Bombowo? – powtarza Zeke.

– No pewnie.

Nawet nie zauważasz swojej idiotycznej gry słów, myśli Malin. Potem klepie Andreeasa po ramieniu. Mocno, po męsku.

– Dobra robota – mówi. – Dzięki.

On tam jest, myśli Malin.

Daniel tam jest.

W tym cichym pomieszczeniu.

I na pewno się boi.

Tak bardzo jak ja.

Muszę zdążyć cię uratować. Nie mam siły zaczynać jeszcze raz od początku.

Dość tego.

Nie wolno ci umierać, Daniel.

Wtedy ja też umrę.

I myśli o dziecku, które bawi się z zapalonym, absolutnie przekonane, że każda sekunda jest tą ostatnią i tą pierwszą.

To, co tam wisi, to koniec. Kiedy z nim skończę, będzie po wszystkim.

Znów będziesz mogła mówić, mamó. Co tylko zechcesz. Cały świat usłyszy twoje słowa. Pisał o mnie, jakbym był wcielonym złem. I ludzie mu uwierzyli. Zrobił to tylko po to, żeby sam wyszedł na dobrego, chociaż to on jest zły.

Czarny plus biały równa się szary.

Wszystko jest szare.

Ale teraz sprawię, że będzie czerwone.

Odetnę mu rękę, którymi pisze.

A może powinienem mu wypalić płuca, które dają twoim słowom powietrze?

Płuco, rękę. Ręka, płuca.

Ene due rabe.

Bocian połknął żabę.

Padło na rękę.

A może język?

Jak myślisz, mamó?

Żałuję, że nie widzisz, jak się bawię. A wydawało ci się, że policja sobie z tobą pogrywa, kiedy do nich poszłaś. Śmiali się za twoimi plecami.

W końcu zwierzęta przestały mi wystarczać. Przyjechałem do tego miasta, zobaczyłem tych samowystarczalnych dwulicowych ludzi i poczułem, że muszę to zrobić. Coś się we mnie otworzyło.

Zwierzęta już mi nie wystarczały. Przyszła pora na ludzi.

Odciąłem głowę Hajifowi, ciebie ukrzyżuję, pierwszego uczyniłem niemym.

Podchodzę teraz do niego.

Uciszę tego, kim się stałem, kiedy zniknęłaś.

Mamó.

Robię to dla ciebie.

To koniec. Daniel widzi mężczyznę, jakby patrzył na niego przez nieostrą lornetkę z czerwonymi soczewkami.

Trzyma w ręku nóż, a może to strzykawka? Wydaje jakiś dźwięk. Palnik do cięcia?

Mężczyzna ujmuje jego rękę. Ostrożnie. Dlaczego ostrożnie? Puszczą ją.

Teraz jest gorąco.

Dźwięk.

Palnik do cięcia.

Ból. Przebija się przez wszystkie mury, jakie zbudowało jego ciało, i Daniel krzyczy, chociaż nie jest w stanie.

Malin, Zeke, Göran Möller i Andreas Gran przedzierają się przez gęsty las na równinie Östgöta.

Grunt trzeszczy pod ich butami, gdy zdeptują rośliny, jakby ziemia protestowała przeciwko ich przybyciu do tej kryjówki.

Śpieszą się.

Potykają. Czują w powietrzu zapach zgnilizny z ubiegłej jesieni. Zeszłoroczne zbutwiałe liście przywierają do ich nóg i chcą wciągnąć ich w dół, do ziemi.

Powstrzymać ich.

Przeklinają.

Malin czuje, jak zarośla kaleczą jej nogi.

Daniel.

Idę do ciebie.

Śpieszę się.

Zaparkowali dalej, przy dawnych koszarach. Stała tam już biała skoda. Wypożyczony samochód. Okna dawnych budynków były zabite sklejką, na której ktoś narysował stylizowane, krzyczące twarze.

Jonas Ahl albo ktoś inny.

Zeke jechał tak szybko, że to cud, że dotarliśmy cało na miejsce, myśli Malin. Próbuje w ogóle nie myśleć.

Schron jest położony czterysta metrów na północ w głąb lasu. Nie ma żadnej drogi dojazdowej, żeby nie mógł zostać odkryty przez wroga.

– To powinno być gdzieś tutaj – mówi Göran Möller.

– Jesteśmy blisko – potwierdza Andreas. Jest zdyszany, Zeke również. Żaden z nich nie ma takiej wytrzymałości jak Malin.

Andreas się potyka.

Malin nie czeka na niego, ale Andreas szybko ich dogania.

Rozglądają się. Wydaje się, że las żyje tutaj własnym życiem, a przez korony drzew przebijają się tylko nieliczne smugi światła.

Kawałek dalej teren się unosi, widać stąd tylko inny odcień ziemi, ale mimo wszystko jest tam jakieś wzniesienie.

Zbliżają się do niego z bronią w ręku.

– Coś jest pod nami – mówi Zeke, a Malin się zastanawia, co się tam dzieje.

– Mam tego nie robić, mam?

Mężczyzna odwraca się plecami do Daniela. Odkręca palnik na pełen płomień.

– Nie mów tak. Chcę to zrobić. To takie przyjemne. Proszę, mam.

Daniel patrzy na niego. Próbuje poruszyć rękoma, ale to na nic.

Jest przygwożdżony.

Mężczyzna jeszcze nie zaczął go przypalać. Zawahał się, nie mógł się zdecydować, mamrotał jakieś dziecięce rymowanki, zachowywał się tak, jakby rozmawiał z matką.

A moja matka? – myśli Daniel. Umarła piętnaście lat temu. Pochowałem ją, a potem niewiele o niej myślałem.

– Czyli mogę to zrobić?

Palnik do cięcia.

Syczy. Niebieski płomień w czerwonym świetle wydaje się jeszcze bardziej niebieski.

– Zrobię to.

Daniel widzi, że mężczyzna się zbliża.

Żegnaj, Malin. Mam nadzieję, że to słyszysz. Kocham cię.

– Tutaj. Tu jest właz.

Göran Möller stoi dziesięć metrów dalej, wskazuje pistoletem na ziemię. Malin i Zeke podbiegają do niego, Malin chwyta otwór włazu i ciągnie; Göran wygląda, jakby chciał zaprotestować, ale daje sobie spokój.

– Musiał zamknąć go za sobą – stwierdza Möller. – Chyba że jest inne wejście.

– Musi być – mówi Andreas Gran. – Żeby znieść na dół zapasy i sprzęt.

– Nie mamy teraz czasu go szukać.

– Ty zostaniesz na górze – mówi Malin do Andreeasa. – Chyba że orientujesz się tam na dole?

Andreas Gran kręci głową.

Przymocowana drabinka prowadzi w dół.

W nieznaną ciemność.

Malin wysuwa się przed innych i zaczynają schodzić. Ściany tunelu lśnią od wilgoci, woń pleśni utrudnia oddychanie. Szczelne drabiny są zardzewiałe i ostre, ale też śliskie od



przypominających mech roślin.

Spadnę? – myśli Malin. Szczebel się załamie?

W dół, w dół.

W ciemność. Nie mogą zapalić latarek w komórkach, bo potrzebują obu rąk przy schodzeniu.

Z każdym krokiem jest coraz duszniej.

Serce wali w piersi. Pot spływa spod włosów na policzki.

Szybciej.

Daniel.

Nie wolno ci umierać.

Może zostało mi już tylko kilka minut.

A może nawet nie.

Dziesięć szczebli, dwadzieścia, pięćdziesiąt, siedemdziesiąt trzy.

Malin liczy je wszystkie, a na dole, w podziemnym przejściu zapala latarkę w komórce i rozgląda się na boki.

W obie strony odchodzą korytarze, jak w niekończących się katakumbach. Malin nasłuchuje. Nic nie słyszy. Przesuwa się tak, by zrobić miejsce Zekemu i Göranowi, i wszyscy troje mogą stanąć wyprostowani obok siebie.

– W prawo czy w lewo? – pyta Zeke.

– Nie rozdzielamy się – decyduje Göran Möller. – Trzymamy się razem.

– Czy on tu jest? Są tutaj? – pyta Malin.

Przed jej oczami pojawia się Daniel, samotny w obliczu zła, i Malin skręca w prawo, idzie szybko, w jednej ręce trzyma przed sobą pistolet, w drugiej komórkę z latarką.

Słyszy jakiś krzyk. A może tylko jej się zdawało?

– Jest tutaj – mówi Göran Möller. – Gdzieś tu jest.

Słyszałem coś? Ktoś się zbliża?

Czyli zdążyła uratować dziewczynę? Tę z wielkim ego?

Tę, która rozstawiała po kątach personel w bibliotece? Poprosiła mnie, żebym przyniósł książkę z archiwów, a potem się roześmiała i stwierdziła, że w sumie jej nie potrzebuje.

Często to robiła.

Ale dostała nauczkę.

A ja się mogłem bawić, mam, widziałas z nieba, jak się bawię.

Teraz go spalę.

Ale najpierw wyjmę mu ziemię z ust.

POSŁUCHAJ, JAK WRZESZCZY.

Ha HA.

To takie zabawne.

Malin słyszy krzyk.

Teraz jest pewna.

Rozpoznaje głos Daniela.

Skąd dobiega ten krzyk? Z przodu? Z tyłu?

Malin biegnie, słyszy za sobą kroki pozostałych, a Daniel znów krzyczy.

Są bliżej.

Pozostali na pewno też to słyszeli i z każdym krokiem zbliżają się do miejsca, skąd dobiegają krzyki.

Kolejne rozgałęzienie. Na wprost, w prawo albo w lewo.

Gdzie czeka życie, a gdzie śmierć? Gdzie jest to wielkie pomieszczenie? Samo serce schronu?

Biegną.

Docierają do otworu z zardzewiałą, pomalowaną na czarno bramą.

Krzyki.

Daniel.

Jestem tu.

Blisko.

Co on ci robi?

Göran i Zeke odciągają na boki skrzydła bramy.

Otwiera się przed nimi gigantyczne pomieszczenie, wielkie jak wnętrze kościoła, z asfaltową podłogą, bez okien i bez ław. Pięćdziesiąt na trzydzieści metrów i co najmniej dwadzieścia metrów w górę, do lekko łukowatego kamiennego stropu. Woda kapie na podłogę, spływa wąskimi strużkami po ścianach i znika w studziennych otworach.

Kamień płacze, myśli Malin. Płacze ziemia.

Ale pomieszczenie jest puste i Malin znów słyszy krzyk.

Danielu, wybacz mi, że nie jestem jeszcze przy tobie.

Nie może być za późno.

Gorąco na piersi jest nie do zniesienia. Daniel pragnie zemdleć, ale świadomość nie chce odejść.

Cały jest gorącym i w tym gorącu unosi się woń jego płonących włosów, skóry i mięśni, i krzyczy, gdy zwęgła się jego sutek. Jakby z oddali słyszy śmiech zła i szaleństwa.

Gorąco wrzyna się w nogę.

A potem świat wreszcie gaśnie.

Pobiegli dalej i teraz stoją przed kolejnymi stalowymi drzwiami, tymi, zza których wydawał się dobiegać ostatni krzyk.

Sączy się spod nich czerwone światło.

Jakieś ledwie słyszalne syki.

Musimy się tam dostać, myśli Malin.

Wydaje jej się, że słyszy kolejny krzyk.

Jeszcze głośniejszy.

Ryk bólu.

Wszyscy łapią za uchwyt i ciągną drzwi, ale są zamknięte.

– Kurwa! – wrzeszczy Malin i wie, że mężczyzna tam w środku ją słyszy.

Przybyli ci na ratunek.

Jakie to bezsensowne.

Nic cię nie uratuje.

Nie dadzą rady pokonać zamka, ja trzymam palnik jak pistolet.

Dochodzę już do żeber. Zaraz odsłonię ci płuca. Już nigdy nie będą dawać powietrza twoim słowom.

Długo wytrzymałeś. Świadomość nie chciała opuścić ciała.

Co powiesz, mamie? Mam ich wpuścić?

Nigdy, nigdy.

Odwracam się. Wracam do roboty.

Göran Möller wsunął wytrych w zamek w drzwiach, porusza nim gorączkowo w górę i w dół.

– Jest zbyt zardzewiały – mówi.

– Próbuj dalej – warczy Zeke.

Malin przestępuje z nogi na nogę, chce wtargnąć do pomieszczenia, bo Daniel może jeszcze żyć. Musi tak być, jeśli umrzesz, nie zniosę tego.

Chcę naszej miłości.

Słysząc szcęk, drzwi się otwierają i uderza w nich intensywne czerwone światło. Oslepia Malin, ale wydaje jej się, że widzi reflektor, sylwetkę nagiego Daniela, a przed nim stoi

mężczyzna, który musi być Jonasem Ahlem.

A może to ktoś inny?

Palnik do cięcia.

Mężczyzna kieruje go w serce Daniela i Malin unosi broń, celuje w czarne plecy mężczyzny i naciska spust.

Ręce nie drżą. Nie boi się, że trafi tego, którego kocha.

Strzela najpierw w serce, potem w kręgosłup i wysoko w kark, a mężczyzna osuwa się na betonową podłogę. Palnik wypada mu z ręki i toczy się w stronę reflektora, w stronę czegoś, co wygląda na nowoczesny sprzęt do transmisji obrazu. Dalej wściekle syczy.

Śmierdzi tu spalonym ludzkim ciałem i krwią.

Daniel.

Jego pierś jest jedną otwartą raną i Malin widzi zarysy kilku żeber. Ciało zwisa bezwładnie na gwoździach.

Krew spływa na podłogę.

Malin ujmuje jego twarz w dłonie. Głaszcze go po policzku. Widzi krew na swoich palcach.

– Już jestem. Wytrzymaj, Wydobrzejesz. Uratowałam cię. Powiedz, że cię uratowałam, Danielu.

Wrócisz do domu, myśli Malin. Do naszego wspólnego domu.

Daleko od jakiegokolwiek cierpienia.

Do bezpieczeństwa, które będzie ci się wydawać oczywiste.

Bez tego fałszywego, czerwonego światła.

Nie ma bezpieczeństwa. Wiem to.

Może nawet wtedy, gdy nasze ciało jest już tylko prochami w ziemi.

Daniel kaszle. Pluje krwią.

Próbują go zdjąć, ale muszą być ostrożni. Gwoździe w rękach i nogach tkwią mocno, podtrzymują jego ciężar.

– Malin?

Zbliża twarz do jego twarzy.

– Jestem tu.

Daniel znów pluje krwią. Z jego piersi spływa wąska strużka i biała bluzka Malin nasiąka czerwienią. Przysuwa palec do tego miejsca, próbuje powstrzymać krwawienie.

Co to za świat, myśli.

– Malin.

– Słyszę cię, Danielu.

I gdzieś blisko niej znów śpiewają tysiące głosów. Peder Åkerlund, Suliman Hajif i Jonas Ahl, którego martwe oczy wpatrują się w Görana Möllera.

Ich śpiew dochodzi z piekła.

Z podziemnego królestwa.

Skąd dobiega twój głos, Danielu?

– Kocham cię – mówi Malin.

Będziemy dalej oddychać, ty i ja.

Już zawsze będziemy razem oddychać.

*Jesteśmy martwi.*

*Posłuchajcie nas.*

*Bez względu na to, skąd dobiegają nasze głosy.*

*Jesteśmy w ziemi, w powietrzu, którym oddychacie, w ogniu. Chyba najbardziej jesteśmy w ogniu.*

*Dla mnie, Pедера i Sulimana nie ma wybaczenia.*

*Dla Nadji Lundin nie ma już słów.*

*Siedzi niema w szpitalu na brzegiem jeziora Wetter, boi się przyznać, że świat istnieje naprawdę.*

*Dla nas trzech istnieje tylko ból i samotność. I może zasłużyliśmy sobie na to. Co robi ten świat z nami, ludźmi? Próbowaliśmy tylko to wyraźnie pokazać w słowach i czynach.*

*Przez zamknięte okno wpada delikatne majowe światło.*

*Malin siedzi przy łóżku Daniela.*

*Jest utrzymywany w stanie śpiączki farmakologicznej, bo inaczej nie zniósłby bólu. Jeśli nie wda się jakieś poważne zakażenie, dojdzie do siebie, bez trwałego uszczerbku na zdrowiu. Lecz jego blizny nigdy nie zblakną.*

*Na innym oddziale leży Börje Svärd. U jego boku siedzi kobieta, która ledwie go zna, ale mimo wszystko chce być przy nim. On również wyzdrowieje. Lekarzom udało się zatamować krwotok wewnętrzny, a twarz Börjega nie jest poparzona, bo w chwili wybuchu była zwrócona w stronę podłogi.*

*Malin ściska dłoń Daniela i myśli o Tove, o miłości. O tym, że ona jest wszędzie i może tak różnie wyglądać, a to, jak się przejawia, może przerażać i wprowadzać w błąd. Bo w sercu każdej przemocy jest miłość, która wybrała niewłaściwą drogę.*

*Malin opuszcza głowę na białą pościel.*

*Zasypia.*

*I śni o córce.*

*We śnie Tove biegnie przez płonąca równinę. Ścigają ją płomienie wysokie jak ludzie, pędzą przed siebie i połykają wszystko na swojej drodze.*

Ale Tove się nie boi.

Na jej twarzy widać szczęście.

Biegnie przed ścianą ognia, śpiewa i krzyczy z radości, a Malin słyszy jej słowa:

– Patrz, jak biegnę po ziemi, patrz, jak pokonuję ogień.

Tytuł oryginału: *Jordstorm*

JORDSTORM © Mons Kallentoft 2014

First published by Forum, Sweden.

Published by arrangement with Nordin Agency AB, Sweden

*All rights reserved*

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2015

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Elżbieta Bandel

Opracowanie graficzne okładki: Krzysztof Kwiatkowski

Projekt okładki: Niklas Lindblad / Mystical Garden Design

Zdjęcie na okładce: Eva Lindblad, 1001bild.se

Wydanie I e-book

(opracowane na podstawie wydania książkowego:

*Ziemna burza*, wyd. I, Poznań 2016)

ISBN 978-83-7818-999-2

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74

e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)

[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

Plik opracował i przygotował Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)